Nr. 43. Poznań, dnia 28 Października 1906 r. Rok X.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,25 z odnoszeniem do domu . . 1,37 pod opaską . . 2,50

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1465. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Przyjdziesz tu!

Na grobach płoną światełka drżące
W tę noc — w ten mrok,
Na groby lecą liści tysiące
Deszcz łez — deszcz skarg.
A ludziom płynie modlitwa cicha
Z spalonych ust, z ściśnionych warg,
Ból serce łamie, ból w pierś się wpycha,
Żelazną obręcz na czoła kładzie
W tę noc, w ten mrok.....
I mówi szeptem: — Ty przyjdziesz tu...
Do cmentarnego przyjdziesz tu snu,
Do tej kolebki, co już nie zbudzi,
Do tej przyszłości, co już nie łudzi
Ty przyjdziesz tu!

Już nie zapłoną światłem twe oczy
W tę noc, w ten mrok,
Robak zgnilizny w twą pierś się wtłoczy,
Jak mgła — jak sen.
Życie się mignie, w wspomnienia szacie,
Z straconych chwil — zostanie cień,
Śmierć groźna przyjdzie w swym majestacie,
Zakończy wszystko, co jeszcze trwało
W tę noc, w ten mrok
I pytać pocznie: —
— „Z czem idziesz tu?
— „Do wieczystego z czem idziesz snu?
— „Cele — zamiary — zostały w dali,
— „Tu — czyny ważą na zasług szali,
„Z czem idziesz tu?...

Na grobach płoną światełka drżące,
W tę noc, w ten mrok.
Stań tu na chwilę — serca zapytaj,
Zważ sam — sam zmierz
Z czem idziesz w wieczność, co na cię czeka,
Swe czyny licz — zasługi zbierz,
Życie tu odważ — wartość człowieka,
Nie to co dane, lecz co spełnione
W tę noc, w ten mrok
Mieć będzie wagę, gdy przyjdziesz tu,
Do cmentarnego gdy przyjdziesz snu
Młodość i szczęście — sława — zagasną
Zasług miej palmę... i z duszą jasną
Ty — przychodź tu!

Jadwiga S.

Święto zmarłych.

„Kto żyć umie, ten nigdy nie umrze."
(Krasiński.)

U wrót cmentarza stajemy.

Z swiata pełnego nadziei, ruchu, gonitwy i trudów, oto zbliżamy się ku cmentarzowi.

Idziemy tam, gdzie wykreślone są tylko ścieżki do mety spoczynku, lecz ścieżek powrotu nie ma. Kto wszedł — nie wraca.

Wracają tylko ci, którzy spłakani i rozżaleni żegnają ukochanych lub wspominają w taki dzień święta umarłych tych, którzy spoczęli w śnie cichym i zbudzą się dopiero wtedy, kiedy istnienie ziemi zgaszone będzie jak lampa już wypalona.

U wrót cmentarzy stajemy.

Kiedy drzewa otrząsły z siebie ostatnich liści deszcz złoty, kiedy ziemia zrzuciła z siebie ostatnich kwiatów gałązki, kiedy niebo zasłoniło swój błękit jasny szarą mgłą jesieni, wtedy my przychodzimy do wrót cmentarza i powiadamy:

— O! wy, którzyście zmarli i spoczęliście po trudach, miejcie sen cichy, zapomnijcie o bolach i cierpieniach życia. Wieczne odpoczywanie niech wam da Pan Miłosierny!...

I z ust wielu płynie szept cichej modlitwy o spokój dla dusz tych, którzy śpią w mogiłach.

I pieśń rzewna wznosi się wyżej i światła płoną po grobach, a majestat śmierci w ponurem milczeniu staje przed nami.

Święto zmarłych kładzie nad grobami cmentarzy naszych dłoń ukojenia, a nam — żywym stawia przed oczy widok tych dróg, z których się nie wraca wstecz, któremi się idzie co dzień, co godzina, co chwila ku śmierci...

Nikt i nic nas od tego zbliżania się ku mogile ani nie wstrzyma ani nie wróci.

Żyjemy, ażeby ginąć.

A jednak, poeta wołał w wzniosłych słowach:

— Kto żyć umie, nigdy nie zginie!

Czyż nie prawda? Czyż historya ludzkości, dzieje Ojczyzny naszej nie zostawiły nam dość przykładów udowadniających to, iż byli ludzie, którzy żyć umieli i nie umarli??...

Wszyscy Święci — ci, którzy dziś królują w chwale i majestacie, którzy orędownikami są naszymi przed Tronem Sprawiedliwego Sędziego, czy nie przekonują nas, iż można żyć tak, aby nie umrzeć?

A wielcy bohaterowie, a sławni poeci i uczeni, a ludzie, którzy żyli nie dla siebie lecz dla szczęścia i dobra drugich, czy ci umarli, choć śpią w mogile?

Umieli żyć i żyją w pamięci, w sławie, w naśladowaniu, w nauczaniu nas, którzy jeszcze tak bardzo żyć nie umiemy.

Jesteśmy częstokroć jak pacholęta, które się rwą płocho i lekkomyślnie za bawidełek świecidełkami, a depcą ziarna na chleb i łamią konary na drzewa rozłożyste. Jesteśmy częstokroć jak głusi i ciemni. Nie słyszymy wołania obowiązków i nie widzimy drogi przeznaczenia. Żyjemy, jak gdybyśmy nigdy skończyć życia nie mieli, idziemy, jak gdybyśmy mogli wracać. A każdy dzień, godzina i chwila prowadzi nas tam, gdzie my raz w rok w Święto umarłych stajemy. Groby i cmentarze widzimy tylko wtedy, kiedy w dzień Zaduszny zapłoną światła na grobach i kiedy żegnająca jesień posypie złote liście na pogrzeb mijającego roku.

Dlatego częstokroć czynimy z życia zabawkę i umieramy wraz z zamarciem serca, zamknięciem powiek i zastygnięciem krwi.

Umiemy bardzo wiele mówić, pragnąć, zdobywać, ale żyć nie umiemy tak, ażeby duch nie marł razem z ciałem. Robimy ogromnie wiele dla siebie, ale nie umiemy spełniać wielkich czynów dla dzieci, dla narodu, dla Ojczyzny i dlatego gdy powiodą nas do wrót cmentarza, wszystko co było z nami gaśnie i umiera pamięć o nas i nikt naszego imienia za lat kilkanaście

nie wspomni i nic nie zostanie w Ojczyznie, co by świadczyło iżeśmy żyć umieli.

Kto umie żyć, ten żyje potęgą ducha wyższego nad ciało. Ten namiętności nie zwalcza, ten raczej wszystkich podnosi i podźwiga, a nie gorszy i poniża.

Polacy!... Zrozumiejcie, iż były epoki w historyi narodu naszego, w których ludzie żyć umieli i — nie marli jak suche, powiędłe liście. Wtedy Polska była wywyższona nad inne narody i całunem śmierci nikt jej oblicza nie nakrywał.

Dziś — niczego innego Ojczyźnie naszej nie trzeba jak tylko tego, byśmy umieli żyć.

U wrót cmentarnych stajemy, niesiemy świece na groby drogich nam osób i rozpalamy światła drżące... Czcząc pamięć umarłych, spojrzyjmy na siebie i zważmy, co po nas zostanie, gdy uśniemy na długo i pójdziemy tam, skąd się już nie wraca?

Trzeba życia ducha, serca, wiary i poświęceń dla Ojczyzny. Trzeba ciągłego dążenia do bram wieczności, trzeba walki wytrwałej w imię dobra i prawdy... a wtedy śmierć nie będzie śmiercią... bo kto żyć potrafi — żyć będzie wiecznie. *Iskra.*

Od serca do serca, od duszy do duszy
Niech płynie myśl zdrowa i słowo uczciwe,
A jeśli i serce i umysł poruszy,
Gdy padną wraz z nimi na rodzinnej niwie
Miłości i wiary rozsiane ziarna —
Zadanie spełnione, a praca nie marna.

Pobudka.

Jednakże strajk szkolny pobudził uśpione duchy, poruszył duszę ludu, rozpalił płomień ofiary — bo to, co każdy ma najdroższego, dzieci swoje rzucił na szalę wrącej walki.

Okólnik N. ks. Arcybiskupa — bez uchybienia prasie polskiej — jednakże lepiej oceniła prasa niemiecka, a mianowicie nam szczególnie wroga — hakatystyczna i jej trabanci.

Napadła ona na arcypasterza naszego z taką wściekłością, że z poza wierszy przebija widmo teutońskiej furyi i osławionej opancerzonej pięści.

Z tej furyi widać najlepiej, że zdaje sobie ta gadzinowa prasa jasno sprawę z tego, że głosu swego pasterza — a jest to głos i kościoła katolickiego zarazem — posłucha lud polski.

I lud polski zrozumiał głos pasterza swego, przeniknął on najciemniejsze głębie — a skutek ten, że tysiące dzieci porzuca katechizmy niemieckie, układa je w stosy przed nauczycielami, albo — pali. A dym jak w ofierze Abla prosto unosi się ku niebu. To Bóg znak daje, że ofiara serc dziatek polskich jest mu miłą.

Strajk się szerzy — to każdy dziś widzi, a kto w duszy ludu naszego czytać umie, ten wie, że raz rozbudzony, błahostką ofiar swoich okupić nie pozwoli, że pierwszy postawiwszy krok dla odzyskania uszczuplonych praw — praw tych domagać się będzie w zupełności. Lud nasz gotów jest do nowej walki kulturnej, bo wie, że broniąc swoich praw, broni fundamentalnych zasad kościoła, przez wieki uświęconych i uznanych. Kościół po stronie ludu, Bóg po jego stronie — któż go przemoże?

W obozie niemieckim jest rozdwojenie.

W sferach rządowych prowadzą się układy. I gdyby rząd był poszedł za poduszczeniem najzacieklejszych doradców swoich, byłby już pokazał „opancerzoną pięść“, którą hakatyści tak chętnie nam grożą.

Przeciwnie jednak, rząd pomimo narad naczelników ministerstwa oświaty i naczelnika prowincyi poznańskiej żadnego dotąd w sprawie strajku nie wydał rozporządzenia. Bawi się jednak tymczasem w znane półśrodki — rozwięzywanie wieców, nasyłanie nauczycieli, których nie ma, pogróżki dla dzieci, areszty i t. p. kary.

To fali strajkowej nie wstrzyma, przeciwnie jeszcze bardziej rozbudzi lud — a czy taki czy owaki koniec będzie strajku — sam fakt walki podniesie ogromnie uświadomienie narodowe wśród szerokich mas. No — a dzieci walczące zapewne całe swoje życie nie zapomną o łaskach doznanych w szkole za to, że tylko polskiego chciały pacierza, polskiej modlitwy, polskiej nauki religii, poddając się natomiast dobrowolnie w jarzmo niemieckiego wykładu reszty przedmiotów.

Postęp idei narodowej od strajku tego będzie niewątpliwy. A to nasz zysk — tak czy siak.

Rząd więc jest niezdecydowany. Za

Naród Polski
pod obcem panowaniem.

26)

Opowiedział
Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

Naczelne dowództwo tych wojsk miał objąć Tadeusz Kościuszko[1]) Ale Napoleon, człowiek samolubny, nie znający i nie uznający żadnych skrupułów w przeprowadzeniu swoich interesów, nie uwzględnił wcale tej prośby Dąbrowskiego i Legionistów i zawarł pokój z Austryą w Luneville (25 grudnia 1800 r., podpisany 9 lutego 1801 r.) bez żadnego nawet wspomnienia o Polsce. Wydał tylko rozkaz:

— Legioniści niechaj idą w służbę włoską!

I sprzedawano teraz Polaków jako żołnierzy walecznych.

Wtedy Kniaziewicz zawołał z goryczą:

— Nie chcę być najemnikiem!

I wziął dymisyą z wojska (5 maja 1801 r.), a za jego przykładem inni oficerowie połamali szpady. Dąbrowski myślał o przedarciu się do Turcyi, lecz tajemnica się wykryła i odwołany został do Medyolanu, gdzie później powierzono mu inspekcyę jazdy lombardzkiej[2]). Ostatecznego

[1]) Klęska Austryaków pod Hohenlinden i wyparcie ich za Adygę obudziły nowe nadzieje w Polakach. Legioniści, którzy bagnetem, zwykłą bronią Legionistów, oczyszczali Włochy, Dąbrowski, który zdobył Peschierę i oblegał Mantuę, Kniaziewicz, który już dążył pod Wiedeń mniemali, że nadeszła wreszcie upragniona chwila spełnienia się ich marzeń. Do 16000 ludzi liczyły już Legiony, a było to wojsko dzielne, wytrwałe, moralne, zyskujące sobie powszechne uznanie. I wołali radośnie Polacy:

— Oto wschodzi nam znowu jutrzenka wolności!

— Oto znakomite hufce przyszłej naszej armii polskiej!

Nie osłabiały tych nadziei nawiązywane układy pokojowe.

— Ludzie, którzy walczyli z takiem odznaczeniem się, powinni być przekonani o szczerej życzliwości rządu, któremu służyli! — pisał Moreau do Kniaziewicza.

Przypominano sobie dawną ucztę w Paryżu, na której senator Garat rozprawiał o wskrzeszeniu Królestwa Polskiego, a Kniaziewicz miał przypominać Kościuszce, jako niegdyś w Międzyborzu wykonali uroczystą przysięgę na monarchiczną ustawę 3-go maja.

W społeczeństwie polskiem rozchodziły się różne zdania

— Francya porozumiewa się z carem Pawłem względem wyniesienia na tron Polski syna jego w. ks. Konstantego, od samychże Polaków niegdyś przedstawianego!

— Mógłby także być królem Polski arcyksiążę austryacki, palatyn węgierski!

— Król pruski otrzyma Hanower za swe posiadłości polskie!

— Rosya dostanie Konstantynopol, a cesarz Bułgaryę i Bawaryę!

Radość z takich nadziei napełniała Polskę całą, a w Warszawie widziano uszczęśliwionych mieszkańców klękających na ulicy i odmawiających głośno dziękczynne modły do Boga. Ale wkrótce rozwiały się te marzenia. — Morawski, VI, 42, 43; Sokołowski, IV, 1295; Limanowski, 35.

[2]) Lewicki, 380, 381; Morawski, 44, 45; Limanowski 35.

to w prasie niemieckiej wre zacięta walka.

Prasa katolicko-niemiecka, t. zw. centrowa z chwilą ukazania się okólnika arcybiskupa odrazu przestała wszelkich uszczypliwych wycieczek przeciwko Polakom. Przekonała się widocznie, że chodzi tu o obronę zasady *kościoła,* a to tak dobrze obowięzuje Niemców katolików — jak i Polaków-katolików.

Za to tem więcej wścieka to hakatystów. Zapędzili się tak daleko, że zdaje, chcieliby może, ażeby rząd wojsko wysłał na poskromienie nieletnich obrońców wiary.

Niedość im tego. W oczach ich N. Ks. Arcybiskup, broniąc zasady kościoła katolickiego, przestąpił granicę złożonej — cesarzowi przysięgi. To — zdrada! — wołają.

I co chcą tem osięgnąć?

Otóż ni mniej, ni więcej, tylko

złożenie N. ks. Arcybiskupa z urzędu, z tronu arcybiskupiego.

Taką propozycę z brutalną otwartością robi — „Berliner Tageblatt“.

To nic innego tylko pobudka do — nowego kulturkampfu.

Dla tego i my zawczasu przestrzegamy lud nasz polski i katolicki. Jeżeli — o czem jeszcze wątpimy — rząd chciałby postąpić za radą poważnego zresztą organu niemieckiej opinii, lud polski wiedzieć winien, co ma robić. A chwała Bogu, żyją jeszcze wśród ludu tradycye pierwszego kulturkampfu. Nauczą one nas, jak bronić wiary, jak bronić dostojników Kościoła.

Z chwilą, gdy rząd niemądrej tej rady usłucha, milionowe zastępy ludu naszego, wszystkich warstw i wszystkich przekonań spowite zostaną w jeden nierozerwalny, zgodny obóz, posłuszny jednemu tylko rozkazowi: interesowi Kościoła i narodu!

Bracia, czuwajmy!

Straszna przemoc, co nas gnębi
Wie to dobrze — zbyt rozumna,
Że, gdy serce nam wyziębi,
Z uczuć naszych będzie trumna.

Powrotna fala.

Nienawidzę! Sto lat cierpimy pod uciskiem obcego rządu. Po raz pierwszy potrzeba powołała nas do walki, której końca nie widzimy.

Cierpieliśmy! — długie, niezliczone, niewypowiedziane katusze, męki, bezduszne prześladowania.

I ocknął się naród.

Były lata kulturkampfu. Z dusz i serc naszych, z myśli naszych gwałtem wydzierano wiarę.

A lud wiarę tę świętą, lud nasz polskość swoją podniósł do wyżyn świętości.

Kolonizacya! — klucze polskiej ziemi w wraże przechodziły ręce.

Bo lud się zniemczy, gdy opuści go „pan i ksiądz“.

I nie opuścił ludu ni pan, ni ksiądz. Wielu sprzedało, wielu wykupiło, i pan i ksiądz i lud polski stoi niewzruszenie.

Popłynęły miliony — a za miliony lud polski z wrażej ręki nabywał piędź po piędzi ziemi. Głodem przymierał, chleb jadł suchy, wodą go zakrapiał, potem znoił, jadł i pracował, a nie ustępował. Nie bił się a walczył, męczył a zdobywał i nie ustępowali wrogowie, a nad krwawemi znaki wypisywali: czarny, upiorny sztandar zniszczenia, zatracenia.

Nie pomogła kolonizacya, nie przemógł „cięty“ ton, nie ustraszył ni posąg spiżowy, ni królewski zamek, ni mądrość gnieżdżąca się w gmachach bibliotecznych, ni piękność obcej sztuki.

Powolnie, nieśmiało, cichym krokiem szedł między lud głos: budźcie się z uśpienia! — na ziemi waszej bujnie wykwitnie kłos! — przyszłość rośnie! — wierzcie! — nie ustępujcie:

I wierzył naród. Bóg nawiedził go doświadczeniem, nawiedził karzącą za ojców grzechy ręką, za błędy, za wady, za waśnie, za spory, za pieniactwa, za zdradę ojców swoich cierpicie!

„Oni nie wiedzieli, co czynili. Ojczyźnie źle służyli. Służyć macie wy jej lepiej.“

Były lata pokuty, lata naprawy, nadeszły lata żniwa, mające plon przynieść wiekowych błagań i cierpień.

I mamy lato takie.

„Czemuż im bronicie?“ — woła Chrystus Pan na apostołów swoich. Dozwólcie maluczkim przystąpić do mnie. I pogarnęły się dzieciny do Pana swego. A On błogosławiąc im, w wiekuistej mądrości swojej, rzekł do apostołów:

Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, ktobykolwiek zgorszył jednego z

doznali Legioniści rozczarowania, gdy nastąpiło ścisłe porozumienie się pomiędzy Francyą a Rosyą (8 października 1801 r.)[3]).

Ażeby pozbyć się z Francyi niewygodnych teraz dla pierwszego konsula Polaków[4]), rozkazano Legionistom z legii naddunajskiej, jakby francuskim żołnierzom, siadać na okręty (w końcu grudnia 1802 r.) i płynąć na wyspę San Domingo, gdzie zbuntowali się murzyni[5]). Przeciwko tym, którzy płynąć nie chcieli, wymierzono armaty.

Na tej wyspie wyginęli Legioniści nie tyle w orężnej walce i od okrucieństwa murzynów, ile od klimatu, a mianowicie od żółtej febry, która zmiatała ich gromadami (roku 1803)[6]). We Włoszech pozostały tylko małe resztki Legionów.

Taki był los sławnych pierwszych Legionów polskich. Służyły one sprawie obcej, aby swojej dopomódz i w tym szlachetnem przedsięwzięciu doznały srogiego zawodu.[7])

[3]) W następstwie umizgów Bonapartego do cara Pawła szedł piękny prezent, a mianowicie odesłał do Petersburga ślicznie przybranych jeńców. Paweł wygnał zaraz z Mitawy rodzinę Burbonów i francuskich emigrantów. Po uduszeniu Pawła I, nie bez wiedzy syna jego i następcy Aleksandra I zawarł Bonaparte z tym drugim następujący traktat (8 października 1801 r.): „Każdy poddany państw układających się, który bawiąc w granicach jednego państwa, czyni zamachy na bezpieczeństwo drugiego, będzie natychmiast wydalony i odstawiony do granicy, bez możności odwołania się do swego rządu“. Odnosiło się to zastrzeżenie tak do emigrantów francuskich w Rosyi, jak i do Polaków walczących pod sztandarami francuskimi. — Morawski, VI, 43; Sokołowski, IV, 1295.

[4]) Gdy po zawarciu traktatu z Rosyą chciał się Napoleon pozbyć Legionistów, co było rzeczą całkiem naturalną, niektórzy pisarze jak Morawski i Limanowski piszą, że on „nie rad był a nawet obawiał się stracić tak dzielnego żołnierza“. — Mor. VI. 43; Lim. 36.

[5]) Francya, po zawarciu pokojów, będąc swobodną, zwróciła teraz uwagę na posiadłości zaatlantyckie, a mianowicie na wyspę San Domingo (Haiti), gdzie wódz murzynów, przebiegły i odważny Toussaint Louverture, wypędziwszy Anglików, chciał utworzyć państwo niezawisłe i oderwać od Francyi tę ważną osadę zwaną „perłą Antyllów“. — Sokołowski, IV, 1298.

[6]) Naród polski, dla którego wolności i niepodległości walczyli, we wdzięcznej pamięci zachowywać winien imiona tych straceńców i bohaterów. Pomarli tam: generał Wład. Jabłonowski, towarzysz Napoleona ze szkoły wojskowej w Brienne, szef batalionu Bolesta; kapitanowie: Osękowski i Rembowski, oficerowie: Sadowski, Krzycki i Wodzinowski; szef Jasiński odebrał sobie życie. — Zaledwie mała liczba (około 400) powróciła w r. 1805 do Europy; 800 jęczało do r. 1809 na angielskich pontonach (łodziach mostowych przy armiach); niektórzy zaś pozostali na wyspie San Domingo, gdzie dziś jeszcze mają się znajdować rodziny z polskiemi nazwiskami. — Sokołowski, IV, 1299; Korzon j. w Tyg. ill. 1906 Nr. 21 str. 226.

[7]) Postąpienie takie Francyi z Polakami, tyle poświęcającymi się dla niej, stanowi jednę z najsmutniejszych kart naszych dziejów porozbiorowych i nie przynosi zaszczytu ani Francyi ani tak przez wielu uwielbianemu samolubnemu Napoleonowi. Że tenże nie o Legionach ani o Polsce, ale o samym sobie tylko myślał, świadczą szczere i tak treściwe samochwalcze słowa jego wypowiedziane w ostatnich latach życia na wyspie św. Heleny:

„Zwycięstwa pod Arcole i Lodi dały mi 20,000 jeńców polskich, którzy służyli w armii austryackiej. Dowiodłem trafności zdania, przypuszczając, że będą zdatni do służenia mi. Zaciąg-

tych maluczkich, lepiej że kamień młyński do szyi przywiąże i zatopi się na dnie morza.

Kto przeciw dzieciom walczy, kto czyste dusze ich plami, kto je gorszy i do grzechu nawodzi, lepiej — żeby sobie kamień młyński do szyi przytroczył i na dno morza się rzucił.

Przeciwko Bogu walczy — a Bóg jest sprawiedliwy. Zwycięży, kto w Niego wierzy.

I pocznie się fala powrotna. Przed siłą moralną dzieci ukorzy się wróg.

To nie koniec, to początek, to duch czynu wlany w naród. Przez czyn się naród odrodzi. Kto przez wieki krzywdy narodowi uczynionej nie odczuł, odczuje ją teraz przez dzieci swoje. Obudzi się, sen wiekowy zburzy i z bólem zapyta się:

Czem ja jestem?

A głos potężny odpowie mu:

Niczem! — gdy nie czujesz się cząstką potężnego narodu. Niczem! gdy do szeregu nie staniesz broniącego praw przez Boga nadanych. Niczem! — gdy nie umiesz cierpieć za swój naród, za braci, za synów, za wnuków, za przyszłe pokolenia.

I płomień ognisty w serce jego wpali uczucie: czynu i miłości dla braci i przyszłych pokoleń! — sromu za przeminione lata utrapień w uśpieniu i obawie! — żądzę czynu i obrony.

I obudzi się w nim lew zgłodniały, do ofiar i poświęceń gotowy, widzący gwiazdę przewodnią w jutrzence przyszłości.

I odwróci się fala ucisku, ustąpi duch przemocy i bezprawia — i zawoła bohater: hosanna, hosanna.

A Bóg ślady walki jego znaczyć będzie bezkrwawemi zwycięstwy, zdobyczami bez wawrzynów.

Koniec cierpień, koniec utrapień, koniec bólów, koniec skarg, koniec żalów, pozostanie po nich zaledwie wspomnienie i pamięć dalekiej przeszłości."

Powrotna to fala!

Chochlik.

Dalej do pracy! nie tracić nam czasu,
My robotnicy, wielkiej myśli słudzy!
Choć z nas niejeden padnie wśród zapasu
Cel nie ominie, osiągną go drudzy.

Strajk szkolny rośnie.

W ostatnim numerze „Pracy" donosiliśmy, że strajk szkolny zaraz po rozpoczęciu szkoły wybuchnął w następujących miejscowościach: w Ratajach pod Poznaniem, w Buku, w Murowanej Goślinie, w Dolsku, Poniecu, Czartowie pod Poniecem, Środzie, Kamienniku nad granicą bandenburską, w Witkowie, w Gorzykowie pod Witkowem, w Kruświcy, w W. Sławsku pod Kruświcą, w Powidzu, w wspólnej szkole, do której chodzą dzieci z Wojnowa, Mochla, Probówki, Osowic, Smolar, Chmielowa i Nowejrody w Dąbrówce i Zawadzie w Bydgoskiem, w Szymborzu i Jacewie pod Inowrocławiem, w Gniewkowie, Krobi, w Podgórzynie pod Żninem, w Gniewkówcu, w Piesnie i Walentynowie pod Łobżenicą, w Markowicach, Wławiu, Kobylinie, Pawłowie, Gnieźnie, Zanie-myślu, Raszkowie i Ostrowie.

Taki był początek strajku. Wiadomości te pochodzą z dni 15, 16 i 17 października.

Odtąd w żadnej z powyższych miejscowości strajk *nie ustał.* Tu i owdzie znękane i karami zafukane maleństwa na razie osłabną, ale po chwili śmiało podnoszą znowu głowę i zamiast „gelobt" — pochwalony wołają. Dzieci, im więcej cierpią, tem gorliwiej modlą się do Boga. I składa się tak szczęśliwie, że obecny miesiąc poświęcony jest różańcowi św. Dzieci błagają Boga o siłę, o wytrwałość i o męstwo. Nie podobna, by Bóg tych czystych modłów, z czystych płynących dusz nie wysłuchał.

W każdym razie strajk się szerzy, miejscowości jedna przed drugą prześcigają się w gorliwości obrony — wiary św. i języka.

Do poprzednio wymienionych dołączyć należy jeszcze następujące: *Poznań* z przedmieściami. Tutaj w pierwszych dniach nauki religii zupełnie zaniechano, a we wtorek tego tygodnia przyszły do redakcyi naszej dzieci i ojców kilku z doniesieniem, że *nauczyciele kazali dzieciom przynieść wnioski o udzielanie religii w języku polskim.*

Oprócz w Poznaniu strajkują dzieci w Sośnicy pod Krotoszynem, w Dubinie, w Łagiewnikach pod Kruświcą, w Piłce w Wieleńskiem, w Jankowie Zaleśnym pod Raszkowem, w Kościanie, Śremie, Śmiglu, Kluczewie, Przemencie, Starkowie, Błotnicy, Polskiem Wilkowie, w Górce pod Łob-

---

Jedna tylko ich pozostała zasługa:

— Legiony polskie szeroko rozniosły znowu sławę imienia polskiego i nie dały Europie jak i całemu światu zapomnieć o Polsce![8])

To ich znaczenie i sławę skreśla Legionista Cypryan Godebski w pięknym wierszu: „Do Legionów Polskich," w którym pisze:

„Polak nie mając swej ziemi, na jedną już stopę
Mierzy krokiem zwycięskim zdziwioną Europę,
I ten, którego imię zniknęło na karcie,
Dla jednych postrach zemsty, drugim niesie wsparcie."[9])

(Ciąg dalszy nastąpi.)

---

nąłem ich pod moje sztandary i to była rachuba, jedna z najlepszych, jakie zrobiłem kiedykolwiek. Nieśmiertelnym dowodem tego są usługi, świadczone mi odtąd przez nich. Potrzebny był dla nich komendant ich rodak: odgadłem gen. Dąbrowskiego i to był też wyborny nabytek." — Memoires de Napoleon le Grand, ecrites par lui-même... pas le Dr. Sforza. Rome 1905 str. 29).

Napoleon igrał więc z najszczerszym patryotyzmem Polaków, widząc, że jest ich bożyszczem a wobec tego bałwochwalczego prawie kultu dla niego malała w końcu cześć dla Naczelnika Kościuszki, którego jakby już nie rozumieli Legioniści. Nawet tyle zasłużony Wybicki, polecający w mazurku „Jeszcze Polska nie zginęła", Dąbrowskiego, że nauczył się od Bonapartego, „jak zwyciężać mamy", przyczyniający się więc w znacznej mierze do rozpowszechnienia tego kultu — był takim bałwochwalcą swojego bożyszcza, że w r. 1806 r. wpadł do Warszawy, żeby zabrać 700,000 korcy zboża w ciągu 24 godzin dla jego pułków... i potem nic już godnego pamięci nie zdziałał dla swego kraju. — Tad. Korzon, Uzdr. Kość. i spr. Legionów. Tyg. ill. 1906. Warsz. Nr. 12 str. 226.

[8]) Chwałę polską opiewali publicznie Włosi i na każdym kroku zapewniali:

— Nie zapomnimy nigdy, ile wolność włoska zawdzięcza walecznym Polakom!

W Szwajcaryi i Niemczech więcej ufano żołnierzom polskim, niż francuskim. Z ukazaniem się ich sztandarów zaraz rozlegały się głosy powitania:

— Oto Polacy, którzy głoszą, że wolni ludzie są braćmi!

Bo też co do ducha obywatelskiego wysoko stały hufce polskie. Jak bracia dzielili się Legioniści w biedzie ostatnim groszem i kawałkiem chleba. Oficerowie przez patryotyzm pełnili służbę podoficerów. Kiedy C. Godebski pod Legnano straciwszy brata zalał się łzami, zacny Rymkiewicz wskazując na hufce, rzekł mu:

— Straciłeś brata, ale oto są także twoi bracia!

Braćmi czuli się Legioniści, podniesieni miłością Ojczyzny i tęskniący do niej, a o wyższych obowiązkach pouczali ich Dąbrowski i Wybicki następującemi słowy:

— Nie liczbą, ale przymiotami i cnotą możecie zwrócić baczność Europy! — Limanowski, 37.

[9]) Cypr. Godebski, żołnierz i poeta, jeden z t. zw. *szkoły rycerzy-poetów*, ur. w r. 1775 na Polesiu wołyńskiem. Ranny ciężko pod Weroną, w legii naddunajskiej został kapitanem. Gdy Austryacy wkroczyli do Księstwa Warszawskiego (r. 1809) walczył na czele 8 pułku i poległ pod Raszynem. — Encykl. Orgelbr. IV, 424.

żenicą, w Barcinie, Niechanowie i Szczętnikach pod Gnieznem, w Janiszewie i Gościejewicach pod Poniecem, w Nakle, Mogilnie, w Wyrzysku i Mrozowie pod Wyrzyskiem, w Koronowie, Opalenicy, w Odolanowie, w Garnkach i Granówcu pod Odolanowem, w Chodzieżu, Szubinie, Kępnie, Krotoszynie, w Roszkach pod Koźminem, w Kędzierzynie, Rozdrażewie, w Śniatach pod Śmiglem, w Będlewie pod Stęszewem. Tutaj landrat wzburzonych obchodzeniem się z dziećmi przez nauczycieli zwołał rodziców do szkoły. Rodzice nie ulegli namowom landrata i obstawają przy żądaniu nauki polskiej.

Lecz i na tem litania miejscowości stojących odważnie w obronie języka ojczystego się nie kończy. A więc wymieniamy je w dalszym ciągu, a mianowicie: w Pobiedziskach 22 rozpoczął się strajk; dzieci z pobliskich Pomarzanowic od rana do wieczora przesiedziały w szkole i w areszcie. „Lech" pisze, że o głodzie i w późną noc były jeszcze w Pobiedziskach.

Zaiste — mali bohaterowie, daj Boże wyrosną — na dzielnych.

Maryanowo w Wieleńskiem, Glesno pod Wyrzyskiem, Ostrzeszów, Baranów, Mikstat, Grabów, Zembców, Mała Topola, Zacharzew, Nadstawki, Krempa, Pruślin, Olszów, Siemianowice, Grembanin, Trzcienica i Wyszanów w południowych powiatach księstwa objęte są strajkiem. Tak samo Gębice pod Mogilnem, Kłeck, Markowice, Jaksice, Oporowo, Emowo i Giżewo, Złotowo na Kujawach, Pleszew, Dobieszewice pod Janikowem.

W Prusach Zachodnich wybuchł strajk. W Kiełbasinie i Kunzendorfie pod Chełmżą dzieci oświadczyły nauczycielom, że żądają polskiego wykładu religii. Tak samo w Łążynie i rzędowiei w Starogardzkiem.

Wolsztyn, Wągrówiec, Roszki w Koźmińskiem, Slesin pod Nakłem, Żydowo pod Gnieznem nie ustępują w gorliwości innym miejscowościom.

Czerniejewo, Kostrzyn, Hrakowo, Inowrocław, Pawłowo, Miłosław, Potrzanowo pod Skokami — Dębe, Stajkowo, Krusz, Nowina, Cieszkowo i Mikolajewo w Czarnkowskiem — Strzelewo w Bydgoskiem, — Lutynia pod Krotoszynem — Łabiszyn — Czerniejewo — Strzałkowo — Orpikowo nad Gopłem — w Zodyniu i Podmoklu w Babimojskiem — w Radomierzu, Górsku, Starkowie i Perkowie — Mątwy i Zębin na Kujawach — Bachorcie, Wola, Gocanów, Tarnówko, Chełmce pod Kruświcą — Kruchowo pod Trzemesznem — Rynarzewo — Chrosno — Kiszczewice — Łososnik pod Gąbicami — oto skrupulatnie zebrany spis wszystkich miejscowości, które do chwili oddania tych wierszy do druku w pismach codziennych napotkaliśmy.

Nie podobna nam ich zliczyć. Może uczynią to czytelnicy sami ze siebie, może liczbę tę pomnożą przez sto — a w rezultacie wypadnie mniej więcej przeciętna liczba tej dziatwy polskiej, która broni wiary ojców, która broni się od zalewu germanizmu.

Strajk szerzy się z niepowstrzymaną siłą. Niestety pisma tu i owdzie donoszą o wybrykach nieznanych sprawców, którzy tu — wytłukli szyby w szkole, tam — wybili nauczyciela.

Takie postępowanie nie licuje z wielkością i świętością sprawy, której bronimy. Niech na tej obronie naszej nie będzie skazy, niech ona będzie czystą jak łza w oku — a obecny strajk szkolny będzie pierwszą, piękną kartą w naszych dziejach porozbiorowych.

Rodacy! — pamiętajcie, że nie tylko o własny walczycie honor, ale to walka o honor — całego narodu.

* * *

W ostatniej chwili dochodzą wiadomości o strajku jeszcze z następujących miejscowości: z Białężyna — Masłowa — z Osieka i Gleśna pod Wyrzyskiem — z Sadek — Mrozowa (szkoła obejmuje oprócz Mrozowa folwark Kraczki i kraczkowskie wybudowanie) — z Czempinia — Lubasza (cała parafia 1800 dzieci, odpowiada tylko 50!) — z Mikstata — Grodziska — Lucimia — Szamotuł — Żonia (cała parafia z Próchnowem, Poniszewem, Kaliszanami i t. d. strajkuje) — i z Dobieszewic pod Janówcem, z Łopienna, Swarzędza, Rożniat pod Kruświcą. Lisewa i Łojewa pod Inowr., z Ćwierdzinki pod Witk., z Wielowsi pod Gniewk., z Kościelca i Broniewa na Kujawach i ze Spytkówek.

Watykan o prześladowaniu dzieci polskich.

Niedawno temu umieścił półoficyalny organ Watykanu „Vera Roma" znamienny artykuł, piętnujący w ostrych słowach Prusaków za to, że dzieci polskie w dzielnicy naszej kijem i aresztem zmuszają do niemieckiej nauki religii. Ta sama „Vera Roma", najwidoczniej pod naciskiem instruk-

Z teatru.

O tempie gry aktorskiej.

Przy utworze muzycznym uważamy za rzecz naturalną oznaczenie tempa nad pierwszym taktem. Zwykle są to dopiski w języku włoskim, nadające kompozycyi z góry charakterystyczną jej cechę. W starej operze miał każdy numer muzyczny tempo ad hoc oznaczone, a w utworach wagnerowskich znajdują się na niektórych stronnicach partytury modyfikacye tempa o najróżnorodniejszych odcieniach. Dyrygent pomimo to nie zawsze potrzebuje trzymać się niewolniczo tych wskazówek, przeciwnie może operze nadać własny swój indywidualizm.

„Aida" pod batutą dyrygenta Dr. Mucka skończyła się prędzej o minut dwadzieścia, niż pod Ryszardem Strausem. Mówię, com słyszał i widział, a słowa te nie wyjęte z ust dowcipnych kapelisty-pijaka. — W scenaryuszach komedyi, dramatów i tragedyi wiele znajdujemy skazówek dotyczących rekwizytów, kostyumów i dekoracyi, ale niema tam żadnej wzmianki o tempie gry. Nie robi jej Szyler, ani Hauptmann, ani d'Anunzio. Wymiarem czasu powinien więc zająć się reżyser, wielkie i wdzięczne to zarazem dla niego zadanie; aktor sam z wielką tylko trudnością zadaniu temu racyonalnie odpowie, sytuacya robi się tem trudniejsza, jeżeli ma miernego partnera. — Niejeden autor zawdzięcza powodzenie słabego nawet dzieła odpowiedniej co do tempa grze aktorów, a przeciwnie nie rzadko rzecz napisana z rutyną sceniczną przepadła z kretesem dzięki interpretacyi w leniwem tempie.

Wystawmy sobie na przykład lekką farsę francuską graną w tempie ibsenowskiem! Horribile! — W podobnych utworach jedynie szybkość gry na scenie może ratować sytuacyę i zainteresować widza. Ale i w grze żywej aktor zachować winien miarę artystyczną. Nie wolno mu przy szybkiem tempie zapominać o wyraźnej wymowie, nie powinien przekraczać granic estetycznych i ze sceny robić areny wyścigowej. — Rozumie się samo przez się, że dramatów Ibsena w tempie Piotra Veber'a lub Alfreda Capus'a grywać nie podobna. Pomimo to wystawienie tegoroczne „Rosmersholmu" na scenie naszej dodatniejsze zrobiłoby wrażenie, gdyby reżyser niektóre miejsca w dyalogach podkreślił do wypowiedzenia ich w tempie żywszem. Artyści nasi nie są sławy europejskiej, sama więc obecność ich na scenie nie może wlać w nas błogiego uczucia szczęśliwości, nie może nam dać ekwiwalentu za nieskończenie powolnie wygłaszane dyalogi. — Ibsen szczególnie to istna kopalnia złota dla genialnego reżysera. Gdyby kierujący przedstawieniem przeczuwał

cyi z Berlina, upokorzyła się i pierwotne swe ostre wywody „objaśniającemi“ komentarzami osłabić się starała. I zdawało się, że znów jakiś dziwny, a niezrozumiały dla nas wiatr powiał w kołach Watyknu, a pisma hakatystyczne poczęły się już chełpić tem, że dzieje się to dzięki wpływowi księcia biskupa wrocławskiego, kardynała Koppa, który — jak wiadomo ogólnie — wrogo usposobiony jest dla wszystkiego, co polskie.

Dziś okazuje się jednak, że pierwszy artykuł półurzędówki „Vera Roma“, nie był rzucony na wiatr, prasa bowiem berlińska sygnalizuje drugi artykuł w sprawie polskiej. Tym razem nikt już zaprzeczyć nie może, iż tutaj naprawdę mamy do czynienia z opinią kół watykańskich.

W sprawie polskiej przemówił nareszcie „Osservatore Cattolico“, pismo, co do którego nawet dwóch zdań być nie może, iż jest nietylko jednem z najpoważniejszych w świecie organów kościelnych, ale nadewszystko wyrazem opinii Kuryi Rzymskiej.

W artykule wstępnym, nadesłanym przez „korespondenta z Poznania“, „Osservatore Cattolico“ poddaje niezmiernie ostrej krytyce politykę Prus wobec Polaków, która autorowi wydaje się „jeszcze brutalniejszą niż polityka Rosyi“.

„Każdy człowiek kulturalny — pisze argan watykański — musi oświadczyć jasno, że postępowanie rządu pruskiego w Polsce nie jest godne cywilizacyi. A przecież cesarz Wilhelm jeszcze przed niewielu laty zapewniał papieża Leona XIII, że kościół katolicki w Niemczech cieszy się zupełną wolnością“.

Opisawszy wszystkie męczarnie, którym system pruski w „swojej ślepocie i uporze poddaje niewinne biedne dzieci polskie, ażeby ich serca roztargać“ — „Osservatore Cattolico“ powiada w dalszym ciągu: „Całe szkoły cierpią z powodu nadużyć, których nad dziećmi dopuszczają się nauczyciele. Pomimo to ci mali obrońcy wiary i języka ojczystego nie ustępują. W takich warunkach nawet kamienie by się zlitowały. A tymczasem serca biurokratów pruskich pozostają twarde, bo system pruski nie zna litości. Dlatego też obowiązkiem przyzwoitej prasy całego świata być powinno energicznie zaprotestować przeciw takiemu barbarzyństwu, które nawet w Rosyi jest nieznane, i które jest niegodne państwa kulturalnego XX stulecia.

„Szczególniej dziwi nas zachowanie cesarza Wilhelma, który zawsze występuje jako chrześcianin, a który pozwala na to, ażeby jego urzędnicy spełniali takie niechrześciańskie czynności. Sąd historyi wyda swój wyrok o monarsze, który toleruje to, że podwładni jego urzędnicy poddanym jego przeszkadzają Boga w ojczystym wielbić języku“.

„Musimy jednak dodać — kończy organ Watykanu — że cierpienia dzieci to tylko jedna stronnica w tej wielkiej księdze, która się nazywa polityką Prus wobec Polaków. Wiemy jednak wszyscy z historyi, że pycha nadmierna jest poprzedniczką upadku i i dlatego nie dziwimy się wcale, że liczba wrogów Niemiec tak ogromnie w całym świecie wezbrała“.

Tyle w streszczeniu artykuł „Osservatore Cattolico.“ Musieliśmy w niejednem miejscu zmienić wprost ton i słów innych dobrać do tłomaczenia, by nie narazić się z całą świadomością na proces. Tak silne są wywody tego organu rządzących sfer w pałacu papieskim, a tem samem i w kościele katolickim.

Głos ten w tej chwili, gdy ważą się losy nauki religii w języku polskim, musi na szali ogromnie zaważyć. Nie ulega wprawdzie wątpliwości, że dziś Ojciec św. opuszczony przez Francyę, szukać musi poniekąd oparcia w niemieckim centrum w Niemczech, ale z drugiej strony nie ulega tej samej wątpliwości, że Ojciec św. chce bronić zasady kościoła nawet wbrew politycznym i dyplomatycznym interesom chwili. Tamte — zasady kościoła są niewzruszone, natomiast interesy polityczne Kościoła zmienne.

Dlatego Ojciec św. staje w obronie polskiej nauki religii w szkole niemieckiej, dla tego ks. Arcybiskup ogłosił swój okólnik, dla tego my Polacy, jeżeli chcemy zachować dobre imię nasze jako wierni katolicy — musimy niewzruszenie stać po stronie — Ojca św. i naszego arcypasterza.

Oto lud, co krew ma w żyłach,
A krew pono nie jest lodem,
Lud to z Pana Boga rodem,
To też czuje się na siłach.
Więc do czego się sposobi,
To nie idzie mu już zmudnie
I co robi — to już robi
Z całej duszy -- nie obłudnie
(Winc. Pol.)

---

jak słuchacza nużą w ospałem tempie wlokące się tyrady bez akcyi najmniejszej, ulitowałby się nieraz nad nim. Bez modyfikowania tempa oddziałują na scenie dyskusye długie zawsze monotonnie, a jeżeli na nieszczęście jeszcze w ostatnim akcie autor niemi nas obdarzy, to może być pewnym, że publiczność mu tego tak szybko nie przebaczy. — Artyści znakomici o sławie wyrobionej mimo wszelkich ograniczeń w tempie zachowują zresztą w sobie zawsze wiele wulkanicznego temperamentu, który gna ich z elementarną siłą naprzód i łamie przeszkody, jakie im autor lub partner stawia. — Niewyrobieni tylko aktorzy i dyletanci siłą się na wrażenie szerokimi gestami, cedzeniem słów i przeciąganiem nadmiernem dyalogów i akcyi.

Im oryginalniejszą indywidualność aktorska, tem trudniejsze zadanie wprowadzenia jej w tempo właściwe. Mam tu na myśli specyalnie Matkowskiego, wielkiego artystę sceny królewskiej w Berlinie.

Talent jego nie poddaje się reżyserowi, nie da się wtłoczyć w jarzmo szablonu. Jeżeli Matkowski pali się do swej roli, jeżeli lubuje się w grze, przeciąga niektóre sceny nieskończenie. Pomimo to widz nie nudzi się, przeciwnie, śledzi z zapartym tchem każdy gest, wsłuchuje się w każde wygłoszone słowo tego genialnego artysty z lubością; tyle tam finezyi i artyzmu. Ta sama scena innym razem trwa zamiast minut dziesięć, tylko trzy minuty bez najmniejszego uszczerbku dla całości sztuki.

Przed rokiem miałem sposobność widzieć i podziwiać w występach gościnnych talent Kainza, znanego na całe Niemcy wiedeńskiego artysty, i ten mi dowiódł, dzięki uchwyceniu właściwego tempa w kreacyi, że gra aktorska odnosić może niebywałe tryumfy. Kainz ogromne robi wrażenie żywością gestykulacyi i mowy. Artysta ten to bezsprzecznie największy muzyk pośród aktorów; adagio tempa również mu nie obce, przykładem tego jego kreacya Hamleta.

Jednakże wszędzie i zawsze tempo gry jego pochłania słuchacza. — A w komedyi gra Kainza przechodzi w szalony wicher. Jego „Figaro“ to stypa nie lada dla smakoszów.

Figaro za sceną, Figaro na scenie, Figaro tu, Figaro tam bez przerwy, bez wytchnienia, z wściekłą werwą, na przebój, tempo, tempo, to jego było hasłem.

Słuchacze byli uniesieni z podziwu, nazywali cudem to, co było li tylko sztuką aktora i reżysera zarazem.

„Szalony dzień“ przemknął im jak błyskawica przed oczyma. *A. Ch.*

Z zaboru rosyjskiego.

Warszawa, 23 października 1906

Jesteśmy w przededniu wznowienia walki o prawa nasze w zakresie samorządu gminnego i — przedewszystkiem — nauczania początkowego.

Administracya rosyjska w Królestwie, zamącona wszechwładzą naczelników wojskowych, skłonna jest uważać wszelkie rozporządzenia ministeryalne i nawet ukazy ostatniego roku, za rzeczy tymczasowe, a więc poniekąd w pojęciu rosyjskiem niebyłe, i usiłuje sprowadzić stosunki do stanu z przed 30 października roku ubiegłego.

Inspektorat szkolny zasypuje teraz nauczycieli szkół gminnych i miejskich okólnikami, w których przypomina nauczycielom, że szkoła ludowa u nas jest rosyjską, że jako główne swe zadanie ma nauczanie dzieci języka rosyjskiego i że nauczyciel poza lekcyą języka polskiego i religii, powinien pilnować praw języka rosyjskiego, pamiętając, że przy nauczaniu arytmetyki język miejscowy może tylko być stosowany, ale to nie znaczy, że powinien.

Inspektorat szkólny zapowiada także, że wznowi swe wizyty po szkołach, aby stwierdzić, czy przepisy władzy są wykonywane.

Rzecz charakterystyczna, że okólniki, przeznaczone dla nauczycieli szkół gminnych i szkół miejskich, kurator warszawskiego okręgu naukowego, zebrawszy je w jedno, przesłał także do zarządu głównego Polskiej Macierzy szkolnej.

Także po gminach naczelnicy zaczynają przemawiać zupełnie z innego tonu i sprawa języka polskiego w protokółach zebrań gminnych i sprawa niezależności wyborów urzędników gminnych staje się w wielu powiatach znowu aktualną.

Te usiłowania powrotu do stosunków dawnego bezprawia odbywają się pod osłoną sądów polowych i wśród napaści rosyjskiej prasy gadzinowej. I obecnie, zupełnie jak za czasów Hurki, artykuły tej prasy wskazujące na kogoś palcem, kończą się wsadzeniem tego kogoś do więzienia. Tak się stało przed paru dniami w Łodzi, gdzie zrobiono u szeregu wybitnych narodowców rewizyę i osadzono ich w więzieniu, niemal jednocześnie z artykułem w „Nowoje Wremia“, który oburzał się, że w Łodzi odbywa się bojkot szkoły rządowej, że kierują nim narodowcy, a pomimo wszystkiego znani ich przywódcy chodzą po mieście najbezpieczniej. Policya nie omieszkała przy okazyi rewizyi u p. Kaź. Arkuszewskiego, delegata Macierzy, zabrać wszystkich dokumentów, dotyczących tej ulegalizowanej instytucyi oświatowej. Rewizye i areszty zwolenników demokracyi narodowej nie odbywają się tylko w Łodzi; aresztowano ostatnimi czasy kilku robotników-narodowców także w Warszawie, a na prowincyi działaczy ludowych. Są to rewizye i aresztowania najzupełniej bezprawne, ale czynownicy muszą dać przecie jaki upust swej nienawiści do stronnictwa najbardziej przez nich znienawidzonego, no i choć częściowo zrównoważyć w Królestwie wpływy demokracyi narodowej i socyalizmu, zachwianego zupełnie ostatnimi czasy na korzyść pierwszej.

Nie tenci żeglarz, co płynie po wodzie,
Nie poruszonej nic wiatrem w pogodzie.
Ale kto wały, gdy biją najcięższej
Wiosłem zwycięży!

Po latach dziesięciu.

(Własna korespondencya „Pracy“.)

Lwów, dnia 22 października 1906.

Z końcem października r. 1896 odbyły się w 30 powiatach wybory do rad powiatowych. Wybory te były świetnem zwycięstwem młodego, ruchliwego i posiadającego zwolenników w szerokich sferach młodej inteligencyi stronnictwa ludowego. W całej prawie Galicyi zachodniej a nawet w jednym wschodnio-galicyjskim powiecie przeszły znacznemi większościami listy kandydatów tego stronnictwa. Kandydatami byli przeważnie, niemal wyłącznie włościanie. W łonie stronnictwa kierowanego siłami młodemi z jednej strony uciecha zupełnie usprawiedliwiona, z drugiej troska. Nadchodzą wybory do sejmu, do rady państwa, w ludzie wiejskim taka ochota, taki zapał do spraw publicznych, że najśmielsze nadzieje zaczynają się zjawiać wśród gawęd przyjacielskich, przyszłość jasna wydaje się tak bliską, że jeno powiedzieć „stań się“, aby się naprawdę stała rzeczywistością, więc wszyscy czują pewność zwycięstwa, a tu zupełny prawie brak sił inteligentnych zdolnych nie tylko do wyrażania sympatyi i dzielenia radości, ale i do czynnego udziału w życiu politycznem. Rozrost młodego ruchu zaskoczył kierowników i zastał ich nieprzygotowanych. Troska ukazała się w krótce uzasadnioną.

W obozie tych, przeciw którym zwracał się ruch ludowy, między konserwatystami nierozumiejącymi chwili i nie zdolnymi jeszcze do dzielenia swojego przywileju z szerokiemi masami narodowemi zapanowała konsternacya. Zwycięstwo „chłopów“ przypisywali zdrożnemu ruchowi burzącemu ład i porządek, uważali je za nowy objaw kastowości. Skupili się celem obrony „narodu“ zagrożonego i milcząco wypowiedzieli walkę ludowi, który chciał tylko stać się prawdziwym obywatelem.

Demokraci „starego autoramentu“, ci co nie widzieli innego zadania dla siebie nad jałową walkę ze stańczykami, ci co 30 lat życia konstytucyjnego zmarnowali nie zorganizowawszy nawet warstw inteligentnych i miejskich, wśród których mieli przeważny wpływ, przypatrywali się temu objawowi ze zdziwieniem nie rozumiejąc go i nie oceniając należycie. Więcej było w nich zazdrości z tego powodu, że to nie ich wpływy ruch ten wywołały, jak przychylności dla ziszczającego się ideału wszystkich prawdziwych demokratów polskich: zobywatelenie się ludu.

Do umysłów jednak nie zasklepionych w doktrynie ruch ten przemawiał. We Lwowie właśnie były wybory dwu posłów do sejmu. Wszyscy kandydaci na posłów oświadczali się ze sympatyami dla ruchu ludowego a te ich oświadczenia przyjmowane były z dużym applauzem przez inteligencyę wybierającą. Świadczyło to, że ruch ludowy rozszerza zakres swych wpływów i wśród tych sfer.

To zwiększało nadzieje i budziło do pracy.

Tak było przed laty dziesięciu.

Pokładane nadzieje w nowym, narodowym ruchu zawiodły jednak. Rozpoczęcie wielkiej akcyi politycznej bez należytego przygotowania okazało się dla ruchu zgubnem. Silna ręka Badeniego zadała mu cios niemały ze szkodą sprawy narodowej. Lud wiejski rozagitowany do wyborów, nie oparty o żadną silną organizacyę, nie mógł doznać znikąd opieki wtedy, gdy śmielsze z pośród niego jednostki gnębiono. Kierownicy zamiast iść w głąb ludu i zrzeszać go, rozpoczęli szczepić nienawiść klasową łudząc się, że tym sposobem zyskają potrzebną siłę do zwycięstwa, a taktyką bez potrzeby bezwzględną odstręczyli od siebie przyjaciół wielu. Z siły i wielkiego rozmachu zostały resztki, zasklepili się więc w nienawiści klasowej jak straceńcy i tak dotrwali do doby obecnej.

Przyszły u nas czasy w których jedynie jednomyślna opinia publ-

może zadecydować o zyskaniu może i dużych praw narodowych. Społeczeństwo dosyć jednomyślnie oświadcza się za tą zdobyczą. Nie zbyt silnie, bo tak rzadko nadarza mu się sposobność wyrażenia swoich życzeń a tak długo myślała i działała za nie garść uprzywilejowana. Lecz i tę siłę, jaka może płynąć z jednomyślności, paraliżują zaślepieni w swej nienawiści rzekomi wodzowie ludowi. I wtedy gdy znaczna część włościaństwa, zwłaszcza ta, która odżyła na nowo po długim śnie sprowadzonym na nią przez zręcznych pracowników ruskich, z młodą siłą i ochotą daje swe głosy za prawami narodowemi, właśnie wodzowie chcą przedstawić cały lud polski jako wroga tych praw. Wtedy gdy całe świadome społeczeństwo walczy o potrzebną mu ilość mandatów poselskich, o zapewnienie żywiołowi polskiemu należnej mu przewagi, wódz ludowców wiedzie kilkunastu chłopów obałamuconych i unurzanych w nienawiści do wszystkiego co nie chłopskie, do ministra austryackiego z protestem przeciw swoim i ich narodowym żądaniom. Wtedy, gdy świta nadzieja uzyskania szerszych praw własnych, które pozwolą i na zniszczenie przywileju szlacheckiego, gdy otwiera się możność uzyskania wyłącznego wpływu na nasze szkoły, niesie ten sam zaślepieniec wyłudzone lub fałszowane petycye tego ludu polskiego, protestujące przeciw tym żądaniom znowu do ministra austryackiego. Słusznie spotyka go ten wstyd, że minister austryacki każe mu czekać dosyć długo i nie bardzo chce go przyjąć. Ten wódz o którym przed dziesięciu laty mówiło się, że może być chlubą ludu polskiego, dziś spełnia w jego imieniu takie hańbiące ten lud czyny.

Jednak społeczeństwo jest już dość silne w swej opinii, aby nią nie przeciwważyło temu krokowi garstki szaleńców i dość postąpiło we własnej organizacyi, aby się na daleką przyszłość mogło obawiać takich zdarzeń. Stronnictwo ludowe organizowało się znowu jedynie na czas wyborów i dziś z powodu wyborów bliskich zdradza żywszy ruch, całość zaś społeczeństwa rozumie potrzebę trwałej organizacyi na przyszłość i ocenia siłę ztąd płynącą. Wiemy też, że ta siła pokona nawet zaślepienie. *Bes.*

Dziś nie słychać polskiej pieśni,
Inne hasła, obcy ludzie,
Polskość skryła się gdzieś w cieśni,
Nie ulegniem żadnej złudzie,
Dzisiaj dręczy cały kraj
Hakatystów piękny maj

List z Galicyi.

Oddawna zbierałem się napisać do kochanej „Pracy“ o stosunkach w tej części Polski, którą Galicyą nazywamy, celem poinformowania rodaków z Poznańskiego o naszem narodowem życiu. Na razie u nas jakby cicho ale to tylko pozornie. Wewnątrz wre i kipi, ścierają się różne zdania, prowadzi się krokiem dość stanowczym pracę narodową. Jeśli mówię wre i kipi to mam tu przedewszystkiem na myśli niezałatwioną reformę wyborczą do parlamentu, która wciąż jeszcze zaprząta umysły. Ściśle z tą sprawą łączy się rozszerzenie autonomii i reforma wyborcza do Sejmu krajowego. Wogóle życie polityczne u nas w roku bieżącym w całej pełni. Podniesienie tylu ważnych spraw zaostrzyło walki stronnictw tak, że tylko tem zajęci mało zwracamy uwagi na odwrotną stronę medalu t. j. na szarą pracę kulturno-oświatową, jaką prowadzą różne nasze instytucye. A tymczasem i tu nie próżnujemy, choćby tylko parę towarzystw wymienić.

W pracy tej przoduje bezwarunkowo Towarzystwo Szkoły ludowej (T. S. L.). Na ostatniem walnem zgromadzeniu tegoż towarzystwa, tem „oświatowym sejmie polskim“ stwierdzono rozwój działalności T. S. L. na wszystkich polach.

Dotąd najżywotniejszą działalność okazywało ono we wschodniej części kraju — dziś i „koła“ w zachodniej Galicyi zaczynają się pomału „ruszać“. Nie można także pominąć milczeniem tej wielkiej roli, jaką w T. S. L. spełnia nasza młodzież. Zgrupowana w kołach akademickich okazuje wiele poświęcenia dla idei T. S. L.

Mimo walki na tle politycznem, która dziś już na wieś się przeniosła, towarzystwo kółek rolniczych i różne spółki rolnicze te najżywotniejsze nasze instytucye ludowe coraz więcej okazują ruchliwości i szlachetności w spełnieniu obowiązków.

Nie wszystko wprawdzie u nas tak jak być powinno, wiele jeszcze niedomagań, jednak pierwszy wyłom zrobiony — społeczeństwo coraz szczerzej zaczyna się interesować temi sprawami — co daje rękojmię, że akcya nasza na polu pracy społeczno-oświatowej nie skończy się na pierwszych strzałach ale będzie się nadal rozszerzać dla powszechnego dobra.

Szermierz.

Polacy na obczyźnie.

Dysseldorf, 21 października 1906.

Zasyłam serdeczne pozdrowienie kochanym rodakom w kraju i proszę Szanowną Redakcyę o łaskawe zamieszczenie następującej korespondencyi.

Dziś po południu odbył się u nas wielki wiec polski w sprawie opieki duchownej. Na wiec ten przybyło przeszło pół tysiąca rodaków i rodaczek. Przybyli wiecownicy nietylko z Dysseldorfu lecz także z Geresheimu, Hilden i Ratke, miejscowości sąsiednich.

Po zagajeniu wieca przez prezesa komitetu kościelnego, p. Walentego Chwiałkowskiego, przystąpiono do utworzenia biura wiecowego. Na marszałka wieca powołano zamieszkałego tutaj od wielu lat p. Stan. Kolendę, na sekretarza p. J. Kierblewskiego z Hilden, na ławników pp. Kolanowskiego i Marcinkowskiego.

Jako pierwszy mówca programowy wystąpił p. Ign. Żniński z Bochum, przez komitet na wiec zaproszony. W podniosłych słowach dowodził mówca, że jeżeli gdziekolwiek, to tu na obczyźnie grozi nam poważne niebezpieczeństwo utraty religii. W pochodzie za czerwonym sztandarem coraz więcej rodaków widzimy. Wynarodowią się i utracą wiarę. Powiedział przecież socyalista Liebknecht, że „ nową religią jest socyalna demokracya, a Bebel wyraził się, iż „na polu religijnem dąży socyalna demokracya do ateizmu“. W walce z bezbożnością, w walce z wynarodowieniem wyciągamy rękę o pomoc do duchowieństwa. Niech względy polityczne ustąpią, a tylko ludzkość i miłość chrześciańska kieruje krokami władzy duchownej, która ma obowiązek dbać o dostateczną opiekę duchowną dla Polaków.

Panu Żnińskiemu podziękowano gromkiemi oklaskami.

Teraz wstąpił na mównicę prezes komitetu kościelnego p. W. Chwiałkowski, aby zdać sprawozdanie z działalności komitetu. Dowiedzieliśmy się z ust mówcy, że komitet otrzymał ponownie odmowną odpowiedź. Nabożeństwo dla Polaków w Dysseldorfie odbywa się raz na miesiąc po południu w kościele OO. Franciszkanów. Z powodu podeszłego wieku O. Konstantego nie mogą się nabożeństwa częściej odbywać. Przybył tu jednak na posadę wikaryusza przy kościele św. Józefa ks. Scharte z Oberhausen, tamtejszy duszpasterz Polaków. Komitet prosił go o regularne odprawianie nabożeństw polskich i o pomoc dla O. Konstantego. Ks. Scharte swą pomoc przyo-

biecał, lecz kazał się Polakom starać o kościół, bo rozkład nabożeństw w kościele św. Józefa nie pozwala na to, aby dla Polaków osobne nabożeństwa się odprawiały. Udali się więc członkowie komitetu do O. prowincyała Franciszkanów, aby pozwolił w klasztorze ks. Schartemu nabożeństwa odprawiać. Nie przyszło jednak do porozumienia, ponieważ zakonnicy się obawiają, aby później, gdy ks. S. możliwie opuści Dyseldorf, sami nie mieli potem obowiązku odprawiania nabożeństw polskich co dwa tygodnie. Obraz więc jest taki: *w parafii św. Józefa jest ksiądz, któryby mógł nabożeństwa polskie odprawiać, ale niema kościoła do dyspozycyi; w klasztorze natomiast jest kościół wolny, lecz niema księdza!*

W dyskusyi nad sprawozdaniem p. Chwiałkowskiego radzono, aby komitet wysłał ponownie petycyę do ks. kardynała Fischera i obecne położenie sprawy mu przedstawił. Przyjęto uchwałę wysłania petycyi.

Następnie potwierdził wiec kooptowanych członków komitetu, a kilku mówców dało wyjaśnienie o zadaniu komitetu. Bardzo trafnie zauważono, że komitet jest tylko pośrednikiem pomiędzy ogółem Polaków a władzą kościelną.

Na wiecu uchwalono utworzenie Tow. Różańca św. dla Polaków; w sprawie tej odbędzie się osobne zebranie ze dwa tygodnie. Zachęcała do tego pani Strzyżewska i inni mówcy.

W dyskusyi zabierali głos panowie Borowicki i Bąk o popieraniu miejscowego Tow. św. Rocha, Strzyżewski i Mucha o pielęgnowaniu religii w języku ojczystym w rodzinie. Pan Flisikowski starszy, powszechnie „ojcem“ tutaj zwany, przemówił na zakończenie w serdecznych słowach, wyrażając równocześnie żal swój, że obaj duszpasterze, tak O. Konstanty jak ks. Scharte, nie raczyli przybyć na wiec, chociaż ich tak bardzo o to proszono, a nawet w ostatniej chwili osobną deputacyę po nich wysłano jeszcze. Z przemówienia pana Flisikowskiego tchnęła jedna wiara o lepszą przyszłość i męstwo braterskie, zachęcające wiecowników do wytrwania w walce z przeciwnościami.

Po blisko 4 godzinach obrad treściwych zaśpiewano staropolską pieśń „Wszystkie nasze dzienne sprawy“, poczem marszałek wiec zamknął słowami „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“.

J. Kierblewski, sekr. wieca.

„Miłość ojczyzny wlał Pan Bóg w serce każdego człowieka jakiej bądź narodowości: jest to miłość ziemi rodzinnej, języka rodzinnego, miłość przeszłości dziejowej i miłości wspólbraci.“

Widmo olbrzymiego strajku.

Nad państwami i społeczeństwami środkowej Europy zawisło groźne niebezpieczeństwo w postaci walki ekonomiczno-społecznej — jakiej w takich rozmiarach nigdy jeszcze nie było. Coraz wyraźniej obecnie zanosi się na ogromny równoczesny strajk górników węglowych we wszystkich środkowo i zachodnio-europejskich państwach, a mianowicie wNiemczech, w Belgii, w Anglii, we Francyi i w Austryi.

Hasło do tej walki wyszło z Niemiec, a ściślej biorąc z Prus. Od czasu ostatniego wielkiego strajku górników w zagłębiu westfalsko-nadreńskim istnieje tam pewnego rodzaju rząd, który składa się wprawdzie tylko ze skromnych przedstawicieli stanu robotniczego, nie rozporządza bagnetami, a mimo to stanowi wielką potęgę. Jestto tak zwana „komisya siedmiu“, w której skład wchodzą przedstawiciele wszystkich wielkich organizacyi robotników górniczych w Prusach. Na hasło, wydane przez tę komisyę stanąć mogą w danym razie „wszystkie koła fabryczne“ —gdyż skromni ci rycerze pracy stoją na czele armii, liczącej około trzysta tysięcy robotników górniczych.

W skład tej komisyi wchodzi obok przedstawicieli „Górniczego Związku zawodowego Hirsch-Dunkera,“ „Związku górników w Niemczech“ i „Związku chrześcijańskich górników“ — także dwóch Polaków, którzy zastępują w niej dwie polskie organizacye robotnicze w granicach Rzeszy niemieckiej; „Zjednoczenie zawodowe polskie“ w Westfalii i bytomski „Związek wzajemnej pomocy“ na Górnym Śląsku. Są to: były poseł bytomski p. Królik i górnik westfalski p. Sosiński.

Otóż ta właśnie komisya, stosując się do życzeń wielkiej rzeszy robotników górniczych, podjęła myśl wywalczenia jej znaczniejszego podwyższenia zarobków i to, jeśli okaże się możliwem, drogą pokojowych układów, w przeciwnym zaś razie za pomocą ogólnego strajku. Wystosowany przez nią do wszystkich zarządów kopalni w Niemczech okólnik zawiera tylko dwa żądania: jako pierwsze: podwyższenie wszystkich zarobków o 15 procent, jako drugie zniesienie tak zwanych czarnych list. Zapisani na tych listach górnicy w żadnej kopalni nie mogą już znaleść zajęcia. Jest to więc groźny dla robotników środek zarobkowego ich bojkotowania przez zarządy kopalń.

Komisya siedmiu uzasadnia te żądania krótko, lecz dobitnie. Wskazuje ona na wzmagającą się wszędzie drożyznę mieszkań i środków spożywczych, i odwołuje się na to, że istnienie takiej drożyzny przyznają nawet gazety stojące na żołdzie pracodawców górniczych.

Komisya siedmiu zgłosiła się też do organizacyi robotniczych w Anglii, Francyi, Belgii i Austryi z propozycyą przyłączenia się do strajku w Niemczech, a gdyby to było na razie niemożliwem, z prośbą o poparcie przez pewnego rodzaju bierną rezystencyę.

Na tę propozycyę swoją komisya siedmiu do tej chwili jeszcze nie otrzymała ścisłej odpowiedzi. Organizacye w wymienionych krajach radzą dopiero nad tą sprawą. Już atoli krążą wieści, że górnicy w Niemczech żądane poparcie uzyskają, a możliwą jest rzeczą, że przyjdzie do skutku nawet ów projektowany strajk ogólny.

Następstwa takiego strajku dałyby się we znaki niezmiernie dotkliwie najszerszym kołom. Dla braku węgla stanęłyby niezawodnie tysiące fabryk, a może nawet i koleje żelazne, ogólne zaś, a znaczne podrożenie cen węgla dałoby się we znaki każdej poszczególnej rodzinie.

Do tej chwili zaś niema wielkiej nadziei, iżby górnicy w Niemczech zdołali osięgnąć spełnienie swoich żądań na drodze pokojowych układów. Zebranie właścicieli kopalń w westfalsko-nadreńskim obwodzie postanowiło *odrzucić* żądanie górników o podwyższenie zarobku o 15 procent, ponieważ rzekomo zarobki zostały już podwyższone. Właściciele kopalń przyznają wprawdzie, iż artykuły spożywcze podrożały, lecz winę tego przypisują rządowi, który powinien zmienić politykę celną.

Organizacye pracodawców do tej chwili też nie chcą uznać „komisyi siedmiu“ za ciało równo uprawnione, z którémby kopalniom godziło się układać w sprawach zarobkowych. Pracodawcy stoją zawsze jeszcze na stanowisku, że każdy z nich układać się może tylko z własnymi pracownikami — na własną rękę. I to znów prawdopodobnie zaostrzy spór i walkę.

Dla społeczeństwa polskiego sprawa ta ma nie małe znaczenie. Liczba górników polskich w granicach Rzeszy niemieckiej, a więc na Górnym Śląsku, w Westfalii i nad Renem, dochodzi do 150 000, w Austryi zaś co najmniej do 30 000. Jeśli doliczymy do tych zastępów rodziny górników, śmiało twierdzić możemy, że w strajku takim rozchodziłoby się o materyalną dolę około pół miliona ludności polskiej. Stanowisko tej rzeszy polskiej w grożącej walce zarobkowej byłoby zaś o

tyle trudniejsze, niż stanowisko rzeszy górników niemieckich, ponieważ dwie polskie organizacye w państwie niemieckiem obejmują tylko część górników polskich, a nadto strajkowe ich kasy nie wielkiemi tylko rozporządzają zasobami.

Słusznie też gazety polskie wzywają bezustannie: „Górnicy polscy, przystępujcie do organizacyi, oszczędzajcie, zbierajcie zasoby — bo tylko w razie, jeśli będziecie materyalnie silni, zdołacie odnieść zwycięstwo w walce!“

Ojczysta mowa, to jest dzwięk anielski,
To język Boski, język przyjacielski,
Gdy usłyszysz ojców mowę
Stań pokornie, odkryj głowę
Bo to Boska wieść!!

Uwaga na czasie.

W chwili, gdy walka o język ojczysty przybiera charakter coraz gwałtowniejszy, zdawać by się mogło, że miłość i poszanowanie tegoż języka przenika już wszystkie bez wyjątku warstwy naszego społeczeństwa. — A jednak znaczna liczba naszej młodzieży, szczególnie kupieckiej i rzemieślniczej zdaje się nie rozumieć obowiązku pielęgnowania mowy ojczystej.

Dziwny zaiste kontrast stanowi to zaniedbanie języka z jednej strony, a z drugiej rozpaczliwe wysiłki i cierpienia o ten właśnie język.

W obec tak smutnego objawu nie można dosyć usilnie nawoływać naszą młodzież, aby zrozumiała, że gruntowna znajomość własnego języka konieczną jest nietylko ze względów idealnych, ale i praktycznych.

Że Polak, władający dwoma językami ma w kupiectwie i przemyśle bez porównania większe szanse niż Niemiec jednym tylko władający językiem — zbytecznem byłoby dowodzić.

W gazetach niemieckich mnóstwo znajdujemy posad dla mówiących po polsku. Młodzi kupcy Niemcy chętnie uczą się po polsku, o ile są w stanie pokonać trudności naszego języka.

Niejeden Polak zaś — nietylko źle mówi po polsku, ale pisze zupełnie błędnie i nieortograficznie, o dobrym stylu nie ma pojęcia, o literaturze narodowej nic nie wie.

Rachunki, listy i reklamy kupieckie pisane są często bardzo lichą, tłomaczoną polszczyzną.

Czegoż możemy się spodziewać po młodzieży tak obojętnej? czy w dojrzałym wieku, jako ojcowie rodzin pielęgnować będą w dzieciach zamiłowanie rzeczy ojczystych, czy potrafią im dać to, co sami w sobie zmarnowali?

Czas zimowy lepiej nadający się do wszelkiej umysłowej pracy dobrą nastręcza sposobność do urządzenia zbiorowych lekcyi, które korzystniejsze są niż pojedyńcze, bo więcej dają podniety. W braku odpowiednio wykształconych nauczycieli umiejętniejsi pouczać mogą mniej umiejących, komu zaś zupełnie zbywa na pomocy, może się kształcić czytaniem i spisywaniem z pamięci tego, co przeczytał.

Smutne to i zawstydzające, że przypominać trzeba obowiązek tak ważny, a zarazem naturalny; sam przez się każdego bezpośrednio obchodzący!

M. G.

Bracia moi, jeszcze przyjdzie
Dla gnębionych ludów wiosna,
Sprawiedliwość z góry wejdzie
I znów zabrzmi pieśń radosna.
Będziem wołać: grajku, graj
Polską nutę — Boże daj.

Mania wyborów
w Stanach Zjednoczonych.

„Dziennik chicagoski“ zamieścił nader charakterystyczny artykuł o stosunkach, panujących w ojczyźnie Waszyngtona.

Cały kraj, streszczamy wywody pisma polsko-amerykańskiego, składa się właściwie z 46 stanów, kilku t. zw. terytoryów i kilku kolonii.

Owe 46 stanów, to są właściwie jakby rzeczpospolite odrębne, mające swe własne ustawy, swoje rządy, swoje nawet własne milicye i urzędników, połączone są jednakowoż ściśle i nierozerwalnie pewnemi wspólnemi ustawami i wspólnymi stosunkami z zagranicą. Łączy je wspólna konstytucya, która określa nietylko wspólną formę rządu, ale także pewne ogólne zasady, którym samorząd Stanów poszczególnych nie może w niczem się sprzeciwiać.

Wszystko to w teoryi wygląda mądrze i pięknie. Na czele całości stoi rząd Stanów Zjednoczonych, złożony z władzy prawodawczej, wykonawczej (złożonej z prezydenta i ministrów) i sądowniczej. Władza prawodawcza, czyli *kongres* składa się z senatu i z Izby posłów. Każdy *Stan* wysyła po dwóch senatorów i po kilkudziesięciu posłów do kongresu. Posłów wybiera się przez głosowanie powszechne, senatorów zaś wybierają ciała ustawodawcze poszczególnych Stanów. Prezydenta na okres 4-letni wybierają elektorzy, wybierani przez naród w każdym Stanie. Prezydent mianuje ministrów (czyli sekretarzy departamentów) i członków trybunału najwyższego.

W poszczególnych Stanach rząd składa się również z trzech władz, prawodawczej (o 2 izbach), wykonawczej (gubernator ze sztabem swoim) i sądowniczej. Tu naród wprost przez głosowanie wybiera członków tych 3-ch władz. Oprócz tego jeszcze powiaty, miasta, oraz okręgi miejskie mają swoje zarządy, obierane przez ludność.

Licznych tych przedstawicieli swoich w zarządzie kraju ludność obiera na pewien przeciąg czasu t. j. 2, 4, niekiedy na 6 lat — a ponieważ niezmiernie wielu członków władz potrzeba obierać tak stosunkowo często, przeto w każdem miejscu Stanów Zjednoczonych wybory kilku, kilkunastu lub nawet kilkudziesięciu urzędników muszą odbywać się kilka razy do roku. Dopiero ci wybrani przedstawiciele najrozmaitszych rządów, mianują urzędników rozlicznych oddziałów urzędowych.

Teoretycznie to częste wybieranie niezmiernie wielu urzędników da się doskonale wytłumaczyć, w praktyce ma ono mnóstwo stron ciemnych.

Najważniejszym błędem takiego urządzenia jest to, że od kandydatów na urzędy obieralne (tj. na członków rządu) nie wymaga się żadnych kwalifikacyj, żadnego wykształcenia fachowego, nauki, lub doświadczenia, wymaga się tylko, aby byli obywatelami kraju, mieszkającymi przez pewien czas w swoim okręgu wyborczym.

Ponieważ urzędy, jako krótkotrwałe, słusznie zresztą, bywają dobrze płatne, przeto nie brakłoby na nie kandydatów, i byłoby w czem wybierać, gdyby nie pewne okoliczności, zagradzające drogę do wyboru najczęściej ludziom prawym, uczciwym i zdolnym.

Wybory w Stanach Zjednoczonych muszą być poprzedzone tzw. kampanią wyborczą, w której kandydaci i stronnictwa polityczne powinny pouczać ludność o spornych zagadnieniach politycznych, a która polega zazwyczaj na gorszącej, brzydkiej, nieraz skandalicznej walce o osobistości, walce niekiedy tak wstrętnej, że człowiek spokojny, uczciwy i prawy trzyma się od niej zdala.

W tej walce przedwyborczej, pochłaniającej niesłychane sumy, kandydaci na urzędy ze swej strony muszą grubo opłacać się i potrzeba zazwyczaj być człowiekiem bardzo majętnym, aby módz ubiegać się o urząd

dla ludzi ubogich do urzędu najczęściej droga zamknięta.

Okoliczność, że niejeden z kandydatów na urząd w czasie kampanii przedwyborczej wydał więcej pieniędzy, niż ich otrzyma w formie płacy w ciągu całego swego urzędowania, doprowadza wielu z tych reprezentantów narodu do starania się o zarobienie w czasie urzędowania „drogą uboczną“ tyle, ile się tylko da. Za tem idzie łapownictwo, niemniejsze od rosyjskiego, nieuczciwe sprawowanie urzędu, frymarka itd.

„Nie mówimy bynajmniej — stwierdza pismo, które cytujemy — jakoby nie było zupełnie ludzi uczciwych i zdolnych pomiędzy członkami rządów Stanów Zjednoczonych. Są; są ich może setki nawet, może i tysiące, ale są niezawodnie w znacznej mniejszości wobec dziesiątek i setek tysięcy ludzi niezdolnych i niesumiennych.“

„O patryotyzmie, rozumie, dzielności takiego rządu wieloglowego niepodobna marzyć — kończy „Dziennik Chicagoski“. Kitem, trzymającym Stany Zjednoczone jest niezawodnie konstytucya mądra, przez szczerych patryotów, założycieli tego kraju ustanowiona, której jeszcze dotychczas nie śmiano zupełnie obalić, lub zbytnio naruszyć. Chroni ona jeszcze kraj jako tako od rewolucyj wewnętrznych niebezpiecznych, choć rodzajem bezkrwawych lub małokrwawych rewolucyjek, można już nazwać prawie każdą kampanię przedwyborczą, a zwłaszcza powtarzające się co cztery lata kampanie przed wyborami prezydencyalnymi. Zazwyczaj niewiele krwi w nich się leje, ale za to strumieniami leje się złoto, a kto go więcej wylewa, ten zwycięża.“

W prasie polsko-amerykańskiej tak niewiele na ogół spotyka się artykułów, wnikających w istotę stosunków amerykańskich, że nie wahaliśmy się streścić wywodów „Dziennika Chicagoskiego“, choć może zbytnim zabarwionych pessymizmem.

„Ojczyzno ty moja, o ty moje Jeruzalem miłe, jeślibym cię kiedy zapomniał, niech zapomnę prawicy ręki mojej, niech język mój przyschnie do ust moich, jeślibym cię zapomniał postawić na czele wszystkicch pociech moich.“

Psalm króla Dawida.

Bałwochwalstwo pruskiego mundura.

Idzie ulicą, ciało sztywne, głowa tkwi nieruchomo w wysokim kołnierzu, nos zadarty, a na twarzy wypisany ma jeden wyraz komendy: klękajcie narody.

Tak można by krótko i zwięzłowato określić każdego z owych pionków wojska pruskiego od najwyższych do najniższych, którzy czy to w złoconych kolasach, czy konno, czy pieszo pobrzękując pałaszem codziennie snują się po ulicach miast, obdarzonych „szczęściem,“ że zaloguje w nich ten lub ów pułk wojska.

„Szczęście“ to nie lada, może dla tych, co mundur ten złocony, lśniący od rzędów kruszcowych guzików i galonowych naszewków, mieniący się barwami różnemi, noszą, a wszystko po to, by błyszczeć, by podpadać, by imponować — głupiemu motłochowi „cywilów.“

Nie ulega wątpliwości, duch rządzący w armii pruskiej — to pycha, zarozumiałość, to buta i próżność.

Wolnomyślne pisma niemieckie nierzadko w ostrych zwracają się słowach przeciwko temu duchowi, przeciwko nierównomiernemu wynoszeniu wojskowych nad pr[illegible]owitą czeredę obywateli, przeciwko próżności, pomiatającej każdym, który munduru nie powąchał.

Nas Polaków te skargi niemieckie mało by mogły obchodzić. My z własnemi błędami, z własnemi bólami i skargami dość mamy do czynienia, nie możemy jednak o jednem zapominać, że tysiące synów ziemi naszej w tym wojsku służy, że tysiące w koszarach duchem wojskowym się przejmuje i nie mało potrzeba czasu, ażeby im te naleciałości z głowy i z serca wybić na zawsze.

Więc nie dla tego dziś mówimy o wojsku, by domagać się jego naprawy. Na to powołani są inni ludzie, którzy lata całe na to się uczyli, którzy po drabinie wojskowej pchali się z trudem i mozołem w górę. Im niech przysługuje prawo reformy, prawo naprawy.

Nas rzecz inna obchodzi, a mianowicie prawo krytyki. Złe niech plenią ci, których do tego powołano, nam to złe przysługuje prawo pokazywać palcem.

A właśnie wydarzył się wypadek, który w jaskrawem świetle ilustruje te poprzednie nasze wywody. Wypadek ten wygląda nieomal na bajkę, taki się wydaje nieprawdopodobnym — a jednak jest prawdziwy w każdym szczególe.

Aktorem tego wypadku jest — nieznajomy kapitan wojska pruskiego. Nie jest to oczywiście kapitan prawdziwy, ale ktoś, co umiał i odważył się odegrać — rolę kapitana.

Pomocnikami jego — jeden prawdziwy kapral (gefrajter) i 11 prawdziwych żołnierzy prawdziwego gwardyjskiego pułku w Berlinie.

Miejscem wypadku — prawdziwe przedmieście Berlina, które nazywa się *Koepenick.*

Ciekawy wędrowiec oglądać może i miejsce wypadku, t. j. miejsce w ściślejszem znaczeniu, innemi słowy ratusz koepenicki, może oglądać także prawdziwych gwardzistów berlińskich, oczywiście Berlin także — nie może oglądać tylko głównego aktora tego wypadku, owego nieprawdziwego kapitana.

Otóż rzecz miała się tak:

Jest biały dzień, samo południe, czas, w którym zmieniają się straże wojskowe na różnych posterunkach. To samo dzieje się w pobliżu Koepeniku. Żołnierze zgłodniali opuszczają posterunek i z uciechą śpieszą do koszar, radzi, że wkrótce puste swe żołądki napełnią specyałami kuchni wojskowej.

W tem, w drodze spotykają kapitana, który im daje znak — przystawają. Kapitan pokazuje im rozkaz z gabinetu królewskiego, i żąda w imię króla, by szli za nim. Po drodze nowy spotykają posterunek — kapitan i ten zabiera ze sobą, odesławszy podoficera do koszar, by fakt ten zakomunikował przełożonej władzy.

Zebrawszy w ten sposób cały tuzin wojska, rusza kapitan na ratusz do Koepenick, obstawia go żołnierzami, aresztuje burmistrza, z kasy zabiera 4000 mk., rozpuszcza żołnierzy, a sam przepada jak kamień we wodzie.

Wypadek ten wydarzył się dwa tygodnie temu. Od tego czasu znaleziono porozrzucane części kapitańskiego ubioru nieomal wszystkie — nie znaleźli tylko tego, który pod osłoną tego ubioru śmiałej dokonał kradzieży.

Prasa niemiecka z powodu tego pieni się z wściekłości, pisma konserwatywne tuszują rzecz jak mogą i narażają się na tem ostrzejsze ataki prasy wolnomyślnej. Ta zaś przypomina przy tej okazyi wszystkie swoje skargi i żale na urządzenia wojskowe, na jego błędy i wady i woła głosem, zwiastującym upadek potęgi niemieckiej — o naprawę, o reformę wojska, mianowicie o zluźnienie żelaznych kajdan — subordynacyi i ślepego nieposłuszeństwa względem stopni wyższych. „Berl. Tagebl.“ przypomina przy tej okazyi straszny wypadek z r. 1861. W tym roku kapitan, znany z tego, że był waryatem, notoryczny szaleniec nakazał podwładnym sobie żołnierzom w pełnym rynsztunku bojowym, z tornistrem i karabinem na plecach przepłynąć bystrą rzekę. Żołnierze go nie usłuchali i zostali wszyscy skazani za to

na dożywotnie kary więzienne na fortecę lub do domu karnego.

Ten ślepy posłuch, powiada owo pismo i dziś panuje w armii pruskiej, i tem też tylko tłomaczy się, że kradzież na ratuszu w Koepenick udała się a udała się przy pomocy wojska.

Nie dość tego — wolnomyślni Niemcy przypominają sobie w tej chwili, że ten duch wojskowy, to dawny duch absolutyzmu; niestety nie widzą oni gorszego niebezpieczeństwa, że ten duch w powrotnej fali ogarnia Niemcy.

Czem zaś kradzież ta jest dla nas? Jest ona dowodem bałwochwalstwa jakiem przejęty jest każdy Niemiec, Prusak dla czerwonego kołnierza, dla srebrnych oficerskich epolet, dla złotych galonów podoficerskich i bodaj guzików kapralskich.

Niestety tem bałwochwalstwem długo przejęci byli i Polacy. Dopiero pod naciskiem ostatnich wypadków — rekruci z małą uciechą „idą służyć", wracają za to z tem większą radością, a przebyta służba wojskowa — przy pomocy niezliczonych kułaków, przekleństw i wyzwisk — w niejeden długi wieczór zimowy stanowi niewyczerpany temat do opowiadań „o szczęściu pruskiem", „o dobrodziejstwach pruskich", „o wyższej kulturze".

A gdy wieczór ma się ku końcowi, gdy w niejednej zacisznej wiejskiej chacie na kominku w gasnącym popiele ogień trzaśnie, pod przykrym wrażeniem minionych lat budzi się mimowolnie westchnienie: Boże, zlituj się nad nami.

Faktem jest, że w ostatnim czasie niezadowolenie z systemu pruskiego tak głęboko wsiąknęło w społeczeństwo nasze, że szczególnie warstwy ludowe szybko wyzwalają się z pod wpływów szkoły i wojska, t. j. tych dwóch instytucyi, które dotąd wśród ludu naszego istotnie odgrywały wielką rolę.

Tak to pod wpływem nacisku systematycznego rodzi się niezadowolenie — i upada urok błyszczącącej potęgi.

ZBYTEK.

„Zbytek podwójnie jest szkodliwy.
„Podtrzymuje **pychę,** tego zaprzysiężonego *wroga miłosierdzia*, i drażni ubogiego". (*Nicolay.*)

Nie dla wszystkich jedna i ta sama rzecz lub jeden i ten sam czyn — jest zbytkiem.

Jeżeli zamożny, bogaty kupiec utrzymuje kilka osób w służbie domowej, nie można tego nazwać zbytkiem. Ale gdy urzędnik pobierający nie wielka pensyę, albo rzemieślnik nie mający jeszcze stałych dochodów, chcą udawać „wielkich panów" i trzymają lokaja, kucharkę, pokojówkę i t. d., to się nazywa zbytek, bo liczba rozchodów nie stoi w propozycyi z liczbą dochodów.

Jeżeli zamożna, bogata pani, kupi sobie drogie okrycie, kapelusz strojny i suknię wielce ładną lecz i wielce kosztowną, to jeszcze wszystko zarazem zbytkiem nie jest, bo jeszcze to kasy domowej nie nadweręża. Ale jeśli żona robotnika, lub rzemieślnika początkującego, chce się ubierać tak samo jak pani bardzo zamożna, to popełnia błąd niezmiernie wielki.

Lecz nie tylko w świecie strojów i trzymania służby spełniane są zbytki.

Smiało możemy powiedzieć, iż co krok, co chwila spotykamy tyle dowodów lekkomyślności naszej, iż należałoby nas karcić za to i karać surowo.

Boć to czasy są niezmiernie ciężkie, ponure i trudne. Boć to życie idzie jak powiadają po ostrej grudzie. A my zamiast oszczędzać i przeznaczać grosz na istotne, niezbędne potrzeby, tracimy i marnujemy na błahostki, na liche szmatki lub bawidełka, na zbytki, które są tylko ślepem małpowaniem, a nie istotną potrzebą.

Ubieramy dzieci nie wedle stanu i możności, ale wedle tego jak ubiera dzieci sąsiadka lub znajoma, krewna lub przyjaciółka.

Nosimy suknie, kapelusze i okrywki nie wedle tego jak nam dochody dozwalają, ale wedle tego jak kupcy powywieszają nowości i jak te lub owe damy noszą.

Szukamy za mieszkaniem nie wedle tej miary, którą zdrowy rozum dyktuje, ażeby znaleść suchy, słoneczny w dobrem powietrzu umieszczony dom, lecz wedle tego, ażeby się pokazać przed innymi, że nas stać na mieszkanie w rynku, albo blisko rynku. I chociaż tu mamy mieszkanie za drogie, chociaż to mieszkanie ssie z naszej kieszeni grosz ciężko zdobyty, nie uważamy tego za zbytek, nie wiemy, iż źle czynimy.

Jest to wada nasza narodowa i na tę wadę chorujemy wszyscy od wschodu na zachód, w miastach i miasteczkach, a co gorsze, bo już i w wioseczkach.

Wprawdzie w wioskach ludzie mają chaty własne i w mieszkaniu zbytków nie czynią, ale na modę i na hulanki tak samo tracą jak w miastach.

Panna lub pani z miasta lub miasteczka traci na pióra, wstążki i koronki, a dziewucha na wsi traci na perkaliki, chusteczki i koronki, które za liche, zdają się tanio kupione, a w istocie są tylko tandetą i wyrwigroszem z kieszeni.

Zbytek jest podwójnie szkodliwy.

Pychę on tuczy i karmi, pysze on dogadza i służy, pychę popiera i rozszerza. Bo wszystko co zbytek czyni, czyni dla dogodzenia pysze.

A zarazem, jak powiada francuski pisarz, zbytek drażni ubogiego.

Jakże mało nad tem rozważamy i jak mało myślimy właśnie o tem, iż my przez nasze zbytki zasiewamy zazdrość, niezadowolenie i gorzkie narzekanie u innych.

Bogaczowi zazdroszczą biedni wielu rzeczy, ale najwięcej właśnie tego, iż bogacz ma wszelkie trudy oddalone od siebie. Nie wiedzą biedni, iż są cierpienia, które zarówno dolegają i bogaczom i biednym, są choroby, są troski rodzinne, społeczne, narodowe, które wszakże dla wszystkich bywają ciężkie.

Lecz ubodzy ludzie i ludzie zmęczeni pracą widzą tylko to, że im źle i twardo i ciasno, a innym wygodnie i przestronnie. A z tego poczucia nierówności rodzi się zazdrość, rodzi się ból jakoby doznawanej krzywdy, jakoby goryczy fala rozlewała się w sercu wielu.

Czyż niema na to żadnego leku ani środka zaradczego, ażeby zazdrość z serc biednych wytępić, a zbytek od ludzi rozrzutnych oddalić.

Byłoby bardzo źle, gdyby cywilizowani ludzie nie umieli znaleść środka leczącego takie blizny.

Chrześciańskie miłosierdzie jest balzamem, a roztropna oszczędność jest zabezpieczeniem pewnem.

Ci, którzy mają wiele, bogaci są, niech miłosierną ręką rozdzielają grosz nie jako jałmużnę, ale jako wynagrodzenie za pracę. Niech umieją dawać drugim zarobek, niech ulżą niedoli pozbawionym i pracy i chleba, a zbytek w tym kierunku zwrócony, pychy nie powiększy i zazdrości nie posieje.

Ludzie ubożsi, którzy zdobywają byt pracą, niech strzegą się zbytku każdego, bo nie mają miłosierdzia ani nad sobą ani nad bliźniemi, jeżeli marnotrawią zdrowie, czas i pieniądz.

Urządza się chrzciny — już zbytek stoi u progu i pożera to, coby mogło starczyć na długie miesiące.

Sprawia się wesele, już zbytek rozkazuje i rządzi. — Trzeba tak i tak, bo tak było u Macieja, a tak u Ignacego.

Lecz niechno ten zbytek łaskawy stanie przed nami wtedy, kiedy mamy płacić za robotę rzemieślnikowi lub robotnikowi dziennemu! Ale on nie

troszczy się o to, ażeby miłosierdziem odważyć pracę robotnika i zapłacić mu tak, aby krzywdy nie miał, owszem, zbytek się wtedy bardzo prędko chowa, a sknerstwo wyłazi i liczy, liczy 10 razy zanim grosz dołoży. Lecz nie patrzmy na bogaczy, mówmy o nas samych. Czyli my, którzy zbytnio wydaliśmy na śniadanie w restauracyi, na picie w kawiarni, na strój do sukni — nie żałujemy wynagrodzenia służącej, nie targujemy się o zapłatę robotnika?

Od czasu do czasu godziłoby się nam nad tem zastanowić i — zważyć; czy wszystkie wydatki nasze bywają wolne od plam — zbytku! *Iskra.*

Walka kobiet z pijaństwem.

Dowiedzioną jest rzeczą, iż kobieta ma wielki wpływ na mężczyznę i może albo go uszlachetnić, jeżeli jest zacna i cierpliwa, albo sprowadzić go na najgorsze drogi, gdy jest przewrotną i złą.

Szczególnie w sprawie zwalczania pijaństwa mają kobiety wielkie zasługi przez to, że odwiodły swych mężów od pijaństwa, już to swemi prośbami ciągłemi, już też innymi przeróżnymi sposobami. Oto kilka przykładów:

W roku 1837 kobiety w amerykańskiem mieście Bostonie, zapałały chęcią walczenia z pijaństwem, wyszły na ulicę i snuły się długiemi procesyami ze śpiewem z kościoła przed szynki. Pomiędzy niemi były panie z najwyższych sfer społeczeństwa. Czasami siadywały przed domami knajpy, tak, że goście nie śmieli ze wstydu tam wchodzić. Ten „krzyżowy" pochód kobiet doprowadził do tego, że w 250 miastach i wioskach sprzedaż napojów alkoholicznych znikła prawie zupełnie.

Sławną jest też w Ameryce pani Sary Lesvit, która w ciągu 24 lat objechała prawie wszystkie kraje świata, zachęcając ludzi do zupełnego zaniechania pijaństwa.

Pani Mary Hunt zajęła się nauczaniem dzieci o szkodliwości trunków; za jej staraniem uczą się dziś dzieci we wszystkich szkołach amerykańskich o szkodliwości pijaństwa. Ona także postarała się, że w różnych krajach potworzyły się „stowarzyszenia dzieci" nie używających napojów upajających. W Anglii takie stowarzyszenie liczy blisko pół miliona dzieci.

W Finlandyi nie ma po wsiach zupełnie szynków, a zasługa to znowu pani Ali Trygg Helenius. Będąc biedną nauczycielką poświęciła się Ali Trygg szerzeniu wstrzemięźliwości od trunków między młodzieżą. Jeździła po całym kraju, pouczała młodzież o szkodliwości napojów alkoholowych, wydawała pismo o tej szkodliwości dla dzieci i dokazała swą pracą tego, że dziś w Finlandyi nie ma wcale szynków.

Trudno, co prawda, wymagać od naszych polskich niewiast miejskich lub wiejskich, aby w taki sam sposób zwalczały pijaństwo, jak to robią kobiety np. w Ameryce północnej, bo inne są u nas, a inne tam stosunki, ale dwie rzeczy nasze niewiasty bez trudności spełnić mogą, mianowicie: dzieciom nie dawać napojów upajających, od młodości przyzwyczajać je do wstrzemięźliwości od trunków i pouczać o szkodliwości tychże.

Aby zaś matki mogły z pożytkiem pouczać dziatki o szkodliwości trunków, powinny czytać pisma i książki wykazujące tę szkodliwość, oraz same nie powinny używać trunków, a wtedy wychowają dzieci na ludzi zdrowych i przysłużą się wielce społeczeństwu.

Pozdrowienie na Litwę.

Od jednego z czytelników naszych, którego rodzice mieszkają na Litwie, a którym on stąd za pośrednictwem ekspedycyi pisma naszego przekazał „Pracę," odbieramy list, który z dwóch względów umieszczamy.

Jestto bądź co bądź piękny dowód wdzięczności, gdy syn chcąc z rodziną utrzymywać ścisły węzeł duchowy, stara się dla nich o strawę duchową, którą sam się karmi — a powtóre, niezwykły jest sposób zwracania się do jej rodziny za pośrednictwem tegoż pisma. Sposób ten musi nam się wydawać sympatyczny, tem więcej, że chodzi tu o rodaków naszych, oddzielonych od siebie setkami mil. Wydaje nam się, jakobyśmy przez tego syna i my także posyłali pozdrowienia tam hen za pola, za lasy z tą świadomością, że posyłamy je braciom, najbliższej rodzinie — rodakom naszym.

Toć i oni Polacy — i my Polacy.

List, któremu z przyjemnością otwieramy łamy „Pracy" brzmi jak następuje:

Wielce kochani moi Rodzice!

Chociaż losu zrządzeniem zmuszony byłem opuścić strzechę rodzinną, jednak duszą mą jestem przy Was i ciągle o Was myślę, prosząc Boga, aby Was tam w zdrowiu i szczęściu chować raczył. A widząc przytem, iż tam wielki brak pokarmu duchowego uczuwacie, zapisałem Wam pismo tygodniowe „Praca", wychodzące tutaj w Poznaniu na Wasze Imię czyli brata mego, jak stosunki tamtejsze wymagają. Myślę, iż już dwa numera odebraliście, jeżeli poczta tamtejsza Wam je oddała. — Jeżeli więc „Pracę odebraliście, to wiem na pewno, iż czytając ją bardzo się ucieszyliście, iż tak pożyteczne i dobre pod każdym względem pismo do rąk Waszych doszło czyli iż takowe dla Was, kochani Rodzice zapisałem, albowiem o wielu rzeczach obcych z niego dowiecie się. — Cieszyłbym się więc bardzo, abyście kochani Rodzice w szerszych kołach okazali i zachęcili, aby sobie też i inni zapisali „Pracę", aby również mogli się karmić tym cudownym duchowym nektarem.

Aby więc Was, kochani Rodzice, bardziej ucieszyć i donieść, iż rzeczywiście o Was myślę, publicznie w tem piśmie pozdrowienie Wam załączam; jako też i rodzinie naszej całej.

Całując ręce Wasze, kochani Rodzice, życzę Wam przytem dobrego zdrowia wszelkiej pomyślności i błogosławieństwa Bożego.

Szczerze do grobu Was kochający syn Wasz

Bronisław Nietupski.

Zebrania i wiece.

W niedzielę dnia 28-go października odbędą się następujące wiece:

W Gnieźnie:
wiec wyborczy z udziałem posłów hr. Mielżyńskiego i Leona Grabskiego, w domu katolickiem, o godz. 1-szej w południe.

W Szamotułach:
wiec w sprawie szkólnej;

W Olsztynie:
wiec wyborczy, o godz. 12-tej na sali hotelu Kopernika z udziałem posła Wiktora Kulerskiego.

W Rosku:
wiec szkólny, o godz. 4-tej po południu.

W Lubaszu:
wiec szkólny, o godz. 5-tej po południu.

W Pleszewie:
wiec relacyjny, o godz. 4-tej po poł. w hotelu Wiktorya, sprawozdanie poselskie złoży ks. dr. Jażdżewski.

Wiadomości.

— *Dotyczy wyborów* do Rady Miejskiej w okręgu II przy ul. Rycerskiej:

Szanownych Obywateli, którzy nam dotąd nie odesłali kart donoszących o dokładnym adresie prosimy, aby nam

karty te nadesłali *niezwłocznie!* Chociażby adres na kopercie był dobry i list nasz doszedł, to to nie dowodzi niczego; dla mężów zaufania, którzy odezwę i t. d. w dom przynieść mają, potrzebujemy *jaknajdokładniejszego* adresu z wymienieniem domu, piętra itd. Ufamy też, iż nikt nam karty nie zniszczy, lecz wypełniwszy ją, odeśle nam takową pod wskazanym adresem.

M. Kaniasty, prezes okręgowy. *Karol Rzepecki*, sekr. okręgowy.

* **W sprawie kar za zmudę szkolną** z biura „Straży" następujący otrzymujemy komunikat:

Wobec coraz liczniej nakładanych kar za zmudę szkolną oraz wynikających ztąd procesów, przypominamy, że sekcya prawno-polityczna „Straży" *udziela wszelkich rad w sprawach szkolnych* **bezpłatnie.** Informacyi ustnych udziela biuro „Straży" w godzinach przyjęć od 10—1 i 4—6. Listy adresować należy: Dr. Tad. Jaworski — Poznań - Posen.

Prezydyum „Straży".

* **Całopalenie niemieckich katechizmów.** *Z Pawłowa* donoszą „Lechowi", że te dzieci, które z rozkazu nauczyciela kupiły sobie dawniej niemieckie katechizmy i historye biblijne, zaniosły je za wieś na wzgórek, złożyły na kupkę i podpaliły je. Dym podobno szedł prosto ku niebu jako ofiara Bogu miła.

* **Z kół prawniczych** otrzymujemy w sprawie szkolnej następującą cenną wskazówkę:

Zachodzą przy obecnym strajku szkolnym liczne bardzo wypadki, że rodzice nie posyłają dzieci na areszt, a otrzymawszy z tego powodu mandaty karne, odwołują się do sądów. Wytoczono już kilka procesów i zapadły już także wyroki w pierwszej instancyi. Strona jedna lub druga apeluje i sprawa idzie dalej przed wyższy sąd. Zaleca się zatem, aby aż do rozstrzygnięcia kwestyi aresztu i kar za nieposyłanie nań dzieci w ostatniej, najwyższej instancyi, rodzice dzieci na areszt posyłali. Jeżeli bowiem wyrok trzeciej instancyi dla nas będzie niekorzystny, setki a nawet tysiące marek z polskiej kieszeni zabierze rząd.

Natomiast zalecałoby się może, aby w poszczególnych wypadkach, jeżeli dziecko jest słabe lub delikatne, udano się do lekarza z zapytaniem, czy zdrowie dziecka na takie przeciążenie lekcyami zezwala i szkodliwie na cały ustrój jego nie wpłynie. W takim wypadku każdy lekarz chętnie wystawi świadectwo, a rodzic posławszy je rektorowi lub głównemu nauczycielowi szkoły, zwolnienie go z aresztu uzyska musi. W razie oporu władzy szkolnej możnaby znów wkroczyć na drogę sądową.

* **Proces** o rozpowszechnianie formularzy do wniosków w sprawie religii wytoczony został jak donosi „Lech" ks. prob. *Piotrowiczowi* oraz pp. *Bysikiewiczowi* i *Wierbińskiemu.* Prokuratorya opiera się na paragrafie 110.

* **Zakazane wiece:** W Miksztacie, w Polskim Wilkowie, w Łabiszynie zakazała wieców policya. Zakazy te wydane zostały bez względu na to, czy wiec zwołany był pod hasłem sprawy szkolnej, czy wyborów, czy z ramienia „Straży".

* **Wiece rozwiązane:** W Śremie, Chodzieżu i Kruświcy zostały wiece rozwiązane, najczęściej na wstępie samym. Ludność się tymi aktami samowoli i pogwałcenia praw swoich burzy. To ją utrwala tylko w oporze przeciwko niemieckiej nauce religii.

* **Wojsko pruskie** w dzielnicy naszej odgrywać zaczyna rolę coraz mniej rycerską. „Kur. Pozn." donosi, że w poznańskim ogrodzie zoologicznym pewien żołnierz poranił gimnazyastę, syna p. Szenica. Żołnierz zirytowany figlami innych chłopców, dobył pałasza i Bogu ducha winnego kwartanera Szenica ciął dwa razy przez głowę. Chłopiec zalał się krwią, tak że go ojciec odwieść musiał do lazaretu miejskiego, gdzie mu głowę obandażowano. Leczenie potrwa ze dwa tygodnie. — Policya sprawę tę ma w ręku i bohaterowi wojskowemu wytoczony zostanie zapewne proces.

* **Kara za areszt.** Robotnik Tomasz Trzaskawka z Żydowa nie posłał syna na areszt i za to otrzymał mandat karny na jedną markę. Gnieźnieński sąd ławniczy karę tę *zatwierdził.* Obrońca p. mec. Karpiński powoływał się w procesie na przepis, że tygodniowo wolno dzieci najwyżej 32 godziny w szkole zatrzymywać, gdy tymczasem w Żydowie przeszło 40 godzin przesiadywać musiały. Sąd orzekł jednak, że nauczyciel ma prawo *w interesie dyscypliny szkolnej* wyznaczać areszt, na który rodzice dzieci posyłać muszą. — Na tem sprawa się nie skończy i zasądzony Trz. odwoła się do wyższej instancyi.

* **Na cześć Orzeszkowej.** „Czytelnia dla kobiet" w Poznaniu urządza w niedzielę dnia 28 b. m. o godzinie 8 wieczorem na starej sali bazarowej wieczornicę na cześć Elizy Orzeszkowej. Jubilatka jest honorowym członkiem czytelni kobiet, wydział tejże dokłada przeto wszelkich starań, ażeby wieczornica wypadła jak najwspanialej. Do prologu i wykładu pozyskaliśmy wybitne siły poznańskie, część wokalna spoczywa w ręku znakomitej i cenionej w szerokich kołach śpiewaczki z dalszych stron. — To też nie wątpimy, że społeczeństwo w uznaniu zasług Elizy Orzeszkowej i ze względu na doborowy program wieczornicy, zbierze się licznie. Wstępne wynosi 1 m., dla uczącej się młodzieży 50 fen.

Wydział Czytelni.

* **Teatr Polski:** Sobota: Nowa sztuka i nowy autor — u nas jeszcze nieznany Tadeusz Rittner, który utworami swemi zdobył sobie już w literaturze dramatycznej poczesne stanowisko, a w Warszawie i w Galicyi jest wielce cenionym dramatopisarzem. W sobotę ujrzymy najpiękniejsze jego dzieło, które obiegło już wszystkie polskie sceny, — dramat w 3-ch aktach p. t.: *„W małym domku,"* przedstawiający w nowem oświetleniu konflikt niewiary małżeńskiej.

Niedziela: popołudniu o 3-ciej: *„Zazdrośnica"* arcyzabawna komedya w 3 aktach, budząca śmiech od początku do końca.

Wieczorem poraz drugi: *„W małym domku".*

Bilety na wszystkie następne przedstawienia *wieczorne* zamawiać można wcześniej w kasie teatru między godz. 5-tą a 6-tą po południu za opłatą 10 fen. od biletu.

Posiadacze *stałych miejsc na premiery* dopłacają też 10 fen. do biletu.

Na *przedstawienia popołudniowe* przyjmuje — zamówienia kancelarya teatralna między godziną 10—12-tą rano. Zamówione bilety rezerwuje kasa tylko do godziny pół do 1-szej w dzień przedstawienia.

Zamówienia z prowincyi przyjmuje się tylko *za przesłaniem pieniędzy.*

* **Wystawa robót kobiecych w Poznaniu** połączoną będzie w tym roku z bazarem wyrobów wiejskich, jako też konserw, wyrobów mięsnych itd. Otwarcie nastąpi 6-go grudnia.

* **Uroczystość Kościuszkowska** odbyła się w niedzielę w Rixdorfie pod Berlinem. W obecności około 300 osób — jak pisze „Dzien. Berl." — zagaił uroczystość prezes „Sokoła" rixdorfskiego a zarazem prezes V okręgu sokolstwa polskiego p. Wincenty Andrzejewski i objaśnił w dłuższem przemówieniu, dla czego sokolstwo polskie Tadeusza Kościuszkę uważa za swego patrona. Poczem chór męski „Lutni" wykonał pod kierownictwem niezmordowanego w pracy około pielęgnowania śpiewu p. Bol. Zaremby znaną pieśń „Na groby". Odczyt o Kościuszce wygłosił p. Jankowski. Po odczytaniu wystąpiła znowu „Lutnia" i zaśpiewała poloneza „Patrz Kościuszko na nas z nieba". Nastąpiły deklamacye. Przed zakończeniem uroczystości zabrał głos wiceprezes „Sokoła" berlińskiego p. Fr. Krysiak i wytłomaczył zebranym, dla czego Tadeusz Kościuszko tak ogromnem cieszy się umiłowaniem narodu.

* **Gniezno.** „Lech" donosi, że Piotrkowice już nabyła komisya kolonizacyjna. Piotrkowice sprzedała Spółka Rolników Parcelacyjna w Poznaniu — Niemcowi ewangelikowi p. Radtkemu, który dla „interesu" udawał Polaka. — Ciekawość, jak Spółka Rolników oczyści swoje sumienie wobec społeczeństwa.

* **Kościan:** Z powodu powiększenia liczby nauczycieli podatki dla katolików — większość naturalnie stanowią Polacy — urosną o małą kwotę — 81 (!!) procent.

Wniosek taki przedstawił tutejszy burmistrz dozorowi szkolnemu. Dozór atoli wniosek odrzucił stanowczo i uchwalił wnieść skargę przeciwko regencyi do najwyższego sądu administracyjnego w Berlinie.

* **Krotoszyn.** Tutejsza izba karna wraz z sądem ławniczym skazały p. Zugiera za nieprawną zmianę nazwiska swego, które według rozporządzenia rejencyi brzmieć powinno „Zughör". Oskarżony wniósł o rozstrzygnięcie do kamergerychtu. Kamergerycht zniósł wyrok dotychczasowy, przekazał go izbie karnej krotoszyńskiej i nakazał jej zbadać, czy p. Zu-

gier istotnie zmiany nazwiska dokonał. Izba karna ma sprawę tę rozsądzić niezależnie od rozporządzenia regencyi.

* **Śmigiel:** Uwiadamiają nas ze strony dobrze poinformowanej, że w Śmiglu zegarmistrza Polaka nie potrzeba. Zegarmistrzów jest tam tak wielu, że aż jeden Niemiec się wyniósł — W niedzielę dnia 14-go b. m. odbył się tutaj koncert „Lutni.“ Dzięki staraniom p. A. Wojciechowskiego, dyrygenta „Lutni“ i tutejszego organisty koncert wypadł ku ogólnemu zadowoleniu. Podnieść trzeba zapał drużyny śpiewaczej, z jakim garnęła się do ćwiczeń i występów. A nie mało było trudu. To też nadobnym śpiewaczkom i amatorkom, szanownym śpiewakom i amatorom należy się zupełne uznanie.

Z uczestników — ktoś.

* **Wschowa:** Dobra rycerskie *Niechlód* sprzedał Dom Bankowy Drwęski i Langner (Marcin Biedermann) panu Maciejowi Sicińskiemu, właścicielowi wsi rycerskiej Bednary pod Pobiedziskami. Bednary sprzedał p. Siciński p. dr. Jackowskiemu z Pomarzanowic.

* **Wągrówiec,** dnia 21 paźdz. 1906. Szan. Redakcyo! Proszę o umieszczenie, co następuje.

Na zarzut kłamstwa w sprawie „Sokoła“ odpowiadam: W korespondencyi mojej nie mówiłem, jakoby z ćwiczeń na zabawie latowej publiczność nie była zadowoloną, tylko z samej zabawy latowej, co jest prawdą. Dowodzi tego dawniejsza korespondencya w „Pracy“. Wiem bardzo dobrze, że ćwiczeń żadnych nie było.

Obywatel Wągrówiecki.

* **W Wągrówcu,** na sali p. Wańskiego odbyły się w niedzielę dwa wiece. Na pierwszym wiecu wygłosił sprawozdanie poselskie p. poseł Leon Grabski z Gniezna. Sala była przepełniona; wiec dozorowało 5 żandarmów przed domem, a 1 urzędnik policyjny z Poznania i 1 policyant tamtejszy na sali.

Na drugim wiecu dał pogląd obszerny i treściwy na pracę Kół poselskich poseł p. Połczyński. Ostro krytykowano system pruski.

Wiec w sprawie religii w Wągrówcu zapowiedział ks. proboszcz Kopernik na 4-go listopada.

* **Chodzież:** Wiec niedzielny tutejszy został rozwiązany. Przemawiał na nim p. *Walery Łebiński*, który z ramienia Prowincyonalnego komitetu wyborczego na wniosek komitetu powiatowego naznaczony został na kandydata poselskiego na okręg czarnkowsko-wieleńsko-chodzieski. Wybory odbyły się 24-go b. m. W okręgu tym w wyborach do sejmu przechodzi — Niemiec.

* **W Inowrocławiu** odbył się w niedzielę wiec *„Związku Zawodowego“*. Uczestników stawiło się około 200, co świadczy niestety o niezbyt wielkiem zainteresowaniu kół robotniczych i rzemieślniczych dla tak ważnej sprawy. Wiec zagaił i przewodniczył mu p. Pruszewicz, mistrz krawiecki z Inowrocławia. Przemawiali: ksiądz Reiter, dr. Krzymiński i prezes Związku Zaw. Polsk. p. Nowicki. Pierwszy mówił o powstaniu związków zawodowych, p. Nowicki o strajkach i związkach socyalistycznych i wreszcie pan dr. Krzymiński o stanowisku Kół Polskich w Berlinie wobec sprawy robotniczej. W dyskusyi zabierali głos liczni mówcy, którzy nawoływali do popierania Związku Zawodowego Polskiego jako najodpowiedniejszego dla polskiego robotnika i rzemieślnika.

Wiec dozorowało dwóch urzędników policyjnych.

* **Blumenthal,** w Hannowerskiem dnia 20 paźdz. 1906. *Sprawozdanie półroczne* Towarzystwa polsko-katolickiego „Sobieski“ w Blumenthalu z czynności od dnia 29 kwietnia, aż do dnia 14 paźdz. r. 1906. W ubiegłem półroczu odbyło Tow. posiedzeń 9 zwyczajnych, 3 nadzwyczajne, i jedno posiedzenie zarządu wszystkich Tow. miejscowych. Wszelkie posiedzenia rozpoczynano śpiewem narodowym, a kończono słowem „Szczęść Boże“. Na posiedzeniach załatwiano sprawy Tow. czytano ewangielie św., ustępy z żywotów św. Pańskich, sprawozdania z ostatnich posiedzeń, ściągano składki miesięczne, przyjmowano nowych członków. W tem półroczu urządziło Tow. dwie zabawy, — majówkę czyli zabawę latową, i zabawę z tańcami; obie zabawy odbyły się razem z gośćmi zaproszonymi.

Członków liczyło Tow. w ubiegłem półroczu 41, pozostaje 38, ponieważ dwóch umarło, i jeden wystąpił. Tow. abonuje 3 gazety polskie to jest: „Pracę,“ „Wiarusa polskiego“ i „Wielkopolanina.“ Tow. posiada własną bibliotekę, która się składa z 53 książek, 16 sztuk teatralnych, i dwóch dużych książek — Żywot św. Pańskich, i oprawny rocznik „Pracy.“ Tow. posiada własną chorągiew narodową, szafę do sprzętów Tow., 4 stęple, 1 bęben, 2 flety, 3 duże obrazy, 4 pary cholewek, obrączki i kije do latowej zabawy, Tow. udziela członkom dobrowolnego wsparcia podczas choroby i na pogrzeb, podług uchwały. Dochodu miało Tow. w ubiegłem półroczu 93,55 mrk, rozchodu było 130,82 mrk., zatem w kasie pozostaje 177,35 mrk.

Do Zarządu zostali obrani na przyszłe półrocze następujący panowie:

Józef Pastuszak, przewodniczącym, Bronisław Machnik, zastępca przew., Franciszek Dąbrowski, sekretarz, Wojciech Zaremba, zastępca sekretarza, Roman Zieleziński, kasyer, Maksymilian Słomiński, zastępca, Stanisław Konieczny, bibliotekarz, Józef Burdelak, zastępca bibliotekarza, Jan Konieczny chorąży, Antoni Lamperski i Stanisław Szymański asystenci, Józef Osięgłowski i Franciszek Hüllner, rewizorzy kasy.

Franciszek Dąbrowski,
sekretarz.

* **Berlin.** Tow. „Oświata“ urządza dnia 28. bm. po poł. o godz. 3 na sali „Patria“ — Gr. Frankfurterstr. 28 — przedstawienie teatralne dla dzieci. Odegrane będą: 1) „Kolega z oślej ławki“, komedyjka w 1 akcie przez Bolesławicza. 2) „Duch Hamleta“. komedyjka w 1 akcie dla chłopców przez S. Derynga. 3) „Święto 3 maja“, obrazek sceniczny narodowy w 1 akcie ze śpiewami nap. Fr. B. — Koniec przedstawienia o godz. 6. W towarzystwie dorosłych dzieci mają wstęp wolny. Bez wątpienia pospieszą Rodacy nasi z dziatwą swoją na to przedstawienie gremialnie.

* **Rodak-bławatnik** zapytuje się na tej drodze Szan. Czytelników gdzieby mógł założyć handel towarów bławatnych i liczyć na powodzenie. Informacye przyjmuje ekspedycya „Pracy“.

* **P. Dr. Fr. Jankowski** powrócił z Nauheim i przyjmuje tylko chorych na serce i złą przemianę materyi w godz. podanych w dziale ogłoszeń.

* **Nowe przedsiębiorstwo w Poznaniu.** Zwracamy uwagę szanownej publiczności na młodego rodaka, p. L. Kostrzewskiego, który pod firmą „Hermes“ otworzył przy placu Piotra nr. 4 skład papieru, materyałów piśmiennych, szkolnych, rysunkowych, galanteryjnych i skórzanych.

Pan Kostrzewski posiada długoletnią praktykę w tym zawodzie, gdyż zatrudniony był w renomowanych firmach, co daje rękojmię, iż szanowną publiczność zadowoli skorą, rzetelną usługą i wyborowym towarem.

„Szczęść Boże Rodakowi!“

Nekrologia.

† Śp. *ks. dr. Fryderyk Marwicz*, kanonik chełmiński, radca duchowny Konsystorza biskupskiego, umarł dnia 21-go b. m. w Pelplinie w 60-ym roku życia a 34-ym roku kapłaństwa. Nieboszczyk należał do kapituły chełmińskiej przez 5 lat i był krewnym zmarłego biskupa Marwicza. R. i p.

† S. p. *Ignacy Wlekliński*, mistrz rzeźnicki, umarł w Śremie w wieku 105

lat. Nieboszczyk brał udział w pdwstaniu listopadowem, chętnie o niem opowiadał i odznaczał się dobrą pamięcią. R. i. p.

† Ś. p. *z Fiedlerów Izabela Wize*, dnia 13-go b. m. w Kaliszu. R. i. p.

† Ś. p. *Seweryna z Ostrowskich Szwortz*, dnia 20-go b. m. w Trzcinicy, w powiecie kępińskim, skończywszy 68 lat życia. R. i. p.

† Ś. p. *Tadeusz Chacharowski*, dnia 13-go b. m. w Częstochowie, przeżywszy lat 28. R. i. p.

† Ś. p. *Andrzej Grabski*, dnia 21-go b. m. w Budzisławie górnym w Król. Polskiem, w 77-ym roku życia. R. i. p.

† Ś. p. *Czesław Naleniz*, dnia 21-go b. m. w Strzałkowie. R. i. p.

† Ś. p. *Maryan Turulski*, proboszcz w Bobrowie w Prusach Zachodnich w dekanacie brodnickim. R. i. p.

Nasza ofiarność.

Na weterana z roku 1863-go, schorzałego i biednego, zagrożonego wydaleniem z mieszkania złożyli w dalszym ciągu: pp. J. Mańkowski z Wojnowic pod Bukiem „na pobudkę" dla obojętnych 4 mrk; Witolddek i Zbiesiu Jachimowicze z Kowalewka pod Wargowem — każdy 1,50 mrk. ze swej skarbonki — razem 3 mrk.

O dalsze ofiary bardzo prosimy, gdyż na zimę nadchodzącą zostanie biedny weteran bez dachu nad głową.

* * *

Na głodnych Rodaków w Królestwie: zebrano na weselu państwa Grandkowskich w Jeżycach-Poznaniu 26 mrk.

Od Redakcyi.

— *Panu N. N. w Lubaszu.* — Umieściliśmy z przyjemnością i oczywiście — bezpłatnie. Pozdrawiamy.

Pana J. Smolińskiego z Bochum prosimy, ażeby nam opisał początek tego sporu. Chodzi nam o to, jak ludzie bezstronni na kwestyę tę zapatrują się tam we Westfalii. Nasze informacye pod tym względem nie są dość ścisłe, ani dokładne, abyśmy mogli jakąkolwiek w tej sprawie umieścić korespondencyę, tem więcej, że jak nam wiadomo i Zarząd Związku i Zarząd okręgu kilkakrotnie sprawą tą się zajmował. Obecnie ma sprawa powtórnie wrócić do Zarządu okręgowego.

— *Panu Julianowi D. w Czempiniu.* — Dziękujemy za łaskawą pamięć i mile Szan. Pana pozdrawiamy. Co do „pospiechu", to p. S. jest za poważnym, aby się miał śmiać z „spóźnionego pośpiechu" Szan. Pana.

— *Panu S. w Pakości.* — W tej sprawie poinformuje Szan. Pana każdy bednarz.

— *L. 10.* — „Kalendarzyk Maryański" i „Śpiewniczek z nutami" nabyć Szan. Pani może w jednej z następujących księgarń w Poznaniu: A. Cybulski, B. Chrzanowski, J. Leitgeber, W. Templowicz.

Książki nadesłane do redakcyi.

— *Choroby z zaziębienia* (reumatyczne, kataralne,) ich przyczyny, zapobieganie i leczenie. Poradnik dla każdego podług Dra Niemeyera. Nakładem Wydawnictwa „Przewodnika Zdrowia" (Czarnowski, Berlin N. Weissenburgerstr. 27) Cena 50 fen. — 60 hal. — 25 kop.

Broszurka niniejsza uprzystępnia każdemu zrozumienie chorób tak zwanych „ze zaziębienia," jak choroby gośćcowe czyli reumatyczne, cierpienia kataralne i wiele innych. Osobliwą zaletą tej książeczki jest to, że zawiera bogaty materyał co do zapobiegania i leczenia wymienionych chorób. Celem zapobiegania zaziębieniom jest podany sposób życia, najlepiej broniący przeciw chorobie, a dla chorych zawarte są liczne wskazówki, wedle których najpewniej pozbędą się swych cierpień. Zapewne niejeden odświeży się na nowo po przeczytaniu tej książeczki, znajdując w radach podanych wyleczenie ze swego cierpienia.

— *„O wekslach"* — przez mec. Stanisława Sczanieckiego z Gniezna, wydał J. Wiśniewski w Gnieźnie. Do nabycia we wszystkich księgarniach za 30 fen. Jest to popularny odczyt szczególnie dla kupców i rzemieślników.

— *„Kalendarz Kółek Rolniczych"* w Galicyi na rok 1907: wspaniale illustrowany bogaty w treść — narodową, zawodową i polityczną — kosztuje 80 halerzy — do nabycia we wszystkich księgarniach.

Rozmaitości.

Dla reklamy. Z wysokości mostu brooklińskiego w Nowym Jorku, rzucił się jakiś człowiek głową na dół do wody. Tłum przechodniów wydał okrzyk zgrozy. Po kilku minutach człowiek ten wypłynął na powierzchnię i wkrótce dobił do brzegu. Gdy już stanął na lądzie, policya poprosiła go do sędziego, aby się tam wytłomaczył ze swego uczynku. Wyjaśniło się, że był to nurek zawodowy, który popisywał się w cyrku. Ponieważ impresaryo nie dowierzał jego zdolnościom, więc nurek zobowiązał się przed zawarciem kontraktu skoczyć z mostu do rzeki, co też wykonał. Ponieważ nie było to zwyczajne wykroczenie, lecz popis artystyczny, więc sędzia uwolnił nurka od odpowiedzialności.

* * *

Ciekawa historyjka. W Nowym Jorku u pewnego znanego milionera była zatrudniona jako prywatna sekretarka miss Hewitt, młoda, piękna panna. Po niejakimś czasie zauważył szef, że dochody jego zmniejszyły się jakoś z jego licznych przedsiębiorstw, podejrzywał więc, że jest okradanym przez swój personal. Skoro detektywi nie mogli sprawcy wykryć, ofiarowała się miss Hewitt wziąć na siebie rolę detektywa; jakoż zabrała się do wykrycia oszusta z wielką energią i dobrym skutkiem, bo kazała aresztować kasyera, co nastąpić miało w sobotę. Tymczasem dnia tego niestawił się ani ów kasyer, ani piękna sekretarka do kantoru. Za to nadszedł list od miss Hewitt, w którym się tłomaczy, że z powodu nagłej miłości, którą powzięła do kasyera, nie może go wydać policyi. Pokrzywdzony o mniej więcej 8000 f. szt. milioner, poruszył wszystkie sprężyny, aby pochwycić zbiegów.

* * *

Znana awantura w Koepeniku dostarcza gazetom niemieckim, mianowicie obrazkowym pismom humorystycznym bardzo dużo materyału do różnych dowcipów i nieprzyjemnych dla rządu pruskiego żartów. Burmistrz dr. Langerhans złożył swój urząd. Fałszywego kapitana dotąd nie ujęto, choć bardzo znaczną sumę pieniędzy wyznaczono na jego wykrycie.

Treść nr. 43-go.

DZIAŁ ILLUSTROWANY.

W dzień zaduszny.



Pod zimnym głazem śpią w cmentarnej ziemi
Ludzkie łzy, bóle, troski i cierpienia;
Lotnych mgieł puchy płyną po nad niemi
I wiatr im szumi szeptem ukojenia.

Codzień dokoła noc roztacza mroki
I codzień płonie świt porannej zorzy...
Śpią zmarli — cisi — w mogile głębokiej —
Aż ich obudzi potężny głos Boży.

Na głos ten jasność wkoło się rozszerzy,
Zniknie straż śmierci przy grobowej płycie,
A na mogiłach kwiat wyrośnie świeży
I z mogił wtedy wyjdzie nowe życie.

Miasto żywych tonie w pomroce jesiennego wieczora... miasto umarłych płonie w blaskach mirjadów drżących płomyków...

Miasto żywych rozbrzmiewa gwarem wiekuistego pospiechu — po mieście umarłych idą poszumy — westchnienia — szepty i szlochy...

A gdy raz w roku, mroczną jesienią nadejdzie święto umarłych: Zaduszny dzień — wtedy ich miasto całe się przemienia — świąteczny przywdziewa strój.

Zimne marmurów i granitów blaski giną w przepychu żywej zieleni; wznoszą się piramidy laurów i wiotkie bluszczowe kolumny.

Gasnące gwiazdy złocieni, fiolety astrów i dahlii wychylają się z wieńców olbrzymich — długie wstęgi na pomnikach znaczą białą d[illegible]

Gorzą wysmukłe gotyckie kapliczki; — nad grobami unoszą się nimby rozświetlonych blasków; — cicha melancholia pomników starych w refleksach miękkich przemawia wspomnieniem; na zwietrzałym i mchem porosłym kamieniu, na chwilę ukazują się tajemnicze, pradawnym rylcem wykute litery — i giną znowu wśród nocnej pomroki.

Strzaskane kolumny, — urny pleśnią porośnięte czasu, — katakumby ciemne, — białe z marmuru figury; — jakieś leciuchne blade nad lampkami dymy, — żywiczna woń jałowcu i świerczyny, zamierających kwiatów aromaty... a wyżej, nad miastem umarłych kopuła złotego stropu w złocistych płonie blaskach i złote liście rozsiewa. W kamiennych sarkofagach — w bogatych trumnach z metalu, otuleni w jedwabie całunów — cichym snem spoczywają ci, których płaczą...

Ci co zasnęli snem nieprzespanym na łożach miękkich, puchowych: starcy co życie całe przeczekali; — młodzieńcy co konając miłość w sercu mieli i nadzieję; — matki, które żegnały świat w uściskach dzieci — dzieci, co z objęć matki ulatywały w zaświaty.

Dzisiaj na grobach ich modlą się żywi... płoną światła... więdną kwiaty... A ponad złotą świetlaną kopułą, wśród nocnych mroków ulatują cienie tych, których tu niema...

Unoszą się te cienie jako chmura smutku, boleści, rozpaczy... Życie ich nie zaznało kresu — jeno przerwane było w dni połowie.. Padali jak kłosy dojrzałe i pełne, które podcięła obojętna kosa.

W cierpieniach i męce nie znali litości — płakała nad nimi jeno ziemia. Ciężką była śmierć ich — ciężka do wieczności droga — niechże choć ta ziemia lekką im się stanie!

O nasi biedni — nasi drodzy — nasi dalecy a jednak tak blizcy, których już niema. . . . .

. . . .

. . . .

. . . .

Zmarłych komnata.

. . . .

Patrzaj ku boru, u skalnego głazu,
Widzisz ten domek dziewiczy i miły?
Który uploty powojów i ślazu
Niby całując do koła obwiły;
Strzegą ten domek dwie smukłe topole
A przed nim zbożem kołysze się pole.

A za nim lipy rozpierzchłe w nieładzie
O brzóz płaczących dumają boleści,
I strumyk w wiecznej z lilijami zwadzie
To je falami potrącił, to pieści;
Na ściętym dębie bocian gniazdo kładzie,
Wróble gałęzie obsiadły i wieści
Gwarzą mu w ucho, aż bocian znudzony
Zaklekotał i rozegnał je w klony.

Dalej się rzeka szarfą modrą wije,
I słychać wodę, jak z kół młyńskich spada;
I huczy groźnie i o brzegi bije,
I wrzącą pianą o swym gniewie gada,

Aż w ciemnej głębi parowu się kryje,
Gdzie z gór tryskając wita ją kaskada.
Ty kłamiesz muzo! w Arabii ta strona?
To okolica z nad Niemna kradziona!

Słuchaj, w tym domku, szatny do mnie rzecze;
Jako anioły dwoje mieszka ludzi,
Spokojnie, słodko dzień życia im ciecze;
W tem ich ustroniu świat wrzawą nie nudzi.
Piękne jest, piękne, to serce człowiecze,
Gdy się w niem iskra miłości obudzi,
Dusz dwojga świętość niebieskich płomieni
Jak ton dwóch lutni w jeden hymn ożeni.

. . . .

I na podwórko weszliśmy maleńkie,
Zewsząd je wieńcem okoliły kwiaty,
Niby w świąteczną odziane sukienkę,
Witają gościa i wiodą do chaty.
Na piersi drżącej położyłem rękę,
Czuła, że w błogie zapłynęła światy.
Była tak lekka, dumna i swobodna,
Jak tchnąca wonią noc letnia, pogodna.

I szliśmy złote spędzając motyle,
Z bzów takiej barwy jak nieba odziewek;
I zadumany stanąłem na chwilę,
Polnych koników podsłuchując śpiewek.
Aż bielą domek zajaśniał nam mile
Pośród powojów i jaśminu drzewek.
Słońce spać biegło, i tylko do ucha
Słowik lub brzękiem zagadała mucha.

Na progu pies był, ten skoro nas zoczył,
Wzniósł pysk do góry i jak gdyby znany,
Ode drzwi domu aż ku nam poskoczył,
Wił się i skomlał i za kraj sukmany
Pyskiem uchwycił i ku progu kroczył;
U drzwi pysk zwiesił i w piasek u ściany
Zarywszy nozdrza, zawył tak ponuro,
Jakby śmierć poczuł gdy żegluje chmurą.

W sień weszliśmy, nikt nas nie powitał,
Na chwilę małą stanęliśmy w sieni,
Przez drzwi szczeliny blask jakiś prześwitał,
Ale to nie był blask słońca promieni,
Raz pożółknie, to znów się rumieni:
Drzwi otworzyłem: i przebóg! w komnacie
Zmarła kobieta w gromnicy poświacie!

U nóg zmarłej jakiś młodzian klęczy,
Twarzy nie widać bo ją skrył w całunie;
Modli się w myśli, nie wzdycha, nie jęczy.
Chciał się przeżegnać i zbliżył ku trunie;
Wtem pieśń żałobna zakwiliła, zabrzęczy
W rzewnej, anielskiej niewidzialnej strunie,
Na dźwięk jej boleść wbiła mnie do ziemi,
Stałem oblany łzami gorącemi.

A gdy na zmarłej wzrok zawisnął twarzy,
Że mi się zdała i niebem i światem,
A ten klęczący mej boleści bratem.

I z głośnem łkaniem tulę się do łona
Tego, co klęczy, modli tak gorąco,
Szyję schyloną objąłem w ramiona,
I twarz oblewam łzą boleści wrzącą;
A twarz mi w oczy, rozpaczą zielona,



Sierota na grobie matki.

Taką pięknością zdumiały mnie lica,
Żem myślił, anioł snem ujęty marzy,
Dusza na rysach jak zorza przyświeca,
Z ciała wybieglszy stanęła na straży
Wdzięków niewiasty, żeby gąsienica
Śmierci nie siadła i ciała nie śćmiła,
W którem tak mieszkać jak w niebie lubiła.

Na krągłe piersi, które bić przestały,
A jednak jeszcze tak nęcą lubością,
Złotych kędziorów fale się rozlały,
Smukły stan szata owiewa śnieżością,
W ręce okrzepłej kwiatek róży białej,
Z ust różą, dziwną odbija sprzecznością,
I wszystko życie tak zwodniczo kłamie.
Żem chciał ją zbudzić trąciwszy o ramię.

I tak do ziemi boleść mnie stłoczyła,
Że czoło moje w kir całunu tonie,
I pierś rozdarta duszy się prosiła
Żeby z niej wyszła) i szukały dłonie*
Druha uścisku, bo taka mnie siła
Do tej umarłej przykuła po zgonie,
Spojrzy okropnie i głową chwiejącą
Na barki spadnie, i tułowu brzemię
Z głuchym łoskotem runęło na ziemię.

To trup się modlił przy kochanki zwłokach!
Pójdźcie i patrzcie wy z lodu i ciała!
Oto jest miłość, którą'm śnił w obłokach,
Miłość co w piersi mej płomieniem wrzała,
Póki'm mej duszy w kałuży potokach
Nie zbrudził, póki anielska i biała
Niebieskie kształty widziane na niebie,
Pragnęła odbić tu wokoło siebie!

Przez drzwi otwarte pies wejrzał kudłaty,
...ry, do łba stulił uszy,
I stał pono... do zmarłych komnaty,
I wszedł wyją... go poruszy,
I łapą pana swojego za szaty,
I ręce liże i ciągnie ... wzywa powrót duszy.
I smętnym piskiem ... pana
Po próżnym znoju, tuż przy nodze
Patrzący ... trumnę, uległ na podłodze.

*) Wyrażenie się Danta.

I potrącona upadła gromnica,
I dymu czarny wieniec się roztoczy.
I kirem pełza na umarłej lica;
Aż księżyc z chmury, dymu wieniec zoczy,
I z twarzy światła tryśnie mu krynica,
I srebrną szatą umarłych otoczy,
Jakby zapraszał, żeby po tej smudze
Poszli do niego w powietrznej żegludze.

Widziałem potem w tej smutku komnacie
Dwa najpiękniejsze Cherubinów duchy,
Dwie z ciał skostniałych płynące postacie,
Tak lekkie, białe, jak kwiatowe puchy;
Widziałem potem w tęczowej poświacie
Z nieba do ziemi róż zwite łańcuchy,
Po nich do Boga dwie dusze płynące,
Niby łabędzie, śnieżnem piórem lśniące.

K. Brzozowski.

Na cmentarzu.

Było to w dzień zaduszny. Słońce jasno świeciło, wiosnę raczej, niż jesień, przypominając. Na ulicach, mimo wczesnej pory, ruch panował niezwykły.

Dorożki, powozy i piesi dążyli w jedną stronę z jakimś gorączkowym pośpiechem. Nie był to jednak ten ruch karnalawowy, pośród śmiechu i gwaru, w szalonem zapomnieniu, przy dźwiękach skocznej muzyki — przeciwnie, cisza panowała do koła i tylko turkot kół zamącał ją brutalnie. Nastrój przechodniów był uroczysty, w strojach przeważał kolor czarny. Kobiety pozakrywały twarze welonami i tylko wiatr czasem odsłaniał ich smutne oblicza; łzami niekiedy zalane. Żałoba i smutek, jak okiem sięgnąć, panowały dokoła.

Siedem lat miałem, kiedy po śmierci ojca po raz pierwszy jechałem z matką i młodszą siostrzyczką na cmentarz. Wieźliśmy ze sobą koszyk, napełniony różnokolorowemi lampkami. Dość często jeździliśmy na grób ojca, ale zawsze bez lampek. Przejęci smutkiem matki, w milczeniu jechaliśmy dość długo, aż w końcu dręczony ciekawością ośmieliłem się zapytać:

— Proszę mamy, po co my wieziemy lampki?

Matka, wyrwana z myślenia, krótko odpowiedziała, że dzisiaj są Zaduszki, więc trzeba lampki zapalić na grobie. Pierwszy raz słyszałem ten wyraz „Zaduszki“ i niewiele objaśniła mnie odpowiedź matki; ale nie śmiałem więcej pytać, gdy niespodzianie Helenka przyszła mi z pomocą. — Mamusiu, a co to jest Zaduszki? — zagadnęła. — To święto umarłych — odpowiedziała matka —tatko umarł i ma dzisiaj pierwszy raz święto.

— Prawdę mówiła matka, miał pierwszy raz święto; później dowiedziałem się, że nigdy go nie miał za życia.



Nagrobek Fryderyka Szopena (* 22. II. 1809 — † 17. X. 1849) znakomitego kompozytora i muzyka polskiego w kościele świętokrzyskim w Warszawie. Pod nagrobkiem spoczywa serce genialnego muzyka.

W milczeniu dojechaliśmy do cmentarza; po drodze kupiła matka dwie doniczki kwiatów i dała nam, mówiąc:

Tadzio zaniesie ojczulkowi azalię, a Helenka lewkonię.

Pamiętam, jak szczęśliwi byliśmy z tego polecenia, jak oboje wyciągnęliśmy ręce po kwiaty, jak potem przyciskaliśmy doniczki do piersi, aby, broń Boże, nie upuścić. Stanęliśmy przy grobie; matka upadła na kolana i długo tłumione łkanie wyrwało się jej z piersi. Poszliśmy za jej przykładem, ale niedługo to trwało; matka podniosła się i powiedziała:

— Wstańcie dzieci, bo ziemia wilgotna; Tadziu, włóż kapelusik na głowę.

Ustawiła lampki w kształcie krzyża, zapaliła je, choć wiatr temu przeszkadzał,ustawiła doniczki z kwiatami i rzekła do nas:

— Zmówcie dzieci pacierz.

— Mówiliśmy po cichu i tylko modlitwę za umarłych matka dokończyła głośno: „a dusze zmarłych niechaj odpoczywają w pokoju wiecznym, amen.“

Odeszliśmy z zamiarem powrócenia wieczorem.

Wieczorem tego samego dnia, im bliżej dojeżdżaliśmy cmentarza, tem większy tłok panował na ulicach. Matka wzięła nas za ręce i z trudnością przesuwaliśmy się przez tłum, zalegający całą szerokość ulicy. Dostaliśmy się na cmentarz. Jakże odmiennie teraz wyglądał, gorejący tysiącami świateł. Niektóre groby pięknie udekorowane kwiatami, wieńcami i wstęgami, gromadziły tłumy ludzi. A wszędzie gwar, śmiech, zamieszanie i hałas, nie licujący z uroczystością święta umarłych. To nie modlitwa, raczej widowisko bezpłatne i ściągające gromady ciekawych. Chciwy wrażeń tłum, puszczony samopas, używa wolności całemi piersiami. Jakiś jegomość stratował darniową mogiłę, ale dopiął celu — stanął na jej szczycie i ogląda teraz pięknie iluminowany sąsiedni grobowiec. Za jego przykładem kilku chłopców niszczy sąsiednie mogiły, dziwiąc się, że dotąd nie przyszła im ta myśl do głowy. Jakaś kobieta pospiesznie obrywa z wieńców róże i chowa do parasolki; może jutro ustroi się w nie i będzie przedmiotem zazdrości. Opodal gromadka mężczyzn i kobiet prowadzi ożywioną rozmowę, przerywaną głośnemi wybuchami śmiechu. Dalej znów jakieś zbłąkane dziecko płacze, wołając wśród łez: mamo, mamo! Żebracy pośród tłumu odmawiają półgłosem pacierze: „Bądź wola Twoja!“ powtarzają, a wyrazy giną bez echa...

Z trudnością przedostaliśmy się do grobu ojca; nie było na nim ani lampek, ani kwiatów. — Mamusiu, dlaczego tatko lampki zgasił? — pytała Helenka, ale matka nie odpowiadała, wyrazy zamarły jej na ustach; dopiero kiedy zapytałem: gdzie są kwiaty, matka przez łzy wyrzekła: — „źli ludzie zabrali“. Pierwszy raz w dziecięcej piersi obudził się żal do ludzi.

— Zmówcie dzieci pacierz — przemówiła matka spokojnym już głosem; ale zamiast pacierza powtarzałem ciągle: dlaczego są źli ludzie, którzy zabierają umarłym nawet lampki, nawet kwiaty?

Po powrocie do domu mówiła nam matka, że z grobu najmniejszego listka brać nie można, bo to jest własność umarłych, a kto nie szanuje umarłych, ten ciężki grzech popełnia.

Wiele lat upłynęło od tej chwili i może zapomniałbym o niemiłem wrażeniu, jakiego w dzieciństwie doznałem, gdyby ten sam tłum nie przypominał mi corocznie w dzień zaduszny tych samych, co wówczas — wrażeń.



Na grobach.

Niema chyba pomiędzy nami nikogo, ktoby chciał występować przeciw uczczeniu pamięci zmarłych. Ale widząc, co się dzieje na cmentarzach Poznania w Dzień Zaduszny, mimowoli nasuwa się pytanie: — czy ta wystawność w przybieraniu grobów nie ma swego źródła w próżności ludzkiej?

Widziałem groby, na których paliła się jedna świeczka, ale których darń zroszona była łzami — i widziałem znów groby ozdobione transparentami, udekorowane kwiatami, szarfami, oblane potokiem światła, ale śladu łzy serdecznej na ich kamieniach i marmurach nie było. I nieraz myślałem sobie: co tu popisu, co tu kłamstwa, co tu szychu! Jeden przesadza się na drugiego, nie dlatego, aby poszły westchnienia do nieba za zmarłymi, ale, aby mówiono o żyjących.

Doszło do tego, że obok grobów słyszymy wesołe rozmowy i śmiechy. Niezliczone tłumy tłoczą się po ulicach cmentarzy, depcą po grobach, urządzają sobie ostatni spacer jesienny! Po cmentarzach przechadzają się wystrojone damy, — towarzyszy im flirtująca młodzież...

A jakby się chciało w takim dniu tylko spokoju, tylko samotności, — jakby się chciało uklęknąć na grobie swoich najdroższych i pozwolić płynąć łzom i szeptać ciche modlitwy. Wszak to dzień, w którym i ucho niewierzącego mogłoby dosłyszeć kojące duszę dźwięki hymnu nieśmiertelności. Bo jeżeli gdzie, to na grobach najwięcej wierzymy w nieśmiertelność, rwiemy się do niej, pragniemy jej, błagamy o nią... Wszak ludzie, co kilkadziesiąt lat na świecie przeżyli, mają w grobach złożoną połowę szczęścia swego, a może nawet całe szczęście życia. I rodzi się na tych grobach jakaś nieokreślona nadzieja, jakaś tajemnicza wiara, że to szczęście jeszcze nie przepadło, że nici zerwane na-



W dzień smutku.

wiążą się, że tam, kiedyś w cudownej krainie światła i woni spotkamy się, że jeszcze ujmiemy tę rękę, którąśmy w dzieciństwie całowali, że odgarniemy jeszcze z czoła te złote włosy, któreśmy pieścili, że usiądzie nam znowu na kolanach ta dziecina, po którejśmy oczy wypłakali...



Książę Józef Poniatowski.

(Wspomnienie z powodu 93 rocznicy zgonu).

W cieniach podziemi wawelskiej katedry, obok prochów tych, co w majestacie panowali w Polsce: królów gospodarzy i królów rycerzy, tych, co szczęśliwi byli i tych, którym smutna przez czas życia i rządów świeciła gwiazda, spoczęli dwaj mężowie, którzy bez korony umysłami i sercami polskiego władali narodu. W pierwszej zaraz krypcie tuż obok siebie spoczęły zwłoki księcia Józefa Poniatowskiego i Tadeusza Kościuszki. Kościuszkę zna lud nasz dobrze, zna jego zamiary i marzenia i życie czynne i starość poważną i śmierć cichą, o księciu Józefie wie mniej, a przecie nie bez powodu na wawelskim złożono go wzgórzu, na które oczy całej zwrócone są Polski, nie bez powodu złożono go obok królów i obok Kościuszki.

Bratanek ostatniego króla polskiego, urodził się książę Józef w r. 1763. Na chłopięce jego lata przypadły ostatnie Polski przedrozbiorowe niedole i rozbiór. Pod okiem stryja swego króla Stanisława Augusta wychował się wtedy książę Józef w Warszawie. Za mało energiczny na swe czasy, chwiejny i miękki, król był jednak człowiekiem bardzo wykształconym, lubującym się w naukach i sztukach pięknych. Nic dziwnego, że i zostający pod jego wpływem młodziutki książę szybko postępował w naukach. Miał jednak przytem wielkie zdolności wojskowe i w tym też poszedł kierunku. Jako młodzieniec dla nauki wstąpił do armii austryackiej i szybko posuwał się w stopniach; gorąca jednak miłość ojczyzny która na życie całe w jego zamieszkała sercu, nie pozwoliła na spokojne dobijanie się coraz wyższych stopni wojskowych w cudzych szeregach. Na wieść że Polska korzystając z zajęcia się Rosyi wojną z Turcyą, radzi o poprawie a między innemi reformami także reformę armii przeprowadzić zamierza powrócił książę Józef do ojczyzny. Tu zajął się gorliwie powiększeniem i wyćwiczeniem wojska polskiego, a kiedy po uchwaleniu konstytucyi 3 Maja, Rosya zwróciła znowu baczne spojrzenie na Polskę i zbawiennych uchwał Sejmu czteroletniego wprowadzać nie pozwalała, objął za królewskim rozkazem książę Józef naczelne dowództwo wojsk polskich i kilka krwawych bitw z Moskalami stoczył. Wobec tego jednak, że król z Moskwą się porozumiał, swoją słabe powodowany naturą, czuł książę Józef

że jego usiłowania pozostaną bezskuteczne, wojna się skończyła, a on wyjechał za granicę.

Długo tam jednak nie bawił. Duch polski, co w niewoli żyć nie umie, rozgrzał serca nękanych; wybuchło powstanie kościuszkowskie. I książę Józef pospieszył na wezwanie matki-Ojczyzny, by służąc w szeregach swego przedtem, gdy był głównym wodzem, adjutanta, w szeregi Kościuszki.

Po upadku powstania zamieszkał w Warszawie. W tych strasznych czasach, kiedy to w obłąkanie popadali znamienici w Polsce mężowie, nie mogąc znieść strasznego bólu, że takie muszą przeżywać czasy, młody jeszcze książę Józef Poniatowski bawił się w Warszawie. Jak wielu innych starał się on zagłuszyć w ten sposób rozpacz, szarpiącą mu duszę. Przyszły jednak wkrótce czasy, które wlewając iskierkę nadziei w serce, powołały go znowu na pole walki.

Straszny w swej potędze, całą Europą władać zaczął, wielki cesarz Francuzów, Napoleon. Ten syn ubogiego adwokata, obdarzony jakąś przemożną siłą, zwycięzką deptał stopą wszystkie z Francyą graniczące państwa, okrywszy się sławą przedtem hen aż pod gorącem egipskiem niebem. Na niego zwróciły się oczy całej Europy, do niego jako na jedynego człowieka, który zbawić mógłby Polskę, zwróciły się serca, bijące na rozdartych ziemiach Rzeczypospolitej. Napoleon obiecał, ale zażądał wpierw rąk do walki i wiele wiele krwi, którą chętnie przelewali, walczący pod jego rozkazami Polacy. Spieszyli oni licznie w szeregi wojsk Napoleońskich, a zorganizowaniem polskich ochotników zajął się nie kto inny, tylko Józef Poniatowski, obecnie w charakterze jenerała. Napoleon pobił Prusaków, a odebrawszy im zajętą przez nich część Polski, utworzył z niej Wielkie Księstwo Warszawskie. Ten wskrzeszony związek przyszłej Polski, natchnął wielkich mężów do wielkich prac, które sprawiły, że Wielkie Księstwo Warszawskie rosło w naukach i zamożności, jego zaś niewielką, ale nie ustraszoną armię urządził świetnie książę Józef, który został ministrem wojny Wielkiego Księstwa. Kiedy zaś nowa wojna Napoleona z Austryą sprawiła, że Austryacy wkroczyli w sile 30 tysięcy do Księstwa Warszawskiego, książę Józef mężnie walczył z nimi, mając zaledwie 8 tysięcy ludzi, a kiedy zdołał tylko armię swoją powiększyć, sam wkroczył do Galicyi, którą podczas rozbiorów Austrya zagarnęła, i zajął ją. To były najświetniejsze chwile Poniatowskiego. — Był w swoim żywiole, walczył i organizował, był u szczytu swej potęgi i sławy.

Wyprawił się teraz Napoleon na Moskwę, poszedł na podbój ostatniego niepokonanego dotąd przez niego państwa w Europie; poszły z nim wojska Księstwa Warszawskiego, poszedł z nim Poniatowski. Spodziewali się wszyscy po tej wyprawie wiele. Tymczasem runęła niezwalczona dotąd siła Napoleona. Nie zmogły go ni szable, ni armaty, ale zmógł go mróz, zmogła straszna północna zima, której wojska Napoleona z różnych cieplejszych krajów pochodzące znieść nie mogły. Tylko zastępy polskie, mimo strasznych strat, cofnęły się w porządku.

Teraz wszystkie podbite przez Napoleona państwa podniosły głowę, uchwyciły za broń, by go ostatecznie dobić i przyszło do wielkiej rozprawy pod Lipskiem. Napoleon musiał się cofać. Odwrót zaś rozkazał zasłaniać wojsku polskiemu, przerzedzonemu już silnie w długiej walce. Dowództwo spoczywało w ręku pięćdziesięcio-letniego już Poniatowskiego, który jednak zawsze z młodzieńczą energią, z młodzieńczą zapalczywością nastawiał pierś na nieprzyjacielskie ciosy, dla tej jednej myśli, że ojczyźnie służy, że dla niej tylko żyje i dla niej umrzeć powinien.

Wojska Napoleona cofnęły się za rzekę Elsterę, w znacznej za niemi odległości postępowali Polacy, wstrzymując cały napór nieprzyjacielskich wojsk. Zanim jednak i oni zdołali cofnąć się poza rzekę, Francuzi wysadzili za sobą most w powietrze, a Poniatowski ze swą garścią otoczony został z trzech stron. Tam w kierunku, gdzie nieprzyjaciela nie było, szumiały nurty głęboko wskutek jesiennych deszczów wezbranej Elstery. Nasz bohaterski wódz poddać się nie umiał. Zawołał do otaczających go w te słowa: „Bóg powierzył mi honor Polaków, Jemu go tylko oddam,“ i rzucił się z koniem w rzekę, by ją przepłynąć. Za nim podążyły hufce polskie. Ale ci, którzy przepłynęli, nie ujrzeli między sobą wodza. Ranny i wyczerpany znalazł on śmierć w falach Elstery. Stało się to 19-go października 1813 roku, w trzy dni po zamianowaniu go przez Napoleona marszałkiem Francyi.



W zaduszny dzień.

Zwłoki księcia Józefa Poniatowskiego odszukano, przewieziono je do kraju w rok po zgonie i pochowano uroczyście na Wawelu na ostatni spoczynek.

My z czcią spoglądamy na jego trumnę, z podziwem dla tego nieustraszonego wojownika, z miłością dla wielkiego syna nieszczęśliwej ojczyzny, co dla niej życie i śmierć poniósł w ofie-

rze. Czujemy, że słusznie należało mu się miejsce obok królów, miejsce obok adjutanta jego, a potem naczelnika i wodza, Kościuszki.

F. Żrencin.

(*„Ojczyzna.“*)

Mogiła Kościuszki.

(Wspomnienie z powodu 89 rocznicy zgonu).

„Stać będą na straży: Wiara, miłość, dwie służki, Wawel runie, a zostanie mogiła Kościuszki!

K. Ujejski.

Kto był, ten tyle ukochany, i wiecznie pamiętny Tadeusz Kościuszko — dziś już wszyscy wiedzą, wszyscy znają tego najwierniejszego obrońcę ludu polskiego, który powołując lud wiejski do obrony Ojczyzny, wskazał narodowi polskiemu, gdzie są nieprzebrane kopalnie najdroższych klejnotów i największych skarbów narodowych — pokazał gdzie są niespożyte siły, twórcza moc i światem władnąca potęga narodowa!

Wszystkie myśli, słowa i czyny przez całe życie swe zwracał Kościuszko ku Polsce. Dla jej dobra nie żałował ani czasu ani mienia, ani krwi serdecznej, ni życia. Wyparł się wszelkich osobistych pragnień, szczęścia u domowego ogniska nie kosztował nigdy — ani rodziny nie miał, bo niepodzielnie, całego siebie, ciałem i duszą oddał Ojczyźnie. Serce swe na oścież otworzył dla uciemiężonego ludu wieśniaczego, chciał go podźwignąć z upadku, upodlenia, chciał go zrównać; zrównał w zasadzie z innymi stanami — i sam chłopską przyodziawszy sukmanę, pragnął tem udowodnić, że uważa chłopa za brata, nie za młodszego, ale za równego, któremu też jednakowe przysługują prawa.

Dnia 15-go października minęło lat 89, jak po długoletniej tułaczce, na wolnej ziemi Szwajcarów w Solurze, przestało bić serce szlachetne Naczelnika w sukmanie.

Zwłoki złożono na cmentarzu w Zuchwil i postawiono Naczelnikowi pomnik, który obrazuje zamieszczona rycina.

Smutek i żal ogarnął wszystkie szlachetne serca w dwóch częściach świata. W całej Polsce odprawiano żałobne nabożeństwa.

Niedługo spoczywały zwłoki wodza tułacza na obcej ziemi. W kwietniu 1818, kiedy niebo śmiało się wiosennem słońcem, jak wówczas, gdy Kościuszko wiódł uroczym krajem Kosynierów pod Racławice, sprowadzili Polacy śmiertelne szczątki swego Naczelnika do Krakowa.

I uderzyły wszystkie dzwony „jak ludowe głosy“ na powitanie hetmana,



Pomnik Tadeusza Kościuszki na cmentarzu w Zuchwil w Szwajcaryi.

który wracał, „choć w trumnie — na ojczyste łany.“ I przyświecała mu zwycięsko w tej ostatniej na ziemi wędrówce „racławicka kosa,“ którą niósł za trumną lud szlochający...

I złożyły dłonie rodaków drogą tę trumnę na Wawelu w grobach królewskich, obok trumny sławnego króla Jana Sobieskiego.

Dla uczczenia zaś pamięci Naczelnika, co „nie hołdował pysze i potędze,“ lecz stawał w szeregu chłopów, „chodził w ich siermiędze,“ uchwalili Polacy wznieść mu pomnik, a jako materyał na pomnik, wybrali nie lśniące białością marmury, lecz czarną ziemię, która była Kościuszce i każdemu Polakowi najdroższą, tę ziemię, którą chłop polski krwawym zlewa potem, tę drogą ziemię, co to, „jakby jakie ludzkie ciało, cała krwią przecieka,“ „jakby jakie matki oko, tyle łez ma w sobie.“

Miał naród ziemię, dużo ziemi, jako swój skarb najdroższy. Więc kiedy chciał komu cześć najwyższą, miłość największą, powszechną okazać; przekazać jego błogosławioną pamięć najdalszym pokoleniom, dopóki stanie narodu; to sypał z tej swojej ziemi pomniki, mogiły, kopce.

W zaraniu dziejowem, kędy zaledwo baśń gminna sięga, bywało już, że naród miał kogo czcić i miłować. Około prastarego gniazda nad Wisłą, wzniósł pomniki ziemne, których nie spalił ogień, nie zabrała woda, nie zniszczyła żadna z ciężkich dziejowych przygód. Stoją te niespożyte świadki wdzięczności i czci dla założyciela Krakowa Krakusa, dla poświęcenia Wandy.

Mijały potem wieki, setki lat, bywali wielcy i zasłużeni; sławni a przecież, dziwna rzecz, już nikomu naród w całym ciągu dziejów, mogiły wielkiej nie usypał. Aż dopiero, po upadku bytu państwowego, znowu się raz w jeden ten sposób przejawiła wdzięczność narodu; poświęcił on znowu koło tego samego krakowskiego gniazda mogiłę, ku czci i pamięci Tadeusza Kościuszki.

W r. 1820 rozpoczęto sypać kopiec na górze Bronisławy pod Krakowem. Tysiące rodaków śpieszyło ze wszystkich ziem polskich, aby przynajmniej jedną taczkę ziemi własnemi rękoma zawieść na kopiec i w ten sposób dać wyraz swej czci i uwielbienia dla ukochanego Naczelnika. Pracował z zapałem lud nad zbudowaniem pomnika swego wodza w sukmanie, pracowało mieszczaństwo, pracowała szlachta i duchowieństwo.

„Wszyscy razem, wszyscy równi, zmięszano a tłumnie,
Jak przykazał duch miłości — pracują rozumnie,
Miłość wiąże i umacnia — praca idzie chyżej,
A krakowska cała ziemia woła: Wyżej, wyżej!
Niech mogiła, Bogu miła rośnie, rośnie, rośnie,
I urosła.....“

I stanął kopiec wysoki, najwyższy ze wszystkich, jakie kiedykolwiek usypały ręce ludzkie na ziemi. W trzy lata już było dzieło dokonane. Przy samych fundamentach złożono w skrzyni ziemię z pod Racławic, a wyżej ziemię z pod Maciejowic. Na szczycie zaś umieszczono bryłę granitu z prostym napisem: „Kościuszce.“

A dziś?...

Dziś mogiła ta stoi jako strażnica polskości, jako duch opiekuńczy wieśniaczego ludu, jako anioł pocieszyciel narodu zgnębionego niewolą — jako wskazówka dla przyszłych pokoleń — jako obietnica wolności, jako pomnik nieśmiertelny wielkiego i najlepszego syna Ojczyzny i bohatera, świadcząca żyjącym i przyszłym pokoleniom, że prawość, cnota, poświęcenie i miłość Ojczyzny, to największe cnoty, w których naród swego Naczelnika naśladować powinien.

Józef z nad Sanu.



Kopiec Kościuszki na górze Bronisławy pod Krakowem.

Kościuszko!!

Kościuszko! dziecinie
Matka opowiada,
Gdy z historyą Polski
Zapoznać je rada...
Kiedy chce by dzielne
Rosło w niem serduszko,
Dziecinie wciąż matka
Powtarza — Kościuszko!

Kościuszko! synowi
Ojciec przypomina,
Gdy młodzian w świat wchodzi,
Wroga znać poczyna.
Gdy chce by nie został
Niewolnictwa służką,
Synowi powtarza
Z łzą ojciec: — Kościuszko!
Kościuszko! po chatach
Lud szeptać poczyna,
Kiedy o Ojczyźnie
Duma i wspomina.
Gdy myślą ogarnie
Kraj! jak wierną strzechę
Gdy pozna swe dzieje
Lud woła: — Kościuszko!

Kościuszko! wołają
Lat dawnych wspomnienia —
A echo dat jasnych
Czoła rozpromienia.
Zwątpiałych nadzieja
Złoci jasną smużką,
Zbłąkanych podźwiga
Dźwięk słowa: — Kościuszko!

Kościuszko! To hasło
Pracy i jedności,
To przykład wytrwania
I wiernej miłości,
I nie zginie Polska
Choć wróg śmierci wróżka —
Pracować i wytrwać
Uczy nas Kościuszko!

Iskra.

Ojcze nasz...

I przyszła na synów tej ziemi trwoga wielka i ucisk srogi. Lud był znękany i pognębiony, a nie było nikogo, ktoby go podniósł, podparł i pocieszył. Wtedy oczy wszystkie zwróciły się ku szaremu dworcowi, w którym wśród ciężkiej niemocy wiódł smutny żywot Arcykapłan, a z ust wszystkich wyrwał się okrzyk niebotyczny: Ojcze pomóż! Ojcze, broń nas! Ojcze pociesz!

Na boku stali faryzeusze i wołali z drugimi i głośniej, niż inni: Pomóż, broń nas! — ale półgłosem szeptali: On nie pomoże, bo nie dba o nas! On nie zechce nas bronić, bo jest serca zajęczego! On nas nie pocieszy, bo sprzyja wrogom i ciemięzcom naszym!

A ci, co tak mówili, cieszyli się w głębi serc swoich, że Arcykapłan nie wyjdzie z zacisza i nie uderzy gromem słowa swojego w twarde serce Faraonowe, że nie ulży spragnionemu nędzarzowi słodkiem słowem pociechy, bo wtenczas każdy faryzeusz mógł zawołać: Patrz narodzie izraelski, oto Pasterz, któremu ty zaufałeś, odbieżał owce swoje.

To byli ludzie złej woli!

Lecz z drugiej strony stali mężowie świątobliwi. Ci smutnie spuściwszy głowy i założywszy ręce szeptali: Dopuszczenie Boże! Zginiemy! Arcykapłan nie pomoże, bo chory i znękany, a wróg nasz wielki jest i potężny. Nie godzi się nachodzić ustronny dworzec Arcykapłana, nie godzi się zakłócać ciszę jego świetlicy.

To byli ludzie dobrej woli, ale gołębiego serca!

A w środku była wielka rzesza ludu, który nie pytał, czy Arcykapłan zechce bronić owieczek swoich, ani się troszczył o to, czy jest dość silny, aby je obronić. Reszta wznosiła okrzyk wielki, bo mniemała, że okrzykiem spłoszyć można wroga, jak rolnik krzykiem płoszy stado gołębi, które spadło na jego zasiewy.

To ludzie niemądrzy!

Ale Arcykapłan nie pytał ani o faryzeuszów, ani o ludzi serca ptasiego, ani o tych, którym Bóg rozumu poskąpił, tylko zwlókł się z posłania, na któ-



Ojcze nasz i Zdrowaś Maryo!

rem go ciężka powaliła niemoc, ujął stary swój kostur pasterski i potężnie nim uderzył we wrota Faraonowej stolicy. A do ludu swego zawołał głosem potężnym: Patrz, oto ja jestem z Tobą, gotów duszę oddać za ciebie! Twoje bóle, to moje bóle, Twoje smutki, to moje smutki, Twoje ukochanie, to moje ukochanie! Nie bój się, Bóg ci zginąć nie pozwoli, a nieprzyjacioły Twoje skruszy i poniży. Ale zanim czerwone morze pochłonie Faraonowe zastępy, Ty, ukochany ludu mój, broń świątyń i oltarzów Twoich, broń wszystkiego, co ci dał Ojciec nasz, który jest w niebiesiech!

I ustały krzyki niemądrych! I wstąpiła otucha w serca małodusznych! I zawstydzili się faryzeusze! Wszyscy skłonili czoła przed Arcykapłanem.

Tylko wśród Faraonowych siepaczy rozległ się pomruk niezadowolenia i głośny okrzyk zgrozy! Ale te złowrogie głosy zagłuszyły pienia dziękczynne pojednanego z Arcykapłanem ludu i szmer modłów, które ku niebu wznosiła niezłamana przez okrucieństwo wrogów dziatwa:

Ale nas zbaw ode złego...

(„Gaz. Tor.") *Światopełk.*

Zdrowaś Maryo!

Zdrowaś Maryo! — Od polskich dzieci,
Do Ciebie Matko prośby głos leci;
Królowo nasza, bądź pozdrowiona,
Usłysz jęk smutny z Swych wiernych łona!...

Tyś łaski pełna! — Twe przyczynienie,
Tyle już razy niosło zbawienie
Praojcom naszym! — I dziś proszącym
Wyjednaj łaskę, ulżyj cierpiącym,..

Pan z Tobą! — Z nami bądź o Królowo —
W chwilach najcięższych.... niech nas Twe słowo
I dłoń najświętsza wspiera i chroni,
Niech wyrwie słabych z zwątpienia toni!

Błogosławionaś Ty! — niech korona,
Przez Ciebie Matko błogosławiona —
Dozna u Boga litości, łaski,
Niech jej przez Ciebie zaświecą blaski!

Między niewiasty! — O Matko droga!
Dziś, gdy przewrotu grozi pożoga,
Proś tam gorąco, niech Polki-Matki,
Darzą nasz naród dzielnemi dziatki!

Błogosławiony owoc żywota —
Maryo! otwórz wieczności wrota,
Niechaj z rąk Bożych przez Ciebie zleci,
Promyk nadziei na wierne dzieci!

Twego Jezusa! — Proś Pani nasza,
By się wzmagała pobożność lasza;
By wszyscy w pośród cierpienia swego,
Stanęli mężnie u krzyża Jego!

Święta Maryo i Matko Boża —
Spraw, by nam szczęścia zabłysła zorza;
I by świeciła promieńmi swemi,
Na krwią praojców zroszonej ziemi!

Módl się za nami! — Wstawiaj się Pani,
Gdy Cię błagają wierni poddani —
Proś miłosierdzia dla Swego ludu,
By nie upadał wśród cierpień, trudu...

Grzesznemi — dotąd dziećmi byliśmy,
Na chłostę Bożą zasłużyliśmy —
Lecz o Ucieczko, k'tobie w niebiosy,
Wznosimy żalu, poprawy głosy.

W godzinę smutku, bólu Królowo,
Proś za Macierzą — aby na nowo

Zajaśnieć mogła . . . .
. . . .

Amen! Maryo, Matuchno miła,
Niech Twej najświętszej opieki siła
Wzmocni Twą dziatwę, by silna cała,
Matkę, Królowę szczerzej kochała!

Bolesław Laurentowski,
organista.

Poniec, 14. X. 1906.

Sen.

(*Z dziejów prześladowania Unitów w Królestwie Polskiem*).

Było to w środku lata. Wracałem do domu po kilkoletnim pobycie zagranicą.

Upał był nieznośny. Lipcowe słońce zalewało gorącemi potokami światła spragnioną ziemię, powietrze stało nieruchomie, szkląc się i przelewając przezroczystą falą nad zielonemi łanami zboża. Nieduże szkapy Michała, znajomego mi gospodarza z tej samej wsi, do której właśnie dążyłem, dreptały apatycznie po piaszczystej drodze, poruszając chmury szarego dusznego kurzu, szarpiąc się w szlejach i opędzając przed natrętnemi bąkami.

Zmęczony gorącem i kilkumilową jazdą od stacyi kolejowej, kiwałem się w półśnie w takt nierównym poruszeniom wózka, budząc się co chwila przy silniejszem szarpnięciu lub przy bardziej energicznem „przemówieniu“ Michała do honoru ociężałych szkap.

Naraz uczułem, żeśmy się zupełnie zatrzymali. Otworzyłem oczy i kierując się wzrokiem woźnicy, ujrzałem gromadkę ludzi — jednego mężczyznę i cztery, czy pięć kobiet wiejskich — którzy szli wąźką drożyną między polami, krzyżującą się z naszą drogą.

Kobiety niosły przed sobą w płachtach, przewieszonych przez prawe ramię, toboły, w jakich zwykle noszą po wsiach małe dzieci, a szły widocznie bardzo spiesznie, gdyż pomimo lekkiego przyodziewku pot kroplisty spływał strugami po ich spalonych, warstwami kurzu pokrytych twarzach.

Gdy się zrównali z nami, Michał pozdrowił ich, i zapytał:

— To na całą noc idzieta?

Odpowiedzieli mu milczącem skinieniem głowy, spoglądając jednocześnie z pewnem niedowierzaniem na mnie, i nie zatrzymując się, poszli dalej.

— A daj wam Boże choć aby szczęśliwie! — krzyknął Michał.

Przeprowadzał ich długo spojrzeniem, wreszcie uchylił pokornie czapki i spojrzał w niebo, jakby chciał wyprosić dla nich powodzenia, — a z piersi jego wyrwało się ciężkie westchnienie.

— Oj, Jezu, Jezu!

Spojrzałem na niego z pewnem zdziwieniem.

Podróżni wyglądali na przemytników, których nie brak w moich rodzinnych stronach, a wiedziałem, że jako żywioł warcholski, upędzający się za łatwym zarobkiem, nie cieszyli się oni wielkim mirem u statecznych, jak Michał, gospodarzy.

Bardziej jednak dziwił mię udział w podobnej wyprawie kobiet z dziećmi, więc zapytałem Michała:

— Cóż to, teraz i z dziećmi, nie boją się chodzić po gorzałkę?

— Bogać ta po gorzałkę! — odparł — komu ta teraz gorzałka w głowie. Do chrztu niosą dzieci do Galicyi.

— Jakto? — zawołałem zdziwiony — alboż mało jest kościołów u nas, żeby z dziećmi, aż za granicę chodzić?

Michał obrócił się ku mnie na łokciu i pokiwał głową.

— E, to panicz widać i nie słyszał, co się u nas teraz dzieje. To panicz nie wie, że choć kościołów, chwalić Boga, nie brak, ale nie wszyscy mają do nich dostęp!

Patrzałem na niego coraz bardziej zdziwiony, nie mogąc wprost zrozumieć, o co mu chodzi. Jakiem już wspomniał, w domu od paru lat nie byłem, a nie słyszałem o żadnych nowych uciskach.

Michał, widząc moje zaciekawione spojrzenie, jął mówić dalej:

— Oj tak, paniczu kochany, ciężkie teraz czasy nastały dla nas biedaków, a za czyje winy? Bóg wie... Dawniej, bywało, urodzi się komu dziecko, to aby czasu nie mitrężyć, — chrzci się, gdzie bliżej — u księdza katolickiego, czy unickiego, bo to niby było wszystko jedno. A teraz wyszedł ukaz, że gdzie w jakiej rodzinie czy choćby dziadek, czy babka byli chrzceni w unickiej cerkwi, to już ta cała rodzina musi być prawosławna. — I ot, u nas w całej wsi nie ma być teraz ani jednego katolika.

Zamilkł i westchnął, a po chwili mówił dalej:

— Jeździli już od nas wszystkich chłopy w tej sprawie i do Warszawy i do Petersburga, kłaniali się, prosili, ale czy będzie z tego jaki pożytek? A tymczasem męczymy się, jak przy skonaniu. Komu się dziecko urodzi, niesie za granicę. Złapią go, zapłaci karę, a nie złapią, także zapłaci, jeżeli nie zechce chrzcić drugi raz u popa. A ktoby to chciał! niech lepiej niebożątko umrze choćby zupełnie bez chrztu — Pan Bóg miłosierny pozna tam je i tak i przyjmie do swojej chwały, boć ono niewinne. Śluby także chodzili z początku brać za granicę, boć wiadomo, chłop w gospodarstwie bez żony, to jak bez prawej ręki. Ale jak zaczęli nakładać kary, a rozpędzać takie zagraniczne małżeństwa, a mordować za to, że to niby nie pobożemu, nieślubnie z sobą żyją, tak teraz zupełnie przestali się żenić, i chłopcy i dziewuchy się starzeją i gospodarstwa idą na marne. Ale niech tam, niech tam przepadnie wszystko, ale się nie zaprzedamy, — do cerkwi nikt nie pójdzie, nikt!..

Michał mówił spokojnie, napozór nawet zanadto obojętnie, lecz pod powłoką tej obojętności czuć było wolę, taką wolę, która może prysnąć pod obuchem przemocy, lecz nigdy nie zmięknie i nigdy się nie ugnie.

— Niech się co chce dzieje!...

Urwał i opuściwszy głowę, zatopił się w ponurem milczeniu.

Ja również nie odzywałem się. Siedziałem przybity; pogrążony w smutnych myślach.

Tyle cierpienia, tyle krzywdy — i za co, Boże mój, za co?...

A Michał, otrząsnąwszy się po chwili z zadumy, znów zaczął mówić. Opowiadał, jak to ich próbują usidlić, a gdy się to nie udaje, jak przemocą chcą zapędzić do cerkwi, jak się znęcają i obdzierają za opór.

— Ja sam, paniczku — kończył opowiadanie — już tego roku zapłaciłem więcej jak sto rubli samych kar. A wiele jeszcze wziął pop, za to, że miał nas niby to przerobić na katolików!...

Tymczasem powoli zaczęłśmy się zbliżać do celu podróży. Słońce chyliło się już ku zachodowi, kryjąc za lasami zapłonione oblicze, konie raźniej parskały, czując niedaleki żłób i wypoczynek.

Do folwarku, gdzie mieszkała moja matka, trzeba było jechać przez wieś. Gdyśmy byli już przy końcu wsi, Michał spojrzał na mnie znacząco i wskazał batem w kierunku chaty, koło której przechadzała się godna kompania: pop i dwóch strażników.

— Widzi panicz, jak węszą kruki te! Niech jeno kto we wsi zachoruje, to już tak będą chodzić, a pilnować, żeby czasem nieboszczyk nie został pochowany na katolickim cmentarzu. — A czasem to nawet i ze świętej ziemi

wydrą, nie uszanują wiecznego spokoju.

Przyjechałem do domu, lecz całą radość spotkania po tak długiem niewidzeniu zatruwał mi nawał smutnych myśli, zbudzonych tem wszystkiem, com usłyszał. Przed oczami stawał mi ciągle obraz tej nowej rodzącej się walki, poczynającej głucho wrzeć i nurtować, walki, w której na widownię miały wystąpić rdzenne siły narodu. Z jednej strony niekrępująca się żadnemi względami podłość, brutalna przemoc, chęć dzikiej zemsty; z drugiej wytrwały niecofający się przed ofiarami, upór, budząca się świadomość.

Kto zwycięży?...

Byłem znużony ogromnie, ale zasnąć nie mogłem, głowa pałała mi gorączką. Wymknąłem się po cichu do ogrodu, wsparłem się na okalający go parkan i puściłem wodze wirującym w szalonym pędzie myślom.

Noc była cudowna. Blade, łagodne światło księżyca wypełniało całą okolicę, cieniując miękkiemi tonami i nadając znanym przedmiotom jakieś nieznane fantastyczne kształty. Ziemia, zdało się, wypoczywała po całodziennym znoju, spowita w przezroczystą tkaninę lekkiej mgły i balsamicznej woni pól i łąk i za każdym głębokim, jak morze, oddechem słała mi dziwne ukojenie i chłodziła moją rozpaloną głowę.

Tuż przedemną była niewielka łączka, zasnuta, jak pajęczyną, tumanem ciepłych, wilgotnych oparów, słaniających się jak widma w lekkim powłóczystym tańcu; nieco dalej niewielki drewniany kościółek, a jeszcze dalej, na wzgórku, cmentarz, cały skąpany w blaskach księżycowych, spokojny, jaśniejący drewnianemi krzyżami.

Wieczny odpoczynek!...

Pośród tych krzyżów poznałem jeden, drogi dla mego serca. To był krzyż mego ojca, zamordowanego kozackiemi nahajkami podczas powstania. Wpatrzyłem się w ten krzyż całą duszą i łzy gorzkie, jak chleb żebraczy, a ciężkie, jak niewola, toczyły się mi po twarzy. Lecz to były moje ostatnie łzy...

Nie wiem, jak długo przebyłem w takim stanie półświadomości, gdy naraz otrzeźwił mnie hałas i krzyki w stronie cmentarza. Przekleństwa mieszały się z krzykami bólu i żałosnem zawodzeniem.

Porwałem się z miejsca, w jednej chwili przebyłem przestrzeń, dzielącą mnie od cmentarza i oto jaki widok uderzył moje oczy. Dwaj strażnicy, kopiąc i popychając, pędzili przed sobą gromadkę ludzi: drżącą kobietę i dwóch młodych parobków.

Biedacy opierali się płacząc i oglądając z rozpaczą w stronę muru cmentarnego, przy którym odgrywała się scena, przypominająca coś z krwawych dziejów inkwizycyi.

Tam stał pop, sam starzec nad grobem z rozwianym siwym włosem, lecz ze wzrokiem pałającym fanatyzmem i dziką zemstą, i kierował kilkoma innymi strażnikami, którzy układali na wóz trumnę.

Okazało się, że pędzeni ludzie byli to dwaj synowie i żona zmarłego. Udało im się zmylić na chwilę trop czujnego moskiewskiego duszpasterza, węszącego zaciekle, by jak sęp pochwycić w swoje szpony ofiarę choćby na progu śmierci, wynieśli cichaczem drogie zwłoki pod ochroną nocy i oto, gdy już byli prawie u celu, gdy pozostawało tylko przedźwignąć trumnę przez ogrodzenie cmentarne, — przyłapano ich. Zaczęło się szarpanie, wyrywanie trupa z rąk rodziny...

W tem szamotaniu się trumna spadła na ziemię, słabo przytwierdzone wieko oderwało się z jednej strony i wysunęła się z trumny ręka nieboszczyka, czarna, skostniała, pełna niemej zgrozy.

Widziałem, jak strażnik spiesząc się i drżąc na całem ciele, przemocą tłoczył tę rękę pod wieko. Bał się...

Stałem bez ruchu, jakby przykuty do miejsca, przejęty zgrozą, dławiąc się w bezsilnej wściekłości. Smutna procesya dawno już znikła z moich oczu, a ja wciąż jeszcze patrzałem jej w ślad, dysząc ciężko, zaciskając kurczowo pięści.

Och, gdyby wzrokiem można było zabijać!...

Bezwiednie przedostałem się na cmentarz, dowlokłem się do ojcowskiego krzyża i padłem złamany u jego stóp. Nie pamiętam, jak długo przeleżałem tam z szeroko rozwartemi źrenicami, wpatrzony w straszne obrazy stuletniej niewoli, aż fale wzburzonych uczuć opadać zaczęły stopniowo, coraz ciszej jątrząc się i szemrząc, aż myśl zamgliła się, obezwładniała...

Czułem tylko, że jakaś przejmująco zimna, czarna jak noc, próżnia wypełnia głowę i ciężar ogromny przygniata mi pierś. Czułem jak w niezmąconej ciszy wkoło mnie budzą się jakieś dziwne szmery, rosną, przechodzą w szum, dzwonią mi w uszach bezdźwięcznymi głosy, zatapiają, unoszą na falach... Świadomość rozpływała się jak senne marzenia we mgle niepamięci, przestawałem zwolna istnieć dla samego siebie...

I naraz ujrzałem się zawieszonym w jakiejś bezbrzeżnej, pustej, czarnej przestrzeni, po przez którą daleko, daleko, ledwie okiem dojrzeć, dniało niewyraźne światło bladej jutrzenki.

Tam, do tego światła rwały się z tęsknotą wszystkie moje nerwy. Dążyłem do niego całą siłą pragnienia, wydobywałem się, znów zapadałem w pomrokę, aż nareszcie po długiej wyczerpującej walce w całym blasku zajaśniało mi światło dzienne, znalazłem się na stałym gruncie.

Przedemną ciągnęła się przestrzeń ogromna, smutna, zmartwiała, bez znaku życia. I widziałem jak na tej przestrzeni zaczynają tu i owdzie wykwitać malutkie purpurowe strumyki, jak ich przybywa coraz więcej, więcej, jak napełniają martwą ciszę głosami, jakby cichej, na trwogę bijącej pobudki. Niebo zarumieniło się krwawym odblaskiem, strumienie wciąż rosły, olbrzymiały, zamieniały się w potoki krwi, kłębiące się w głuchem wrzeniu i bryzgające purpurową pianą, aż cała okolica, hen gdzie okiem sięgnąć, została zatopioną.

Wtem z pośród krwawej powodzi zaczęła się zwolna wyłaniać czarna, zapracowana, zesztywniała ręka z wyschłemi, kurczowo zagiętemi palcami, jakby te palce chciały coś uchwycić.

Poznałem ją...

Ręka wydłużała się, rosła, przeciągała się nad całemi krajami w stronę północy, a gdzie tylko padł na ziemię jej cień, wszystko pierzchało w dzikim bezładnym popłochu.

I widziałem, jak na czele pierzchającej w śmiertelnej trwodze tłuszczy, najszybciej uciekał jakiś człowiek.

Od szybkiego biegu poły jego szkarłatnego płaszcza fruwały, jak skrzydła nietoperza, nalane krwią oczy miotały wejrzenia pełne dzikiej, rozpaczącej trwogi, zimny kroplisty pot spływał po wybladłem czole, po wykrzywionej kurczowo twarzy. Pędził bez wytchnienia w stronę wschodu, z siłą rozpaczy, przytrzymując na skroniach coś błyszczącego, a gdzie tylko oparł stopę, jęk głuchy i ciężki, jak potępieńców, rozlegał się pod ziemią i żywa krew tryskała, obryzgując go strumieniem, pod którym wstrząsał się, jakby to był roztopiony ołów.

Naraz — zaszumiało w górze tysiącami skrzydeł i nad głową uciekającego zawisła czarna, zesztywniała ręka, gotowa rzucić się, jak sęp na swą zdobycz. Cisza grobowa oblegała ziemię, tłumy stanęły w niemem oczekiwaniu. Uciekający spojrzał, opuścił bezradnie głowę i kolana się pod nim ugięły.

A zdaleka, zza gór i lasów, pośród ogólnej ciszy dał się słyszeć głos, zrazu niewyraźny, głuchy, potem coraz bliższy, potężniejszy, napełniał całą ziemię, grzmotem się toczył po stropie

niebieskim, aż piorunem obił się o uszy zdrętwiałej, drżącej jak liść osikowy, postaci w purpurze.

Oddaj „boś ją ukradł i splamił, synu Wasylowy!“

Otworzyłem oczy. Dokoła szumiały drzewa cmentarne — w górze jaśniało niebo. Różowe promienie wschodzącego słońca mieniły się złotem i purpurą na słomianych strzechach, widniejących w dole i zaglądały wesołem światłem w okna chat, jakby budząc uśpiony lud do życia, pracy....

Wśród ptasich gniazd.

Nie wszyscy mogą obcować z naturą, nie dla wszystkich otwartą jest jej księga, nie wszyscy wreszcie umieją w niej czytać.

A księga natury opowiada cuda. Warto, po stokroć warto zapoznać się z treścią jej kart pięknych, pełnych głębokich myśli, czarów nieznanych, dziwów takich, o jakich się bajkopisom nie śni, a jednak prawdziwych, tych, jakie nam Stwórca w twory swoje zaklął.

Pragnęlibyśmy przed wszystkimi księgę natury otworzyć, dla wszystkich skarby jej dostępnymi uczynić.

Nie starczyłoby jednak nam czasu, ani miejsca.

Więc z olbrzymiego tomu księgi natury wybieramy jedną stronnicę, pragniemy zaprowadzić was, czytelnicy, do jednego chociaż tylko zakątka wspaniałej świątyni natury.

Chcemy mianowicie pomówić na tem miejscu dzisiaj o gniazdach ptasich, pragniemy odbyć wędrówkę śród gniazd ptasich.

Gniazda są to mieszkania budowane przez zwierzęta, głównie dla pieczy młodego potomstwa, a po części także dla ochrony od nieprzyjaciół lub na stałe schronisko. Gniazda napotykamy u owadów, ryb, ptaków i zwierząt ssących.

Nie będąc w możności poświęcać zbyt wiele miejsca na tę pogawędkę o gniazdach ptasich, nie zatrzymujemy się dłużej na gniazdach motyli, mrówek, które budują gniazda zbiorowe, pszczół i os, których budynki odznaczają się niezwykle misterną budową. Gniazda własne budują też pająki.

Rybie gniazda także istnieją, chociaż tylko pewna część ryb zajmuje się ich budową.

Zwierzęta ssące również mają gniazda.



Gniazdo krawczyka.

Co się tyczy gniazd ptasich, to budowanie ich jest śród ptastwa tak szeroko rozpowszechnione, iż przywykliśmy je uważać jako stałą cechę całej gromady. Gniazda ptasie tem różnią się od gniazd owadów i ssących, iż przeważnie służą do pielęgnowania piskląt i rzadko kiedy używane bywają jako schronisko.



Gniazdo pokrzewki ogrodowej.

Oczywiście różne gatunki ptaków odznaczają się niejednakową zręcznością i starannością w budowaniu gniazd, żaden przecież ptak nie składa w gnieździe jaj bez należytego przygotowania na nie miejsca.



Gniazdo Szapu.

W kolejnym rzucie oka w naszej wędrówce po lasach i polach, zatrzymamy się nad możliwie znaczną ilością gniazd ptasich, pragnąc zapoznać czytelników z życiem ich, życiem odrębnem, tętniącem szybkim pulsem, a ciekawem i pouczającem.

Obcowanie z naturą nietylko kształci, ale pono i uszlachetnia; pragniemy zatem dlatego nawiązać nić między czytelnikami i tajemnicami przyrody, artykuł dzisiejszy chcemy uważać za pewne ogniwo, w łańcuchu wrażeń pożytecznych i przyjemnych, które, mamy nadzieję, będą udziałem naszych czytelników.

Życie, zwyczaje i obyczaje ptaków stanowią tę sferę, gdzie znajdujemy najliczniejsze przykłady miłości macierzyńskiej u zwierząt. Miłość ta występuje w całej swej dobroci pierwotnej, bez złych uczuć, bez niecierpliwości lub gniewu.

Już przedewszystkiem dowodzi wysokiego rozwoju miłości macierzyńskiej u zwierząt. Miłość ta występuje w całej swej dobroci pierwotnej, bez złych uczuć, bez niecierpliwości lub gniewu.

Już przedewszystkiem dowodzi wysokiego rozwoju miłości macierzyńskiej u ptaków ta okoliczność, że przeważnie matka sama wybiera miejsce na gniazdo, przygotowując również osobiście odpowiednie materyały.

Matka buduje te budowle napowietrzne, różnorodne pod względem zarysu i stylu, które zajmują, a niekiedy wprost porywają oko i umysł człowieka.

Oddawno już dostrzeżono wyższość miłości macierzyńskiej u ptaków. Delachabre, autor ciekawego dziełka w tej materyi pisze: Co się tyczy czworonogów, to, jest śród nich wielu, którzy czują wielką miłość dla swego potomstwa, ale nie można porównywać tej miłości z miłością ptaków.

Chodźmy teraz między te gniazda i gniazdka, mniej lub więcej misterne budowle skrzydlatych budowniczych i przejrzyjmy kolejno objawy miłości macierzyńskiej w budowie gniazda, w wysiadywaniu gniazd i w pielęgnowaniu piskląt.

Znajdziemy tam wiele rzeczy nader ciekawych, a niekiedy nawet i piękny przykład dla siebie.

Gniazdo dla ptaka nie jest tylko piękną kołyską dla zadowolenia próżności macierzyńskiej. Jest ono najczęściej dziełem sztuki, wykonanem sercem, duszą, miłością, jest ono celem ostatecznych dążeń i czułej troski o potomstwo.

My, spodziewając się potomstwa, kupujemy kołyskę gotową i co najwyżej ozdobimy ją jakiemś pokryciem.

Ptak, przeciwnie, sam buduje gniazdo w całości. Kochać, zapewnić istnienie potomstwu, zgotować mu kolyskę z mchu i puchu, pośród woni leśnej, w cieniu, w ciszy, słyszeć pierwszy świegot piskląt, zaspakajać ich pewne potrzeby, z pełnem sercem wzruszeń obawiać się najmniejszego szelestu, obejmować okiem maleństwa, jak poprzednio ogrzewało je ciało — oto wrażenia nadzwyczajne, które owładają ptakiem przy budowie gniazda.

Tymczasem do budowy gniazda ptak jest jaknajgorzej przygotowany. Michelet mówi: Narzędziem budowy jest same ciało ptaka, jego pierś, która naciska i gniecie materyały, a dopóki nie staną się dlań podatnemi, dopóty nie złączy ich i nie przysposobi do głównego celu.

Jeśli przyjmiemy twierdzenie Buffona, że styl — to człowiek, musimy w danym razie powiedzieć, że w świecie skrzydlatym gniazdo jest ptakiem. Istotnie zależnie od budowy nóg i dzióba, gniazdo jest zbudowane mniej lub więcej artystycznie. Ptaki błotne, o nogach bardziej płaskich, nigdy nie mogą zbudować takiego gniazda, jak mieszkańcy lasów. Trudno rzeczywiście żądać, aby za pomocą swoich nóg wiosłowatych, ptaki te mogły się czepiać gałęzi, chwytać i budować. Odpowiednio do nóg, ukształcony jest także dziób; brak mu delikatnego kształtu, jak u ptaków owadożerczych. Dziób taki nie jest przygotowany do obracania delikatnych materyałów i do układania ich z pewną sztuką. Sięgając po porównanie do sfery ludzkiej znowu będziemy mogli powiedzieć, że ptak błotny jest murarzem raczej, niż snycerzem.

Po szeregu tych dorywczych, niesystematycznych uwag, przechodzimy do opisu gniazd poszczególnych, poświęcając specyalny ustęp każdej grupie przedstawicieli skrzydlatego państwa.

* * *

Któż z nas, będąc na wsi nie znalazł się kiedyś nad brzegiem stawu lub błotniska?

Każdy zauważył niechybnie, że na tej przestrzeni wody mniej lub więcej czystej, przy pozornym spokoju i ciszy, wre życie takie niemal same, jak na innych obszarach tej ziemi, zarojonej wszelkiego rodzaju żyjącemi istotami.

Brodząc nad brzegiem takiego ustronia, można zauważyć małe pagórki w formie owalnej, wzniesione nad powierzchnią gruntu i ukryte w trzcinie, która tworzy sklepienie nad gniazdem.

Jeżeli baczniej obserwowaliście takie gniazdo, mogliście zbadać, że pływają one na powierzchni stawu i są prawie zupełnie ukryte w zaroślach trzciny.

Gdybyście się zajęli badaniem szczegółowem tego pływającego domostwa, zauważylibyście szczegół, nienapotykany gdzieindziej. Przy wejściu, mianowicie, znajdziecie tam pasek lśniącej trzciny, leżący między gniazdem i wodą i służący za schody dla samicy, gdy powraca z wyprawy wodnej do legowiska.



Gniazdo królika.

Samo gniazdo opiera się zwykle na zgiętych gałązkach sitowia lub bywa wzniesione między łodygami i dotyka powierzchni wody.

Opisane tutaj gniazdo jest typowem gniazdem kurki wodnej t. zw. w ornitologii galinula chloropus.

Patrząc na nie, trudno doprawdy uwierzyć, że ten wątły ptak mógł się zdobyć na podobną budowlę. Dla ścisłości nadmienić należy, że przy budowie gniazda kurki nader pilnie pracują dwie matki i samice.

Rzadko u nas spotkać się można z gniazdem fleminga, czyli, czerwonaka, zwanego przez ornitologów phoenicopterus rosens, pragnę jednak wspomnieć o niem na tem miejscu, gdyż odznacza się ono dużą oryginalnością budowy. Ptak ten posiada bardzo długie nogi, co znacznie utrudnia samicy wysiadywanie jaj. Dowcip tak bagatelizowanego przez rodzaj ludzki „ptasiego mózgu'' wysila się tu na pomysł wielce dowcipny. Fleming buduje gniazdo w postaci glinianego stożka z wgłębieniem u wierzchołka. Na tem wgłębieniu ptak składa jajka i wysiaduje w postaci osoby, siedzącej na koniu, z nogami spuszczonemi do [illegible]



Gniazdo kurki wodnej.

A zauważyć trzeba, że ptaki brodzące uważane być muszą za pewnego rodzaju okazy próbne i upośledzone pod względem fizycznym i moralnym. Zmysł nader ograniczony, uczuciowość rozwinięta słabo, rzadko śpiewają, miłość bardzo podrzędne w ich życiu zajmuje miejsce.

Niekształtne ptaki, z długim dziobem, z głową na długiej szyi, ciężko zajęte codziennem zdobywaniem żywności, nie posiadają ani czasu, ani talentu, ani narzędzi po temu, aby budować gniazda misterne, piękne.

Jeśli w tych warunkach kurka wodna i czerwonak zdobywają się na gniazda, które budzą w nas zastanowienie bądź dokładnością wykończenia, bądź pomysłowością, zastosowaną do indywidualnych potrzeb — musimy uznać duży nakład pracy i przejęcia się swemi obowiązkami u brodzących.

(Dokończenie nastąpi).

Niedawno zaginione zwierzę.

Krowa morska.

W miarę jak człowiek rozciąga swe panowanie nad ziemią i coraz gęściej zaludnia ją, wiele zwierząt ustępuje przed nim i potrochu znika z widowni. Wilk w Europie wkrótce pozostanie wspomnieniem, lew cofa się w głąb Afryki przed doskonale uzbrojonym strzelcem, tygrys będzie należał do przeszłości, kiedy padną wielkie lasy Indyi. Lecz chociaż byłoby pożądanem przynajmniej dla ciekawości pozostawić przy życiu pewną ilość tych zwierząt, wszakże da się usprawiedliwić tępienie drapieżników. Ale postać rzeczy zmienia się zupełnie, kiedy wyobrazimy sobie, że człowiek tępi bezmyślnie, dla nagannej przyjemności czy zbytku gatunki nieszkodliwe i nawet pożyteczne. Do zagrożonych stworzeń należą wielkie ssące morskie: wieloryby, foki, morsy i t. p. W połowie wieku ośmnastego znikło zupełnie zwierzę, pokrewne wielorybom, tak zwana krowa morska (Rhytina bo-

realis). Obecnie znamy ją jedynie z czterech szkieletów zachowanych po muzeach i z opisu przyrodnika Stellera. Krowa morska dochodziła długości 8 metrów, miała szyję krótką, nozdrza dość szerokie, w tył odsunięte, oczy małe, otwór uszny prawie niedostrzegalny, bezzębny pysk, pokryty grubemi szczecinami, pletwowate kończyny na przodzie i ogon wielorybi na końcu ciała. Zdolna była wolno pełzać po lądzie, karmiła się trawą podwodną.



Krowa morska.

Steller podaje takie szczegóły o obyczajach krowy morskiej: „Zwierzęta te żyją w morzu, zbierając się w stada, podobnie jak woły. Samiec i samica znajdują się blizko siebie, małe bawią się przed nimi przy brzegu. Poza odżywianiem się nic je nie obchodzi. Grzbiet i połowę ciała trzymają ciągle nad powierzchnią wody. Podobnie jak roślinożerne lądowe, jedzą, posuwając się wolno, przy pomocy nóg przednich odrywają trawę od kamieni, na których rośnie, i żują bezustanku. Jednakże budowa żołądka ich wskazała mi, że nie przeżuwają one powtórnie, jak sądziłem poprzednie. Jedząc, poruszają głową i szyją, zupełnie jak woły. Co jakiś czas wystawiają głowę z wody i głośno, niby konie, zaczerpują powietrza. Kiedy woda obniża się, oddalają się od ziemi, kiedy się podnosi, wracają do brzegu, przytem tak blizko, że dosięgamy je kijami z lądu. Ludzi nie obawiają się wcale...

Jedne względem drugich okazują wielkie przywiązanie. Kiedy jedno z nich zostało zranione, inne usiłowały ratować je. Te otaczały kołem towarzysza, ażeby nie dopuścić zaciągnięcia go na brzeg, tamte starały się przewrócić naszą łódkę, inne wreszcie kładły się na bok, usiłując wyrwać mu z boku harpun, co im się nieraz udało. Z podziwem ujrzeliśmy, jak samiec po dwóch dniach wraca do trupa swej samicy, jak gdyby chciał sprawdzić jej śmierć. Chociaż zabijaliśmy i ranili bardzo wiele z nich, przebywały one ciągle w jednem miejscu. Chcąc odpocząć, zwierzę to kładzie się na wodzie, która je unosi jak kawał drzewa''.

Steller ze swoimi towarzyszami w ciągu kilku miesięcy roku 1741 na małej wysepce morza Berynga żywił się mięsem krów morskich. Zarówno mięso, jak tłuszcz i mleko ich uważa za smaczniejsze od tych, których dostarczają woły i krowy prawdziwe. W dwadzieścia kilka lat później wielorybnicy zabili ostatnią krowę morską, a potem znajdowano gdzieniegdzie ledwie części szkieletu tego zwierzęcia.

Rzemiosła i przemysł w Japonii.

Wyroby przemysłu artystycznego w Japonii wywoływały i wywołują zawsze podziw w Europie. W przecudny sposób łączy się w nich dokładne, pracowite wykonanie z głębokim poczuciem piękna, a wprost niedoścignioną jest doskonałość niektórych materyałów, takich np. jak jedwab, papier i lakier. Rękodzielnik i artysta łączą się tu w jednej osobie, sztuka podaje rękę rzemiosłu, podobnie, jak to było w XV i XVI wieku w Europie. To też i forma przemysłu japońskiego jest jeszcze po dziś dzień jak ongi w całej Europie, rękodzielem, przemysłem domowym i drobnym, utrzymującym się i dziedzicznym przez całe pokolenia w jednych i tych samych rodzinach. I chociaż rozwój cywilizacyjny wprowadził już dla wielu wyrobów zakłady fabryczne na wzór europejski — przewaga produkcyi przemysłowej jest zawsze jeszcze po stronie drobnego przemysłu i pracowitych rękodzielników.

Głównem siedliskiem przemysłu japońskiego jest obecnie Osaka, drugie miasto po stolicy, liczące około 752 000 mieszkańców, a położone nad ujściem rzeki Yodagawa, niedaleko znanego miasta portowego Kobe.

Na rzece roi się od małych parowców, szkut ciężarowych i lekkich czółen przewozowych, zwanych „sampanami'', a po brzegach wznoszą się piętrowe domy drewniane, wsparte swemi werandami na pilotach w wodzie, zdobne kwiatami, kolorowemi lampionami i flagami. Wszędzie, w domu, na werandach, na ulicach, mostach i na rzece wre ciągły ruch. Nie ma tu prawie Europejczyków, bo ci koncentrują się w porcie Kobe; — wszystko co widać, to sami Japończycy w swoich charakterystycznych narodowych strojach.

Lecz nigdzie ponad rzeką i w środku miasta nie widać kominów fabrycznych, nie czuć dymu węglowego, zapełniającego fabryczne miasta Europy, nie widać ładownych bryk i tylko dwukołowe kurumy, zaprzężone w pół nagiego kulisa, uwijają się wśród tłumu pieszych. Ruch osobowy i towarowy po licznych kanałach i ulicach przecinających miasto aż ku stokowi góry, na którym się piętrzy starożytna forteca japońska, jest bardzo znaczny. Około 162 tysiące rodzin zajętych jest tutaj rozlicznemi rodzajami przemysłu japońskiego i po ulicach, kram koło kramu wystawia je na sprzedaż.

Kto chce poznać przemysł japoński, musi w tem szczerze japońskiem mieście przejść przez szeregi warsztatów i kramów.

W małych, nizkich, lecz na obie strony otwartych, a więc przewiewnych warsztatach pracują tu od rana do nocy całe rodziny, rzadko kiedy z przybraniem jednego, lub kilku obcych czeladników. Pracują w porze letniej do pasa obnażeni, pracują rękami, a nie rzadko i nogami. Tu przełupują bambus na cienkie, elastyczne patyczki, oblepiają papierem, malują, wytwarzając milionami najzwyklejszy wytwór przemysłu japońskiego, wachlarz, którego w całym świecie pełno. Tam wyplatają delikatne, wzorzyste i tak chętnie rozkupywane maty japońskie. Tu zaś tkają na ręcznych krosnach cudne adamaszki z jedwabiu,

złotem przerabiane brokaty i wykonują na nich jeszcze cudniejsze hafty. Ówdzie sporządzają japońskie parasole z bambusu i papieru — przygotowują barwy indygowe do barwienia tkanin, rzeźbią i składają zmyślne zabawki dla dzieci. Przedziwne drobia-



Wachlarz japoński.

zgi artystyczne z bronzu i innych stopów metalowych, z kości słoniowej, z porcelany, błyszczącej cudownym połyskiem — naczynia porcelanowe, zdobione wykwintnie motywami z przyrody, tak trafnie podpatrzonej i oddanej, a uderzające siłą i harmonią barw, nareszcie te cudne szkatułki, skrzynki, talerzyki i mebelki, powlekane laką, jakiej nie masz gdzieindziej na świecie —to wszystko robi się tutaj. Gotowy wyrób, naładowany na szkuty i dżonki, płynie do pobliskiego Kobe, a ztamtąd idzie na cały świat jako osobliwość, której o kupca nie trudno.

Nerwy.

(Pogadanka).

I.

Całe nasze szczęście, powiada znakomity profesor Krafft-Ebing, zależy od prawidłowego działania systemu nerwowego. Cały postęp duchowy opiera się na materyalnym podkładzie, który w postaci stosunkowo cienkiej warstwy najdoskonalszej materyi organicznej otacza białą substancyę mózgu i nosi nazwę istoty szarej lub barwnej.

Mikroskopijne komórki nerwowe, których ilość w korze mózgowej jednego człowieka dochodzi 500 milionów, stanowią dźwignię pracy umysłowej. Lecz w jaki sposób z ich działalności powstają czucia, myśli i czyny, dotychczas nauka żadną miarą objaśnić nie umie, i kto wie, czy umysłowi ludzkiemu uda się kiedykolwiek zgłębić tę największą tajemnicę stworzenia.

Uzbrojone najsilniejszym mikroskopem oko badacza nie jest w stanie odnaleźć różnicy nawet w kształcie komórek myślowych w mózgu geniusza lub idyoty.

Mózg ludzki, a tem samem i jego kora, są bogato uposażone w krew, tę ogólną karmicielkę ciała. Ze składowych części krwi formują się w komórkach złożone substancye chemiczne, tworząc kapitał ukrytej energii. Pod wpływem najrozmaitszych zewnętrznych i wewnętrznych pobudek martwy kapitał energii przekształca się w żywą siłę, która się objawia w postaci ruchu myśli, wrażeń, wyobraźni, pojęć i t. d. Zużyte produkty wymiany materyi w tej chemicznej pracowni myślenia zostają odprowadzane siecią rozgałęzionych kanałów, otaczających naczynia krwionośne i komórki zmysłowe mózgu. Kapitał duchowy, ta podstawa ludzkiej pracy i wrażeń, nie został jednakowo pomiędzy wszystkich rozdzielony. Jedni otrzymali zasób jego bogaty, drudzy szczupły. Ale dla wszystkich jest on jednak drogim. Należy go strzedz, należy pielęgnować i uprawiać umiejętnie. Siła umysłu, dzielność i zasobność inteligencyi, toć to najwyższy skarb, jakim człowieka obdarowała Opatrzność. Przeto zachowanie i zużytkowanie energii nerwowej jest kwestyą niezmiernie wielkiego znaczenia. Dwa są zasadnicze warunki zachowania siły nerwowej:

1. Dostateczne odżywianie systematu nerwowego.

2. Prawidłowy stosunek między zapasem i wydatkowaniem siły nerwowej.

Wszystkie składowe części naszego ciała, wszystkie jego narządy, a tem samem mózg, mlecz pacierzowy i cały system nerwowy, odżywia zdrowa krew. Krew zaś, aby się wyrobiła prawidłowo, potrzebuje dobrego pokarmu i czystego powietrza.

To są kardynalne podstawy nauki o zachowaniu zdrowia, do tego celu dążą usiłowania hygienistów i urządzenia państwowe.

Że dobry pokarm jest warunkiem zdrowia, o tem wie każdy, choć nie zdaje sobie dokładnie sprawy, co właściwie przez dobry pokarm rozumieć należy. Co się zaś tyczy powietrza, jeszcze luźniejsze i mniej ścisłe panują pojęcia.

Tlen, zawarty w powietrzu, posiada największe znaczenie we wszystkich procesach wymiany materyi, czyste zaś powietrze jest o wiele ważniejszem dla zachowania zdrowia, niż jakość pożywienia.

Życie możemy podtrzymywać rozmaitemi środkami odżywczemi, zaś bez powietrza możemy się obejść zaledwie kilka sekund. Oddychając złem powietrzem przez czas dłuższy, ulegamy chorobom, tracimy siły żywotne, a proletaryat miast większych, robotnicy fabryczni, urzędnicy biurowi, dają tego przykład aż nadto widomy. Nawet nieznaczne zanieczyszczenie powietrza powoduje zaburzenie w prawidłowych czynnościach mózgu. Przebywanie w źle przewietrzanych pokojach i salach szkolnych sprawia ból i zawrót głowy, otępienie umysłowych zdolności. Drożyzna mieszkań, zmuszająca ludzi do tłoczenia się w ciasnych izbach, powoduje charłactwo i liczne cierpienia. Niekrwistość, skrofuły, gruźlica, angielska choroba, to dziatwa nędzy i złych pomieszkań.

Rodzaj odżywiania stosować się musi do rodzaju pracy.

Praca umysłowa wymaga daleko większego natężenia mózgu, niż zwyczajna praca mechaniczna. Dzisiejsze warunki społeczne pod względem racyonalnego odżywiania wiele pozostawiają do życzenia.

Drożyzna mięsa i wogóle wszystkich artykułów spożywczych w miastach wielkich powoduje niadostateczne odżywianie, zwlaszcza wśród uboższych klas pracujących. Robotnik wogóle za mało spożywa mięsa. Mógłby kto zarzut zrobić, że wieśniacy, spożywając stosunkowo mało mięsa, cieszą się dobrym wyglądem i zdrowiem. Odpowiemy na to, że praca rolna jest lżejsza od fabrycznej pracy i mniej wyczerpuje siły. Prócz tego wieśniak pracuje i przebywa ciągle na świeżem powietrzu — a brak mięsa wynagradza sobie mlekiem, chlebem, serem, masłem, dużą ilością jarzyn pożywnych.

Człowiek nowożytnej kultury nie może obejść się bez mięsa i tłuszczu. Białko i tłuszcz to rzecz bardzo ważna dla systemu nerwowego. Wiedzą o tem dobrze lekarze i dlatego osoby nerwowe starają się wedle odpowiedniego systemu odżywiać forsownie, a powszechnie znany tran leczniczy jest również dobrym środkiem dla chorób nerwowych, jak piersiowych.

Alkohol, kawa i herbata toć rzeczy, do jakich chętnie zwraca się dzisiej-

szy biały niewolnik cywilizacyi. Są to środki pobudzające, przyjemne dla smaku i dla nerwów przyjemne. Przy dostatecznem odżywianiu, używane umiarkowanie, pobudzają system nerwowy, ale nadużycie i przyjmowanie w czasie niewłaściwym szkodę wielką nerwom przynoszą. Zwłaszcza nadużycia alkoholu fatalne powodują skutki. Do zachowania zdrowia i umysłowej energii potrzeba po pracy należytego wypoczynku.

Ten wypoczynek daje sen.

Gdyby praca naszego mózgu ograniczała się tylko przyjmowaniem wrażeń ze świata zewnętrznego, nie moglibyśmy jej podołać, gdyby sen nie przerywał od czasu do czasu wszelkiej łączności z życiem. A cóż dopiero mówić, jeśli ta praca jest natężoną i forsowną. Któż z nas nie doznawał, jak przykrą jest bezsenność, kto nie doświadczył jej szkodliwego wpływu na ciało, umysł, zdolność do pracy.

Podczas snu wydatek siły nerwowej schodzi do najmniejszego rozmiaru, ciągłe zaś czynności chemiczne, odbywające się w komórkach mózgowych, gromadzą nowy zapas energii w pracowniach życia umysłowego.

Sen przeto, to zmniejszenie rozchodów, a gromadzenie kapitału w ogólnym bilansie życia. Źle czyni ten, co dobroczynne działanie snu lekceważy. Dąży on do fizycznego i umysłowego bankructwa, postępuje, jak lekkomyślny marnotrawca, wydając więcej, aniżeli pozwalają dochody.

Najpierwszem zjawiskiem złego wpływu, jaki wywiera nieposzanowanie zasad hygieny i nieprawidłowe odżywianie, są zaburzenia w sferze snu, a mianowicie niespokojność, trudne zasypianie, częste budzenie się, przykre marzenia.

Człowiek zdrowy po śnie, co daje wypoczynek i orzeźwia, zabiera się zrazu z energią do codziennej pracy. Czuje się do niej najlepiej usposobionym, robota idzie szybko i łatwo.

Człowiek chory na nerwy budzi się ociężałym, leniwym, niezdolnym i nieusposobionym do pracy.

Umysł jego, to jak rozluźniona cięciwa łuku, głowa ciężka, myśl mętna, cały organizm rozłamany. Co usposabia do tak przykrego stanu, jakie przyczyny składają się na wywołanie nerwowych chorób, zobaczymy w następnej pogadance.

Dr. G. D.

Pożyteczne rady dla utrzymania zdrowia.

Powietrze jest jednym z najniezbędniejszych środków spożywczych, którego zjadamy stosunkowo najwięcej. Obliczono, że w przecięciu spotrzebujemy co godzinę 300—360 litrów powietrza. Dla tego to powiada jeden z najsłynniejszych lekarzy nowoczesnych do społeczności, żyjącej w ciągłej grozie przed zarazami i chorobami: „Czem zawiniłeś, tem będziesz skarany!“ i żąda czystego powietrza; nieczyste powietrze jest grzechem naprzeciw przyrodzie, a ten grzech wymaga ofiary.

Jeśli pragniesz w pokoju świeżego powietrza, otwórz nie dolną, ale górną część okien. Niech ci nie chodzi o to, że musisz wyprężyć trochę figurę przy otwieraniu, za to będziesz miał w pokoju prawdziwie świeże powietrze.

Włoch powiada: „Gdzie słońce nie zagląda, tam zagląda lekarz.“ Anglik twierdzi znowu: „Ciemne mieszkanie jest zazwyczaj źle przewietrzanem, brudnem, niezdrowem mieszkaniem.“ Oba przysłowia są rzeczywiście prawdziwe.

I płuca potrzebują gimnastyki czyli ruchu. Głośna rozmowa, śpiew itd. bardzo je wzmacniają.

W ruchu i czerpaniu świeżego powietrza mieszczą się dwie najcelniejsze siły lecznicze.

Zmiatanie kurzu i opylanie przy zamkniętych drzwiach lub oknie, to przewracanie kota w powietrzu. Tak jak kot spadnie zawsze na nogi, choć go rzucisz na głowę, tak i kurz zawsze pozostanie w mieszkaniu, choć go usuwasz z mieszkania, jeśli okna przytem nie otworzysz.

Jest tylko jeden prawdziwy i rzeczywisty środek, który sprowadza apetyty, a ten się nazywa: „Czekaj tak długo, dopóki głód nie przyjdzie.“ Kto zasiada do stołu bez apetytu — kto się do jedzenia przymusza, ten niezawodnie wnet straci zdrowie.

Nie jedz ani za gorąco, ani za zimno. Gorący rosół poparzy ci wnętrzności, lód sprowadzi katar żołądka. W obu zaś razach psujesz sobie zęby, usta i żołądek i za to prędzej czy później musisz odpokutować.

Z powodu głodu umiera bardzo mało ludzi, ale za to wielu, bardzo wielu z powodu nadmiaru dostatków.

Wszystko, co człowiek wydaje ze siebie, jest trujące: a więc wszelkie wyziewy z płuc, skóry, nerek i kiszek; najbardziej zatruwa jednak zdrowie brak troskliwości, za co często pokutować musimy.

Kosztowny zwyczaj.

Wojciech był biednym gospodarzem. Miał zaledwie trzy morgi gruntu, krowinę, parę nędznych koni, ot i całe bogactwo. Dzieci było ośmioro. Uczciwe to pobożne, pracowite, to też Wojciech i jego małżonka bardzo kochali swoje dziatki. „Stary“ pracował jak wół roboczy, bo trzeba dzieci ubrać, nakarmić, do szkoły posłać i we wszystko zaopatrzyć. Biedaczysko nie dojadł, nie dospał, jak mógł sztukował, ale końce nigdy się nie schodziły. Wojciech w swej biedzie pocieszał się nadzieją, że będzie lepiej, gdy dzieci podrosną, a każde do pracy się weźmie. Przysłowie mówi: „małe dzieci, małe kłopoty, wielkie dzieci, wielki kłopot“. Przekonał się o tem i nasz Wojciech. Dzieci podrosły, poczęły pracować i zarabiać, ale cóż z tego? Co zarobiły, wszystko poszło na stroje, na świecidełka i na rozmaite grymasy. Ty ojcze, jak dawałeś jeść, tak i dalej dawaj.

Najstarsza córka podrosła, trafili się ludzie, trzeba było wydać ją za mąż. Sąsiad powiada: Wojciechu, po co wam hucznego wesoła, po co muzyki, po co wydatków. Zaproście kilkoro ludzi, oni zaprowadzą młodych do kościoła, ksiądz pobłogosławi, trochę się zabawicie, ot i koniec. To co macie wydać na wesele, lepiej dać dziecku na rozrobek. Przysłowie mówi: „Z próżnego i Salomon nie naleje“. Gdy młodzi nie będą mieli od czego zacząć, to niczego się nie dorobią.

Wojciech chłop był nie głupi, rozważył, co sąsiad powiedział i byłby tak zrobił, ale żona temu się sprzeciwiła. „Co ludzie powiedzą“ mówi, „czy to my ostatni, czy nasze dziecko gorsze, jak dziecko sąsiada, niech też i nasza córka pamięta, że miała wesele“. Kobieta uparła się przy swojem, a wiadomo, że żaden chłop baby nie przegada. Stanęło na tem, że wesele być musi i to nie byle jakie.

Na wesele potrzeba pieniędzy, a Wojciech swoich nie miał. Chodził — pytał — prosił, ale nic z tego. Gospodarze pieniędzy nie mieli. Kasa na wesele pieniędzy nieda. Pożyczył więc pieniędzy żyd karczmarz. Gdy przygotowania do wesela naprawdę się rozpoczęły, poznał Wojciech, jak źle zrobił, że żony posłuchał? Ale zaniechać tego, co się rozpoczęło, trudno. Musiał jeszcze biedak dopożyczyć u sąsiadów. To też chłopu dopiekło to wszystko do żywego, gdy więc wpadł w złość, klął żonę, siebie, córkę i całe we-

sele. I jakiż koniec był tych wszystkich zabiegów i kłopotów? Ot, trochę krzyku i hałasu w domu, nie obeszło się nawet bez bójki na weselu. W dodatku jeszcze ludziska obmówili, że na weselu mało dawano jeść i pić, a tu wesele kosztowało z okładem 400 marek, które Wojciech musiał pożyczyć.

To, co spotkało Wojciecha, spotyka prawie wszystkich ojców, którzy sprawiają huczne wesela. Jestto prawdziwa klęska dla gospodarzy. Trzebaby raz z tym niemądrym zwyczajem zerwać i nie sprawiać kosztownych wesel. Wesela szumne są dowodem wielkiej ciemnoty; nikogo nie ubawią, a korzyść z nich ma żyd i — dyabeł. Cóż to za mądrość, że we wsi krzyk, hałas, że w domu kłopot po uszy? Cóż to za mądrość, jak niejeden ojciec przechwala się, iż sprawił wesele córce za pożyczone pieniądze? Jaka to mądrość wzbogacać żydów i destylacye, a krzywdzić własne dzieci i rujnować siebie! Może choć za to goście weselni ubawią się i będą wychwalać gospodarza? Broń Boże! goście się nie zabawią, bo ich za wiele, obsłużyć ich nie można, nikt też nie zje nic uczciwego, bo trudno na sto lub więcej ludzi wszystko w porządku przygotować. Szkoda tylko tych darów Bożych, które się marnują, a goście, zamiast cię ojcze, matko pochwalić, to cię obmówią potem, żeś mało dał jeść i pić, poobrażają się i wygadują. Czy nie tak może?

Wszystko to prawda, ale cóż robić, kiedy taki zwyczaj? Tak, zwyczaj, ale on zły i głupi, to go trzeba skasować. Dawniej, za czasów jeszcze pańszczyzny, wesela trwały po tygodniu, a czy wy to dzisiaj pochwalacie? Zapewne, że nie, owszem, dziwujecie się waszym praojcom, że tak niemądrze robili; otóż i z was i z dzisiejszych wesel śmiać się będą wasze wnuki i prawnuki, bo oni już będą sprawiać wesela we „czwórkę“. Lepiej tedy, by, co ma być później, nastało wcześniej, teraz. Za pańszczyzny była ciemnota i niewola, wszystko sprzyjało i korzystało z długich chrzcin i wesel, żyd w karczmie ręce zacierał, pan we dworze był kontent, bo żyd więcej płacił; ale dziś, przy tylu naukach, wołaniach ze wszystkich stron, przy większej oświacie, trzymać się takiego zwyczaju już nie można i nie potrzeba. Dobre zwyczaje niech na zawsze zostaną, ale złe wygnać za dziesiątą górę! Czemu to żydzi nie sprawiają takich wesel? Bo od nas mądrzejsi, to też i pieniądze mają.

Dziś wesela takie być winny: nowożeńcy z najbliższymi krewnymi, otrzymawszy błogosławieństwo od ojców, idą do kościoła na Mszę św. Z kościoła, po ślubie, wprost do domu i tu, a nie w karczmie, ani szynku, zjeść co Bóg dał, napić się po szklance kawy, czy herbaty, czy też piwa lub wina, pobawić się chwilę, ale bez muzyki i już po weselu. To będzie mądre wesele.

Jeżeli zaś już koniecznie ma być muzyka, to bez żadnych odgrywań, bez włóczenia się po nocy i straszenia myszy po wsi; dwa, cztery swaty, kilka dziewcząt, a gości nie więcej jak dwadzieścia, z jednej i drugiej strony po dziesięć. Po ślubie potańczyć sobie trochę, ale nigdy w karczmie, a przed zachodem słońca „oczepiny“ i wszyscy do domów swoich — już po wszystkiemu. W nocy muzyki być nie powinno, ani żadnych poprawin, bo poprawia się to tylko, co źle było: szewc poprawia buty, jak źle zrobił.

Takie to już najbogatsze wesele.

A za to pieniądze, które miały pójść przeważnie do żydowskiej kieszeni, dać córce na drogę nowego życia; bardzo jej się przydadzą, a jeśli ona ich nie dostanie, to i tak korzyść będzie wielka, bo nie będzie długu.

Rozmaitości.

Prawo i obowiązek.

Gdy się raz pierwszy zeszli ludziska,
Był ten świat dla nich jak próżna miska,
Był świat ten dla nich jak miska pusta,
Nie było bowiem co włożyć w usta.
Niestety, pulchne smaczne gołąbki
Nie chciały same lecieć do gąbki.
Więc głodny ludek z złości się wściekał.

— Ptaki fruwały, a on wyrzekał
Na niewygodny świata porządek,
Wtedy przemówił zdrowy rozsądek,
I rzekł: fatalną jest rzeczy postać,
Chcąc jeść, musimy gołąbków dostać,
Musim pracować, więc z sobą związek
Niech zawrze prawo i obowiązek.
Jak długo z sobą żyć będą w zgodzie,
Nie zaznasz biedy, miły narodzie —
Będziesz o jutro swoje bezpieczny...

— W ten sposób powstał układ społeczny...
Mijały wieki... Choć źle na świecie,
Mimo to jednak żyło się przecie,
I każdy spełnił chętnie swą czynność,
Bo się łączyła z prawem powinność...
Dziś, ku ludzkiego klęsce narodu,
Rwie się małżeństwo to do rozwodu;
Gdzie się obrócisz, zewsząd grzmi wrzawa:

— Dajcie nam prawa!... Dajcie nam prawa!...
A próżno człowiek wytęża ucho:
— O obowiązku głucho i głucho!...
Skąd wziąć zasobów dla głodnej rzeszy,
Co w imię prawa do miski śpieszy,
A w około siebie, wzrok tocząc wilczy,
O obowiązkach jak ryba milczy?
A bez nich — o tem pamiętać trzeba
Ani gołąbków niema, ni chleba.

Zagadka.

Z pięciu się liter składam całe,
A jestem miasto okazałe;
Urokiem wabię cały świat, —
A znają mnie od wielu lat.
Królowie nawet w moje wrota
Wjeżdżają; pełne'm kwiatów, złota,
Przystojnych panów, cudnych dam,
Bo taki silny urok mam;
Lecz gdy pozbawisz mnie dwóch nóg,
Od — czego niech mnie strzeże Bóg!
Jakbyś mi wydarł, oczy z lic —
Zostanie — nic!..

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 3-go listopada.

Rozwiązanie Szarady z nr. 41-go:

Straż.

Dobre rozwiązanie nadesłali: *z Poznania:* pp. Stanisław Tyranowski, Jan Fabiś, Bronisława Świtańska, Stanisław Janiszewski, Maksymilian Maliński, Piotr Balcer, *z prowincyi:* pp. Aleksander Miłowski z Witkowa, Julian Dalkowski z Czempinia, Jan Trafankowski z Stęszewa, E. Wolniewicz z Kórnika, Helena Palczewska ze Środy, Franciszek Chytry z Kobylina, St. Mikołajczak ze Śremu, Kaźmiera Dymalska i K. Krumka z Ostrowa, Wojciech Budasz z Czeszewa pod Orzechowem, Stanisław Siekierski z Wolwarku pod Szubinem, Ada K. z Przybysławia pod Komorzem, Aniela Wieczorek z Antonina, F. Wojciechowski z Chwałkowa pod Mchami, Józef Gawrych z Młynkowa (powiat obornicki), Piotr Jahnz z Wielkiego Krosina (rozwiązanie wierszowane), *z Prus Zachodnich:* pp. M. Poćwiardowski z Lubiewa, Domicyan Szczodrowski z Koźmina pod Pogódkami, *ze Śląska:* pp. R. Wodarski z Borsigwerku, Tomasz Piecha z Burowca pod Małą Dąbrówką, Jan Oczadły z Załęża, Franciszek Hanus z Józefowca pod Katowicami, Jadwiga Badura z Roździenia, *z Galicyi:* p. H. Wodecki z Ropczyc, *z obczyzny:* pp. Wojciech Prabucki z Hilden, A. Żelewska i Władysław Brzozowski z Charlottenburga, Czesław Piastowski z Berlina.

Nagrodę otrzymali: pp. Piotr Balcer z Poznania, Piotr Jahnz z Wielkiego Krosina i Władysław Brzozowski z Charlottenburga.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

Rzeź Pragi.

Powieść historyczna przez Teodora Tomasza Jeża.
12)

(Ciąg dalszy.)

Hrabiemu zakręciły się łzy w oczach. Spojrzał na żonę, i wyczytawszy z jej wzroku znak wyraźnego i radosnego potwierdzenia:

— Będę z tobą, mój Michale...

Tu sobie przerwał:

— Przebacz, że cię na mocy dawnych praw, Michałem nazywam...

Major skłonił się z uśmiechem:

— Ta nazwa jest dla mnie w ustach hrabiego najmilszą... Uważam się jako syn.....

Hrabinie zakręciły się łzy w oczach, a hrabia ciągnął dalej:

— Będę z tobą mówił otwarcie... My — tu ukazał na siebie i na żonę — dalecy jesteśmy od zaprzeczania twoich praw... Dziwiło nas tylko, żeś tak długo zwlekał z upomnieniem się o nie...

— Wypadki... — odbąknął Michał. — Okoliczności... A przytem...

Tu zaciął się, jakby mu wyrazów zabrakło.

— A przytem — ciągnął z niejakiem przymuszeniem w głosie — dostrzegłem w pannie Antoninie jakiegoś chłodu... jakiegoś jakby wstrętu do mnie...

— O! ona ciebie kocha.... — zawołała hrabina.

— Ten chłód... — dodał hrabia — to wynik jej temperamentu...

— Dowodem, że ona ciebie kocha... — podchwyciła hrabina — jest to, że trafiło się jej kilka świetnych partyi, którym, wyznać muszę, i my sprzyjaliśmy... Antosia wszystkie odrzuciła, a jedynym powodem było to, że czeka na ciebie...

— Więc?... — zapytał Michał.

Hrabia, zamiast odpowiedzi, uściskał go. Przed hrabiną nasz bohater przykląkł na jedno kolano, i pocałował ją w rękę, a ona ujęła jego głowę w obie dłonie i złożyła mu na czole macierzyński pocałunek.

Po kilku jeszcze wyrazach wzajemnego wylania uczuć, hrabia zadzwonił i kazał prosić hrabiankę.

Po chwili panna Antonina stanęła w obec ojca, matki i narzeczonego.

— Antosiu... — przemówiła do niej hrabina z uśmiechem, w którym macierzyńska czułość z lekkim odcieniem filutarności się łączyła — pan major przyszedł upomnieć się o swoje prawa do twojej ręki... Co mu na to odpowiedzieć?...

Hrabianka zbladła.

Michałowi jakoś, nijako się zrobiło.

— Czy trzeba, ażeby uparcie się procesował?... — zapytał ojciec.

Panna Antonina podniosła głowę. Jakąś dumą jej oko strzeliło i spokojnym a smutnym głosem, patrząc Michałowi prosto w oczy, odpowiedziała:

— Dziękuję panu majorowi za zaszczyt, jaki mi czyni... Muszę mu jednakże odpowiedzieć, że ręki mojej oddać mu nie mogę...

Hrabia, hrabina i Michał, byli temi wyrazami, jak się z francuska mówi, zkonsternowani.

Milczenie zapanowało, i trwało kilka chwil.

Hrabianka zachowała zawsze postawę dumną i prawie wyzywającą, ale nie długo. Snadź postawa ta była przybraną, bo raptem zmienił się cały wyraz jej twarzy, oczy wezbrały łzami, które trysnęły jak dwa potoki i popłynęły po policzkach. Schyliła się ku matce i ta ją przyjęła w objęcia swoje i obok siebie posadziła.

Michał stracił śmiałość — nie wiedział co z sobą zrobić.

— Co ci, moje dziecko?... — pytała hrabina. — Zkąd ta zmiana?...

Hrabia przypomniał jej łagodnie, że ona odmawiała konkurentom, czekając na Michała.

Hrabianka otarła łzy.

— Czekałam... — rzekła — to prawda, alem się nie doczekała...

— Ależ... — przerwał ojciec — ten na którego czekałaś, przychodzi do ciebie... Nie przyszedł wcześniej, bo, wiesz sama, jakie mu okoliczności przeszkodziły.... Walczył... Służył krajowi...

Panna Antonina pokiwała główką, i przelotnie okiem obrzuciła Michała.

— Nie miał czasu... — ciągnął hrabia — aż teraz, kiedy się spokój ustalił....

— Kiedyśmy odetchnęli swobodniej... — podchwycił Michał i chciał dalej mówić, ale mu hrabianka przerwała:

— Swobodniej!... — zawołała z akcentem gorzkiej wymówki. — Swobodniej!.... — Nie, panie majorze.... Moje dawniejsze do pana przywiązanie było kaprysem dziecka.... Wychowaliśmy się razem, ale razem żyć nie możemy.... Pan i ja, jesteśmy dwie różne istoty, których sprzęgać w jedno jarzmo nie można.... Kiedyś było co innego.... Ja byłam dzieckiem, pan młodym: mogliśmy więc spodziewać się czegoś takiego, co trudnem jest do ziszczenia... Ale teraz, pan jesteś mężem, ja kobietą dojrzałą: przerobić się już nie możemy....

— Ależ o jakich mówisz nadziejach... — podchwyciła matka — ja o żadnych nie wiem.... Wiem tylko, moje dziecię, żeś pana Michała....

Tu hrabina zająknęła się, a hrabianka dokończyła:

— Kochała... Może.... Nie wiem.... Ale dziś.... już.... nie kocham....

— Cóż mu można zarzucić?... — odezwał się hrabia.

Odezwała się w tym guście i hrabina, i to jedno to drugie, z pewną natarczywością bronili Michała i jego sprawę, opierając obronę na kochaniu, będącem potrzebą serca kobiety.

— Ja... kocham... — podchwyciła hrabianka.

— Więc dla czegoż odmawiasz ręki człowiekowi, którego rodzice sobie życzą, któremu nie ma nic do zarzucenia, i który ciebie kocha?... — zapytał ojciec.

— Ja, kocham, papo... — powtórzyła panna Antonina z wyraźnym akcentem przymusu — ale nie pana Michała...

— Nie pana Michała!... — zawołali ze zdziwieniem razem hrabia i hrabina.

— Nie... — odparła hrabianka i wymówiła prędko:

— Ja kocham pana... Stanisława Grzybowskiego...

Słowa te stały się powodem wielkiego, większego może jak poprzednie, dla rodziców zdziwienia, ale pan Michał przyszedł już do siebie — odzyskał przytomność, w uśmiech ustroił twarz, skłonił się i powiedział:

— Ha!... — boleśno mi;... ale nic mi innego nie pozostaje, jak ustąpić szczęśliwemu współzawodnikowi....

Skłonił się powtórnie, i odszedł. Na pozór był spokoj-

ny, ale tylko na pozór. W piersi wrzało mu coś nakształt burzy. Wskoczył do powozu i krzyknął podniesionym o oktawę wyżej jak było potrzeba na woźnicę głosem:

— Na Bielany!...

Gdy konie ruszyły tęgim kłusem, zdawało mu się, że wleką się jak woły.

Więc znów krzyknął:

— Kłusem!... ruszaj!...

Woźnica zaciął konie. Te poszły ostro, ale bohaterowi naszemu chciało by się, aby go pędem wichru unosiły. Więc jeszcze raz i dobitniej krzyknął:

— Zacinaj!... ruszaj!... w czwał!....

Woźnica wyonał rozkaz.

Powóz runął, i dopiero Michałowi jakoś lżej trochę się zrobiło. Zaczął wiązać nici myśli. Najprzód ozwała się w nim obrażona miłość własna. Porównał siebie i Stanisława, postanowił jednę obok drugiej, te dwie postaci, a przed niemi pannę Antoninę, i rzekł:

— Głupia....

To znaczyło, że gdyby on znajdywał się na miejscu hrabianki, to z tych dwóch wybrałby był świetnego majora od ułanów gwardyi.

Potem ozwała się w nim miłość do panny Antoniny. I stanął przed oczami jego obraz, z dwóch postaci złożony. Jedną z tych postaci był człowiek o szczudle, o jednem oku, pochylony, pomarszczony, brzydki, a drugą kobieta śliczna, jak jeden z najcudniej wymarzonych poetyckich ideałów. Te dwie postacie były razem i odbijały od siebie dziwnym jakimeś dla bohatera naszego kontrastem, dziwnym, niespodzianym a wstrętnym. I zgrzytnął zębami, zacisnął pięści, a potem na głos się roześmiał:

— Cha-cha-cha!...

Śmiech ten miał coś spazmatycznego w sobie.

Woźnica odwrócił głowę i zdziwionym wzrokiem popatrzył na majora.

— Czego tak pędzisz, jak waryat!.... — krzyknął Michał. — Stój!....

Powóz zatrzymał się. Spienione konie bokami robiły. Michał wyskoczył, a że to było przy bielańskim lasku, szybkim krokiem poszedł i zniknął między drzewami.

I chodził długo. Dziwne myśli musiały mu snuć się po głowie, bo to uśmiechał się do siebie, to srożył się, to stawał i wpadał w zamyślenie.

Kilkanaście osób kręciło się po lasku. Michał spotkawszy pierwszą, skoczył w bok, w gęstwinę, jakby uciekając od ócz ludzkich. Lecz się natychmiast zmiarkował i wrócił, i chodził środkowemi alejami, a minę nastroił jakoś na poły szydersko, na poły wyzywająco. Każdy jednakże z przechodniów z łatwością mógł poznać, że major od ułanów nie w swoim jest — wyrażając się trywialnie — sosie, że z nim dzieje się coś takiego, jakby — jeszcze trywialniej się wyrażając — dyabła połknął.

Rzeczywiście, coś dyablego nurtowało w myśli jego, bo stanąwszy raz raptem, nachmurzywszy brwi i zacisnąwszy kułak prawej ręki, z dobitnym giestem krzyknął:

— Wyzwę i zastrzelę!... Nie dostanie się ani jemu!...

A potem, modulując głos do wyrazu ironii, mówił sam do siebie:

— Ona go kocha!... Ona go kocha!...

Kręcił głową, jakby nie dowierzał.

Kilka razy rzucał się na murawę, i jakby uspokojony, zapalał hawańskie cygaro, jak człowiek w samotnem zamyśleniu, chcący się otoczyć obrazami zwijających się, to rozwijających błękitnych obłoczków tytoniowego dymu. Lecz zaledwie kilka obłoczków wystrzeliło mu przed oczy, zrywał się, odrzucał cygaro precz od siebie i chodził.

Był wyraźnie obrażony, ciężko, boleśnie obrażony, tknięty do żywego w najdrażliwszą strunę serca, najdelikatniejszą strunę honoru.

— Wyzwę i zastrzelę!... — zawołał raz jeszcze, a w głosie jego brzmiało nieodwołalne postanowienie.

To postanowienie, raz stanowczo wzięte, snadź go zaspokoiło. Bo coraz swobodniej zaczął chodzić, powrócił do stanu naturalnego, na prawdę cygaro zapalił, wypalił je do końca, ogarek odrzucił i poszedł do powozu. Wsiadł, i nie jak poprzednio gwałtownie, lecz zwykłym tonem dał rozkaz furmanowi:

— Na Nowy Świat!... pod numer O.O....

Przed tem nim wsiadł do powozu, spojrzał po sobie, poprawił mundur, strzepnął kurz z butów, pociągnął rękawiczki na rękach.

Widząc go w tym momencie, możnaby pomyśleć, że mu się nic przykrego nie stało.

VIII.

Przykrem było położenie naszego bohatera, jako świadka i aktora sceny, która odbyła się w gabinecie hrabiego. Spotkało go bowiem to, czego się bynajmniej nie spodziewał. Spodziewał się traktowania, warunków, drożenia się ze strony swojej narzeczonej, ale nigdy wzręcznej, stanowczej odmowy. Do tego, czego się spodziewał, stosownie się był przygotował. Wiedział, że hrabianka przesiąkłą jest nawskroś tem, czego wielki książę nienawidzi, to jest, polskim patryotyzmem; wiedział, że ona żywo interesuje się i zajmuje tem, co według mniemania wielu niemądrych, jest dla kobiety nieprzystępnem, to jest, polityką.

Miał więc wyznać się patryotą; miał przyznać, że polityka może być zarówno przystępną dla niewieściej, jak dla męskiej płci; miał zrobić pewien rodzaj aktu wyznania wiary, opartego na rozsądku, na umiarkowaniu, na oględności; miał jasno wytłómaczyć położenie obecne i nadzieje na przyszłość i nagromadził tyle i takich dowodów, że był pewnym tryumfu, jak się jest pewnym śmierci. Zdawało się mu, że hrabianka ulegnie pod oczywistością dat, cyfr i faktów, pod prawdziwością tego: „kontentujmy się małem, jeżeli nie możemy przyjść do wielkiego." Pewnym był, że przekona i na tle tego przekonania postawi własną osobę, jasną i czystą, opromienioną dostatecznem poświęceniem w przeszłości, otoczoną aureolą świetnej karyery w przyszłości i w spółce z hrabianką, nabywającą coraz szerszej możności robienia dla sprawy publicznej wszystkiego tego co się da, i co można będzie zrobić. Zresztą liczył na serce panny Antoniny i najskuteczniejszej pomocy spodziewał się po tem kochaniu, o którem wiedział od dzieciństwa i którego nie podejrzywał, ani mógł podejrzywać, o — wygaśnięcie.

A tu tymczasem całe jego krasomostwo, od pierwszego wyrazu, zostało zabitem, a wyznanie miłości dla Stanisława dobiło je do reszty.

Nie mniej jak Michała, przykrem było i panny Antoniny położenie. Wejdźmy w nie, a raczej w pobudki jej postąpienia.

Panna Antonina kochała swego narzeczonego. Miłość dla niego wzrosła z nią. Miłość ta jednakże wzrastała nią odrębnie, ani też na gruncie teoryi, wysnutych z romansowych książek, ale na gruncie jej serca, które było czystem i na wskroś polskiem, które, kochając Michała, pokochało z góry wszystko co z nim styczność miało, a najmocniej wspomnienia jego ojca, jego braci, jego matki. Dla tego nie wybujała ona w kwiat egzotyczny, w ślepą namiętność, lecz odnosiła się do gruntowej — że tak rzekę — miłości i pragnęła, aby to serce, co przy jej sercu bić miało, biło zgodnym, harmonijnym tentnem. Miłość przyszłego swego męża utopiła całkowicie w miłości ojczyzny, w bezgranicznem

i bezwarunkowem dla niej poświęceniu, takiem, z jakiem konali ojciec, bracia i matka Michała.

Odstąpienie od takiego poświęcenia, wydawało się jej świętokradztwem, którego w swoim przyszłym znieść nie mogła, i które w nim przeczuciowym odgadywała sposobem. Kochała go ona bardzo, najprzód z całą naiwnością dziecka, potem, z całą uroczością dziewiczego kochania, i, im bardziej kochała, tem drażliwszą się stawała na zboczenie jego z prostej drogi obowiązków, na której chciała mu pomagać, na której chciała iść za nim, biedz na ofiarę, na stos, spalić się w miłości ojczyzny — chciała mieć w nim wzór poświęcenia, gwiazdę przewodnią, świecącą, jeżeli nie całemu narodowi, to przynajmniej tylko jej i dzieciom. Bo ona z góry myślała o swem obywatelstwie kobiecem i bardzo na seryo jej brała, a brała w tym sensie, że życie pojedyńczej rodziny przedstawiała sobie na tle życia ogółu, zastosowane ściśle jedno do drugiego. Jej się zdawało, że co dotykało ogół, to odbijać się powinno i na rodzinie, czem bolał ogół, czego on pragnął, do tego dążyć, tego pragnąć powinna i rodzina. Siebie z mężem swoim i dziećmi uważała jako integralną cząstkę tego pokrzywdzonego ogółu, który zwał się Polską, miał swoją historyą, swoje prawa, swoje opatrznościowe posłannictwo, posiadał upoważnienie od samego Boga upominać się o krzwdy. Wydzielanie się z ogółu dla tworzenia dla siebie jakiegoś partykularnego, do odrębnych celów zastosowanego, domowego szczęścia, wydawało się jej występkiem, dezercyą z pod sztandaru tych obowiązków, jakie mają dzieci względem matki.

Matką ową była dla panny Antoniny Polska, a po jej stronie stały rodzinne tradycye jej narzeczonego, wspomnienia jego ojca, braci i matki, ginących za ojczyznę. Jego rodzinę przyswoiła sobie od dzieciństwa i tak się z tem przyzwyczajeniem zrosła, że czuła się bardziej córką pani Grochowskiej, zamęczonej na Pradze, niż córką własnej matki i własnego ojca. Ztąd pochodziła różnica patryotycznego uczucia, jaka pomiędzy nią a jej rodzicami zachodziła. Ztąd także pochodziła i owa przeczuciowa drażliwość, która w Michale słabe strony odkrywała, która obrażoną została, najprzód jego pruskiem rycerstwem, potem jego honorowością pod narodowemi sztandarami, jego rachunkowością patryotyczną, a nadewszystko — zasłużaniem się na względy wielkiego księcia. To dało jej poznać, że ona jest duchową córką starego Grochowskiego i pani Grochowskiej, a Michał ich cielesnym tylko synem. Nieraz, w ostatnich zwłaszcza czasach, przychodziła jej myśl:

— Oni by się go wyrzekli...

I straciła dla niego szacunek. — A miłość bez szacunku — co warta ... Zapytywała swego sumienia, i sumienie jej mówiło:

— Jeżelibyś rękę twą oddała Michałowi, to krzywoprzysięgłabyś przed ołtarzem na ślubnym kobiercu, w tej chwili, w której kapłan wiązałby wam stułą ręce... bo ty go już nie będziesz szanowała... Twój przyszły jest faworytem wielkiego księcia....

To ją bolało. Ona cierpiała — i właśnie w epoce tego cierpienia wezwaną została do gabinetu ojca, i spotkała się z oświadczynami Michała, i w pierwszym popędzie wręcz odmówiła.

Ale spotkała się także z wymówkami i naleganiami rodziców, które należało odwrócić raz na zawsze i bezpowrotnie.

Tłómaczyć się przed niemi nie mogła, bo znała ich sposób myślenia. Obrażać ich niettómaczeniem się nie chciała, bo rozumiała obowiązki córki, obowiązki, którym nigdy nie uchybiała. Szukanie ucieczki zwykłej w takich razach w klasztorze, wydało się jej spowszedniałą romansowością, której urzeczywistnienie żywcem w grobie by ją pogrzebało; a ona chciała się jeszcze na coś zdać. Wówczas, niby błysk natchnienia, przyszedł jej na myśl szanowany przez nią człowiek, człowiek moralnie taki, jakim pragnęła, aby był jej narzeczony, i powiedziała:

— Kocham pana Stanisława Grzybowskiego...

Hrabia i hrabina nie należeli do tego gatunku rodziców, którym się zdaje, że dla przyzwoitości, bądź dla familijnych lub majątkowych widoków, godzi się gwałcić uczucia córki. Nie mniej jednakże wyznanie to zrobiło na nich przykre wrażenie i nie mogli się powstrzymać, aby po przejściu osłupienia, nie pokazać gniewu i zdziwienia, i nie wdać się w długie perswazye.

— Stanisław bez majątku, bez pozycyi, bez prezencyi, kaleka... — Wszystko to i wiele jeszcze innych powodów, występywało kolejno w ustach ojca i matki.

Panna Antonina słuchała wszystkiego w milczeniu i odpowiadała nieznacznie:

— Cóż robić, kiedy go kocham...

Hrabiostwo podnosili stronę skandaliczną i śmieszną takiego związku:

— Cały świat uważa cię prawie jak żonę Michała... Ta raptowna zmiana narazi cię na obmowę... — różne wnioski nie nader dla panny Antoniny zaszczytne.

I na to nie miała innej jak poprzednia odpowiedzi.

I po długiej rozmowie, po wyczerpaniu wszystkich dowodów i powodów, hrabiostwo przekonali się, że nie przekonają córki, bo nawet, jako najpotężniejszy argument użyte, łzy hrabiny i groźby hrabiego nic nie pomogły.

Temu niema się co dziwić.

Takie charaktery jak panny Antoniny, zdarzają się niekiedy. Ale była w tem jedna rzecz istotnie na podziwienie nasze zasługująca, a to: kiedy panna Antonina głośno wymówiła:

— Kocham Stanisława...

To go wyraźnie pokochała.

To wymówienie było pewnym rodzajem stanowczego przełomu, nie kosztem uczucia, ale kosztem osób. Szczęście, że ten przełom przed ślubem nastąpił. Cóżby to było, gdyby po uroczystem na wieki, wobec Boga ludzi, zaręczeniu serca i ręki, przekonała się, że ten, któremu miłość przysięgła, że jej mąż, jej wybraniec, nie godzien jej ręki, ani serca... Okropnem musi być położenie kobiety, w ten sposób zawiedzionej...

Powiadają, że miłość jest ślepą i nawet w starożytności przedstawiano ją z zawiązanemi oczyma. Odnosi się to tylko do miłości, jako namiętności, dziecka krwi i zmysłów. Ta jest ślepa, ale ona jest więcej zwierzęcą jak ludzką. Napastuje ona i ludzi, tych jednakże wyłącznie, którzy nie umieją sobie zdać sprawy z położenia i obowiązków człowieka w społeczności, którzy nie rozumieją znaczenia rodziny i moralności. Kochanie zdejmuje zawiązkę z oczów i oświeca się pochodnią myśli.

Owa też to pochodnia ukazała pannie Antoninie Michała we właściwem jego świetle. Ona się go zlękła, straciła dla niego szacunek, a z szacunkiem i ten pociąg sympatyczny, który nazywamy miłością.

I zadziwiła się, że dotychczas o tem nie wiedziała.

Zadziwiła się jeszcze bardziej, że nie wiedziała, że kochała Stanisława.

A nie miała się czemu dziwić. Nie wiedziała, bo wiedzieć nie chciała, bo nie zapytywała serca, a serce, jak wiadomo, nie zdaje sprawy, nie będąc o nią zapytanem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

W winiarskim forcie.

Ranek był świeży, wiosenny, słoneczny.

W winiarskim forcie, w Poznaniu, piał grubym, chrypliwym głosem wielki,kałakucki kogut. Piew to był głuchy, jakby ze ściśniętej gardzieli idący, zakończony charczeniem dwóch kłócących się z sobą falsetowych [1]) tonów, urwanych na jakiejś niesfornej, czkawkę przypominającej nucie.

Sam kogut wszakże wiele o głosie swoim rozumieć musiał, gdyż po każdym zapianiu stawał jak wryty i, wysuwając coraz wyżej z barków grubą włochato obrosłą szyję, szybko, jak gdyby w podziwie, obracał na wszystkie strony łeb ciężki, nakryty wielkim, aż na oczy spadającym pierzastym szyszakiem.

W zdumieniu swojem zapominał nawet na chwilę o rozgrzebywaniu śmietnika, stojąc tak na jednej z silnych, aż do ostrogi kępami pierza obrosłych nóg czarnych, podczas gdy druga, wyciągnięta w tył ze skulonymi pazurami, zbierała się niezgrabnie do postawienia następnego kroku.

Nim go wszakże postawić zdążył, już ze wszystkich przedmieść pobliskich, z Chwaliszewa, z Nowej-Grobli, ze Środki — rozlegało się jasne, szerokie donośne pianie zwykłych polskich kurów, to pojedyńczo, to razem po dwóch, po trzech, jak tam którego chwyciła myśl dobra. Pomiędzy tymi wyrobionymi i w doskonałą muzyczną frazę [2]) zaokrąglonymi głosami słychać było piskliwe, zupełnie jeszcze pozbawione szkoły wyrwasy młodych kogutów, które zaraz wszakże zagłuszał jeden lub drugi wyborny solista.

Wielki kałakut słuchał, przechylił na obie strony obciążoną ogromnym czubem i nabrzmiałymi koralami głowę, siwawą błonką zakrywał na jedno mgnienie oka okrągłe, rubinowe źrenice, ale się zwyciężonym nie uznawał, i skoro tylko nieco po przedmieściach ucichło, bił po sobie ciężkimi lotami i zanosił się grubem, chrapliwem pieniem.

Natychmiast czyste, metaliczne głosy jego adwersarzy [3]) uderzały w powietrze ze zdwojoną siłą. Czuć w nich było rozdrażnienie niezwykłe.

Sąsiad z winiarskiego fortu świeżym był przybyszem; przedmiejskie koguty nie nawykły jeszcze do jego tubalnego [4]) głosu. Wiadomo było, iż uważają go wprost za szykanę [5]).

Kałakut niemniej czuł się podrażnionym. Nie umiał nawet zgoła wytłumaczyć sobie, dlaczego właściwie ksiądz Johann Wurst, pan jego, przeniósł się tu z Westfalii, z miasteczka, gdzie wszystkie koguty tak samo basem piały i gdzie żaden kur nie robił skandalu jakiemiś wykrzykami z za płota.

Było to wprost nie do pojęcia.

I znów się ciężkiemi skrzydłami po żebrach tłukł i zanosił przeraźliwie pianiem.

— Niemiecka krew! — zaklął wachmistrz Dzieszuk, czyszcząc odświętny mundur przy otwartem oknie. — Drze się, jakby kto barana rżnął. Że też to choć i pianie, to insze polskie, a insze znów niemieckie....

Wachmistrz Dzieszuk, chłop ogromny, a suchy jak chmielowa tyka, dawno już w wojsku służył, a z żołnierzy Polaków był w forcie najstarszym. Tutaj ostry jego wąs poszroniał, tu mu twarz zwiędła i wyschła, tu się w ptasi dziób zaostrzył nos jego kościsty, tu mu się nieco pochyliły bary, tutaj ociężały nogi.

[1]) Falset — przytłumiony głos z głowy.
[2]) Myśl wyrażona w muzyce.
[3]) Przeciwników.
[4]) Potężny. Głos potężnieje, odbijając się o ścianki instrumentu zw. tubą.
[5]) Szyderstwo.

Ale chociaż tak dawno karabin pruski dźwigał z Niemcami nigdy jakoś pogodzić się nie mógł.

Dwa też były u niego gatunki ludzi i rzeczy: „Niemiecka-krew'' i„Polska-krew''. Wszystkie nawet wypadki życia swojego do tych dwu kategoryi odnosił. Dwa razy był naprzykład, „niemiecka-krew'', raniony: w szlezwiskiej [1]) i francuskiej [2]) wojnie, a raz mu ksiądz Cydzik, proboszcz dywizyjny, podarował, „polska-krew'', książkę od pacierza ze złoconymi brzegami i pięknym futerałem.

Jeden tylko odolanowski i koźmiński atak kwietniowy wspominając, mieszał te obie kategorye tak, że sam już nie wiedział, gdzie tam w tej zawierusze była krew polska, a gdzie znowu szwabska, i dopiero kiedy w opowiadaniu do bicia słupów granicznych przez generała Willisena [3]) przychodziło —ostygał, prostował się, a rozłożywszy suche i długie ramiona, jak męka pańska na rozdrożu, milcząc, stał i giestem pokazywał, że z jednej strony była wówczas „polska'', a z drugiej „niemiecka'' krew.

Wąs mu wtedy szroniasty drżał nad niemą wargą, a zresztą żaden z willisenowskich słupów nie był bardziej nieruchomy i więcej milczący.

Co niedziela paradował Dzieszuk ze swoją książką od pacierza na mszy żołnierskiej, którą proboszcz dywizyjny wczesnym rankiem u Fary miewał.

Piękna to rzecz była widzieć, kiedy w długiej pojezuickiej nawie parami się ustawiła wiara z winiarskiego fortu, mając nad sobą, jak sztandar krótko strzyżony łeb Dzieszuka, który wzrostem nad wszystkimi górował. Czasami łeb ten, szronem pokryty, zdawał się być wysoko, jakby nim Dzieszuk chciał dostać tych gwoździ, którymi przybite były nogi ukrzyżowanego w ołtarzu Chrystusa i bić o nie czołem.

Patrzyli też na niego młodsi, jakby w tęczę, a niejeden, co księdza nie dojrzał i dzwonka nie pojął, ruchami owego łba Dzieszukowego w słuchaniu mszy się rządził.

Stał Dzieszuk, stali wszyscy, jakby w ziemię wrośli; klękał — klękali, niby las podcięty; bił się w piersi — głuchy łomot setek rąk, w kułak złożonych, rozlegał się, jak stłumione uderzenia młotem.

W jednem tylko nie mogli podkomendni naśladować wachmistrza swojego, a mianowicie w tym wspaniałym geście[4]), jakim Dzieszuk książkę swoją z futerała wyciągał, złocone jej karty otwierał, a podniósłszy do wysokości uzbrojonego w okulary potężnego nosa, na całą długość ramion wyciągniętą przed nim trzymał. Tego stanowczo nie mógł naśladować nikt, i na tym punkcie pozostał Dzieszuk niedościgłym wzorem.

Niemniej wszakże czuła się wiara dumną z posiadania wachmistrza, który ma tak piękną książkę, a co niedziela ścisk był około Dzieszuka, bo każdy rad był choć futerał od niej podczas nabożeństwa trzymać.

Nie byle komu powierzał go Dzieszuk i nie wpierw w ręce dał, aż ostrym swoim wzrokiem na wylot kandydata do trzymania przebrawszy, uprzytomnił sobie jego całotygodniowe sprawki. Boże broń „makuły'' jakiej i „zatrząśnienia oczu'', jak mawiał. Uważano też niemal owo trzymanie futerała za niższy jakby stopień służenia do mszy, a Dzieszukowe czytanie z książki, jakby za celebrę [5]).

Umiał wszelako Dzieszuk być wspaniałomyślnym, a kiedy wiara dobrze się sprawiała, to półgłosem modlitwy zwolna czytał, aby je najbliżsi słyszeć mogli. Pomdlały mu

[1]) Wojnę szlezwiską prowadziły Prusy z Danią w 1864 r.
[2]) Wojna francusko-pruska z 1870 i 1871 r.
[3]) Głównodowodzącego ze strony Prus w Szlezwiku.
[4]) Ruchu.
[5]) Odprawianie mszy.

nieraz srodze od trzymania książki onej ręce; ale nie wpierw ją składał aż ksiądz Cydzik, zrzuciwszy ornat po mszy, w albie tylko u ołtarza stawał i obróciwszy na kościół twarz szczupłą, bladą i przeźroczystą niemal, znakiem krzyża, szeroko zakreślonym w powietrzu nad pochylonemi głowami żołnierzy, zaczynał naukę niedzielną: „W imię Ojca, i Syna, i Ducha świętego“.

Żegnał się wtedy Dzieszuk, żegnała za Dzieszukiem wiara, a po całej nawie szedł szmer jednostajny, aż ucichł gdzieś u drzwi, u kruchty.

Proste były nauki ks. Cydzika, ale i Dzieszukowi i podkomendnym jego niezwykle trafiały do serca. Cichy, delikatny głos mówcy przejmował serca te nawskroś już dźwiękiem samym: tak, że ledwo ksiądz usta otworzył, już się dawało słyszeć w szeregach powstrzymywane sapanie.

Dzieszuk i w tem przecież karność utrzymać potrafił. Jakże to? To jeden będzie sobie w wąsy dmuchał, a drugi nie będzie słyszał nauki przez niego? Jeszcze co!... Oglądał się tedy marsem, chrząkał, a sapanie wnet cichło po kątach.

Dopiero kiedy wachmistrz dobył czerwonej, bawełnianej chustki i nos potężny nią utarł, a westchnął sobie z głębi, wolno było pofolgować wezbranemu serca.

Wtedy to, jak na komendę, ucierała wiara nosy, a strzeliste westchnienia unosiły się, jak wiatr, aż pod wielki, kryształami obwieszony, świecznik, którego płomyki też zaczynały migotać i mrugać, jak oczy do płaczu gotowe.

Płakano wszakże przy większych tylko okazyach. Ot, kiedy na ten przykład, Dzieszuk z książki swojej zagrzmiał na mszy pasterskiej: „Bóg się rodzi, moc truchleje“; albo kiedy na wielkopiątkowej pasyi ryknął wielkim głosem: „Jezu Chryste Panie miły, Baranku bardzo cierpliwy!“ — lub kiedy wreszcie, podczas rezurekcyi, jak z moździerza huknął: „Wesoły nam dziś dzień nastał!“ Tę pieśń lubił szczególniej, a w miarę, jak ją śpiewał, głos jego młodniał i nabierał słodyczy, tak, że przy słowach: „Witajże Jezu najsłodszy, Synaczku mój najmilszy“, podobny był gruchaniu gołębia, który, lubo przytwardy już nieco na pieczeń, tokować przecież nie zapomniał jeszcze.

Słodycz ta pozostawała mu w głosie i w spojrzeniu na cały ten tydzień, który raz na zawsze spędzał u kuma swego, strażnika trzeciej bramy w winiarskim forcie, Wojciecha Kociały, igrając z dziatkami jego i pożywając dar boży, iż to sam sierota stary, domu swego i ogniska nie miał, odkąd syn jego jedyny, pod Odolanowem...

Nie kończył tego wachmistrz Dzieszuk nigdy; ale się przy słowach znów stawał podobny do willisenowskich słupów.

A ot i dziś, wielkiego dnia po Wielkiejnocy i święconego jajka Bóg doczekać dał. Od wczoraj już fort cały pełen był zapachów gorącego ciasta i mięsiwa, które zagłuszała nieco czeremcha kwitnąca bujnie i rozgrzana słońcem kwietniowem.

Dzwony u Fary biją a biją, jakby pęknąć miały, a Dzieszuk nie śpieszy się jakoś. A czego się śpieszyć?

To nie ksiądz Cydzik będzie dzisiaj mszę żołnierską odprawiał. Złe jakieś szepty chodziły już oddawna po winiarskim forcie, ba, po mieście całem. Gadali ludzie, że nowy proboszcz przybywał zdaleka; gadali, że nawet po polsku nie umie...

Nie umie? Jakżeby to? Po jakiemużby się tu z ludźmi dogadał?

Tak sobie Dzieszuk rozumował, ale jakby mu mrówki po sercu lazły.

Ksiądz Cydzik od kilku dni nie wychodzi z domu. Powiadają, że chory. Może chory, a może i nie chory. Może to tylko polityka taka. Jak politykować nie ma, kiedy od piątku na cudzych jakby śmieciach siedzi, bo się już nowy proboszcz sprowadził z betami, z gratami, z kurami, ot i z tym kałakutem przeklętym, a dziś pierwszą mszę żołnierską ma mieć...

— A no, da się to widzieć! Przestał mundur czyścić, wdział na siebie i ruszył naprzód.

Wchodzi wiara, jak zawsze, dwójkami do Fary, a łeb Dzieszuka wyżej jeszcze niż zwykle nad wszystkimi sterczy.

Na prawo, przed ołtarzem, klęczący w ławeczce ksiądz Cydzik, w starej swojej, znoszonej sutannie. Obie ręce złożone na wytartym brewiarzu, na rękach oparte czoło; z boku tylko widać nieco twarz jego zmizerowaną i żółtą, jak wosk.

Zaruszał się wąs szroniasty nad wargą Dzieszuka, ale nic. A tuż zaraz i dzwonek brzęczy u drzwi zakrystyi.

Wszedł nowy proboszcz — wspaniała osoba — i tubalnym głosem zaintonował „Asperges“. Rozstąpiły się dwójki na obie strony nawy a celebrant ruszył środkiem, poprzedzony przez wylękłego i plączącego nogami chłopaka z kubełkiem wody, w komeżce.

— Niema co, wspaniała osoba! Gdzie tam do niego księdzu Cydzikowi! Czarna, kędzierzawa głowa, twarz mięsista, rumiana, świecące oczy; ręce białe i tłuste, ruchy zamaszyste. A buty skrzypią, jak u pana komendanta; a z pod kapy widać nową, błyszczącą sutannę, po ludziach bystro spogląda, jakby ich odrazu przeczuć chciał. Jaki taki oczy spuścić musiał.

Zaczęła się msza.

Ksiądz Cydzik nie podnosił głowy.

Zdawało się Dzieszukowi, że przez blade, cienkie palce klęczącego przesączyło się na brewiarz jakby kropel parę... i nagle coś przy sercu ścisnęło. Żeby sobie wybić próżne myśli z głowy, dobył książkę i modlić się z niej zaczął. Ale modlitwa mu nie szła. Szczególniej go to stropiło, że nowy organista, który razem z nowym proboszczem nastał, trele jakieś wywodzi, a zwykłych pieśni wcale nie zaczyna.

I msza odprawiała się jakoś dziwnie krótko, węzłowato. Nie było w niej tych długich modłów, tych cichych zachwyceń dawnego proboszcza. Od „Introit“ do „Ewangelii“ — jakby z bicza trzasł. Połowy, gdzie! ćwierć zwykłych modlitw swoich nie zdążył Dzieszuk odczytać, kiedy już ksiądz „Credo“ śpiewał. Przed podniesieniem znów oczy od książki oderwać musiał wachmistrz, bo mu się zdało, że świece ciemniej się jakoś u ołtarza palą i że chyba połowa pogasła. Ale nie. Paliły się wszystkie. Tylko czemu ten organista nie zaczyna pieśni?

Ta pieśń doroczna, ta pieśń naśpiewana tak mu wierciła w głowie, że, padłszy na kolana przy podniesieniu, bił się w piersi jak na „Agnus“ [1]) a za nim wiara grzmociła się tak samo, aż do ostatniego.

Ksiądz Cydzik klęczał nieporuszony. Zdawało się, iż to jest figura kamienna, której nadano twarz ludzką, bardzo bladą.

Po „Podniesieniu“ szronowaty łeb Dzieszuka obrócił się ku chórowi. Natychmiast wiara uczyniła to samo. Na chórze wszakże nie odezwała się pieśń oczekiwana.

Dzieszuk zupełnie modlić się nie mógł. Trzymał wprawdzie książkę swoją na wysokości nosa, , ale litery i wiersze migały mu przed oczyma, jak czarne punkta i wężyki. Wydłużał i przeciągał ręce, ale to nie pomagało.

Westchnął nareszcie z uczuciem ulgi, kiedy ksiądz wysokim tonem zaśpiewał: „Ite missa est [2]) — Alleluja!“

Ano, kiedy „Alleluja“, to już dobrze. Przynajmniej

[1]) Baranek Boży.

[2]) Idźcie, msza skończona.

się wie, że to po polsku. Już chrząknął, już wydął piersi, już nogi dla pewniejszego dobycia głosu rozstawił, kiedy nowy proboszcz, zrzuciwszy ornat, przed ołtarzem, w albie, z sutą u szyi wstęgą żółtą do nauki stanął i, zakreślając szeroko w powietrzu nad zebranymi znak krzyża, donośnym odezwał się głosem:

„*Im Namen des Vaters, des Sohnes, und des heiligen Geistes...* [1]) — Amen!“

Dzieszuk, który już do czoła rękę był podniósł, spuścił ją, jak paraliżem tknięty.

— Co to? Co to jest? Co to ma znaczyć?

— *Meine theueren Brüder!* [2]) — zaczął ksiądz swoją przemowę.

— Chryste! To naprawdę?... Chryste! Chryste! Chryste!

Wypadła z głuchym łoskotem książka z rąk Dzieszuka, a ręce te, drżące i kościste ręce podnosiły się zwolna coraz wyżej ku krzyżowi.

Wiara patrzyła na niego, jak w obraz cudowny. A łeb Dzieszuka razem z rękoma podnosić się zdawał tuż, tuż do nóg Ukrzyżowanego. Jeszcze chwila, a dostanie on nóg tych rękoma, oplecie je, uściśnie; i włóczyć się będzie u tych stóp przebitych i nie puści, póki go tu zaraz nie przeżegna po polsku ksiądz Cydzik, póki Mateusz, stary organista, nie zagrzmi: „Wesoły nam dzień dziś nastał“.

Wesoły... Chryste! Chryste! Toż dzień sądu, a nie dzień wesela. Chryste! to takie zmartwychwstanie Twoje To nie zmartwychwstanie, ale męka! Męka, i krew, i żółć, i przebicie boku włócznią!... Słońce i gwiazdy się zaćmiły, ziemia się wstrzęsła, powstali z grobu umarli!... Boże, Boże! czemuś mnie opuścił? Boże, Boże! czemuś mnie opuścił?...

I ryknął stary Dzieszuk nagłym płaczem, i padł na kolana i, wpatrzony w Chrystusa ukrzyżowanego, wielkim głosem zaczął śpiewać:

„*Któryś za nas cierpiał rany,*
Jezu Chryste zmiłuj się nad nami“.

A za nim wiara tuż na kolana i w szloch, i w ono błaganie żałosne...

Stropił się nowy proboszcz u ołtarza, pomylił, z drugiego końca zaczął, i znów się pomylił, ale nauki nie przerwał. Chłopaka tylko w komeżce w bok szturchnął, wskazując mu palcem Dzieszuka.

Chłopak podszedł do wachmistrza i trącił go w ramię. Nic. Trącił go tedy powtórnie. Ale Dzieszuk nie czuł tego nawet. Zdawało mu się, że słyszy wbijanie nowych słupów willisenowskich. Wszakże on je pamięta dobrze. Od Noteci [3]) stały, od Krotoszyna, od Międzychodza, od Kępna [4]), ale nie tu, nie tu, nie tu! Tu nie było ani jednego! On wie, że nie było, on przysiądz gotów!

I rozpostarł ręce i, twarzą na ziemię ległszy, rozkrzyżował się szeroko na kamiennych taflach, jakby broniąc przystępu tym słupom, które się same poruszały i coraz dalej szły, szły...

Ksiądz Cydzik klęczał nieruchomy z pochyloną na ręce twarzą, a jego wątłą postacią wstrząsało wewnętrzne łkanie.

Dawno już się nauka skończyła, a ksiądz Johann Wurst przez zakrystyę na plebanię wracał, kiedy Dzieszuk oderwał swój łeb siwy od kamiennych tafli podłogi, podniósł się, zatoczył i jak pijany ku drzwiom iść zaczął, zapomniawszy, po raz pierwszy, zabrać książkę swoją.

[1]) W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.
[2]) Moi drodzy bracia.
[3]) Noteć — rzeka, dopływ do Warty, z którą razem wpadają do Wisły.
[4]) Krotoszyn, Międzychód, Kępno — miasteczka w W. Księstwie Poznańskiem.

Przy drzwiach trącił go Kociała.

— Ej, co tam kumie! Dajcie spokój! Czekamy ze święconem jajkiem...

— Kto święcił? — zapytał głuchym głosem Dzieszuk.

— A któżby?... Nowotny...

— Pożywajcie z Panem Jezusem — odparł Dzieszuk i powlókł się na kwaterę.

Tu rzucił mundur, padł na tapczan, ukrył głowę w ręce, i długo widać było, jak się wstrząsa jego grzbiet kościsty.

Nad wieczorem rozbudził się, zjadł kawał czarnego żołnierskiego chleba i, zapaliwszy fajkę, zaczął chodzić po szczupłej stancyjce.

Chodził długo. Już w forcie winiarskim wszystkie światła zgasły, a jeszcze jego ciężkie kroki rozlegały się wśród cichej nocy.

Niebo tymczasem zaciągnęło się lekkiemi chmurkami, a ciepły, rzęsny deszcz wiosenny uderzył z pluskiem grubych kropli w ziemię.

Zatrzepotał się wtedy na grzędzie olbrzymi kalakut i zapiał na tę zmianę swym grobowym głosem.

Dzieszuk drgnął i nagle stanął. Stał przez chwilę, potem zarzucił stary lejbik, czapkę nacisnął na uszy i wyszedł, przyciszając kroku.

Nazajutrz kucharka księdza Wursta podniosła okrutny lament. Ulubiony kalakut nowego proboszcza leżał wyciągnięty tuż pod żerdzią, która mu za grzędę służyła. Grube jego, pierzem obrosłe nogi sterczały skulonymi pazurami wysoko do góry, szyja była skręcona, przy silnym dziobie nieco krwi zaschłej.

Była to zapewne „niemiecka krew.“

Marya Konopnicka.

Czerwony znak.

7) Z włoskiego tłumaczył A. P.

— Bardzo chętnie, — zawołał Grek i wyszedł z pokoju. Za nim udali się wszyscy do przedsionka.

Popiersie marmurowe i filar zostały wypakowane bardzo prędko, a baronowa tak była zachwyconą tem małem arcydziełem, że kazała je natychmiast przenieść do swego buduaru.

— Jest to prześliczne! — wołała z uniesieniem. — Jaka słodka, cudna twarzyczka! Co mówisz na to? — spytała Stelli, zapominając, że młoda dziewczyna nie rozumie słowa po angielsku.

Hamilton spojrzał teraz także na Stellę i zdumiał. Wszakże marmurowa twarz dziewczynki i twarz Stelli były do siebie tak podobne jak dwie krople wody! Patrzał raz na figurę, raz na Stellę — lecz nie, nie mylił się — były to te same usta, ten sam nos i zupełnie tak samo zaczesane włosy. I teraz przypomniało mu się, że gdy pierwszy raz spojrzał na tę figurę w składzie Macropulo, już mu jakieś podobieństwo do kogoś podpadło — był pewnym, że twarz tę widział już kiedyś w życiu, ale daremnie szukał w pamięci gdzie i kiedy. I teraz usiłował jeszcze wmówić w siebie, że wszystkie ładne włoskie dzieci są do siebie podobne i że...

— Mamo! — zawołała w tejże chwili Emilka zdziwiona, — przecież to panna Stella!

Baronowa roześmiała się, lecz gdy spojrzała i na popiersie i na Stellę, rzekła niemniej zdziwiona:

— Rzeczywiście — podobieństwo jest uderzające!

— Czy ta pani zna może twórcę tego dzieła? — odezwał się teraz Macropulo, obserwujący uważnie całą tę scenę.

Stella nie rozumiała wprawdzie ani słowa tej rozmo-

wy, ale widząc wszystkich oczy zwrócone na siebie, domyśliła się, że ona właśnie jest przedmiotem ogólnej uwagi.

— O co to chodzi? — spytała Hamiltona.

— Jesteśmy wszyscy tego zdania, — odrzekł po włosku, — że twarz pani i twarz tej dziewczynki są bardzo do siebie podobne. Pan Macropulo zaś pytał, czy pani znasz może rzeźbiarza...

Stella spojrzała na figurę z widocznym przestrachem i Hamilton zauważył, że zbladła.

— Jak się nazywa ten artysta? — szepnęła drżącym głosem.

— Caradini, Alfonso Caradini, — odrzekł Grek teraz również po włosku. — Jest to młody, bardzo uzdolniony człowiek i ma już sławę w świecie artystycznym. Dostaje dużo zamówień z Anglii i przyjeżdża często nawet do Londynu!

Usłyszawszy nazwisko Caradini, odetchła Stella lżej i twarz jej przybrała znowu lekki rumieniec. Nikt, oprócz Hamiltona nie zauważył jej poprzedniego zmieszania się i teraz jeszcze zdawało mu się dostrzegać pewien niepokój w jej oczach.

— Jest to przypadkowe podobieństwo, — rzekł, chcąc jej dać czas do odzyskania swobody i pragnąc zwrócić rozmowę na inny temat. Lękał się bowiem, aby Macropulo nie powziął jakiego podejrzenia, nie dowierzał zgoła nic temu przebiegłemu Grekowi.

I zwrócił się do baronowej z zapytaniem, gdzie popiersie ma być umieszczonem.

— Czy tu w buduarze czy w salonie?

— Życzyłabym sobie mieć to arcydzieło tutaj, rzekła baronowa, — i zdaje mi się, że lepszego miejsca nie znaleźlibyśmy nigdzie!

— W takim razie wszystko załatwione, panie Macropulo! Dziękuję panu, że sam się trudziłeś!

Grek ukłonił się bardzo grzecznie i zwrócił się ku drzwiom.

— Jeżeli zobaczę Caradiniego, — rzekł, zatrzymując się jeszcze na chwilę przed baronową, — to powiem mu, że dzieło jego znalazło gościnne przyjęcie w domu, w którym umieją uznać i ocenić sztukę!

Jeszcze nizki ukłon i drzwi zamknęły się za nim.

Po jego odejściu stała Włoszka długo, w głębokich pogrążona myślach, obok figury marmurowej, a gdy służący odwołał baronową, został Hamilton z nią sam w salonie.

— Dziwne to bardzo! — szepnęła Stella. — Henryk Poiton chciał raz koniecznie modelować moją rękę. Jest to moja sama ręka, — dodała, wskazując na marmurową rączkę dziewczynki.

— W każdym razie bardzo do niej podobna, — odpowiedział Hamilton.

— Ale patrz pan tu, — zawołała nagle, podnosząc drugą rękę i pokazując mu pierścionek, jaki miała na palcu.

Był to staroświecki, dziwnie zrobiony pierścionek, który można było poznać pomiędzy setkami innych pierścionków. W czworograniastem zagłębieniu znajdował się piękny sardoniks, z wypukło wyrytym krzyżem maltańskim, podczas kiedy reszta obrączki pokryta była cała siatką cienkich, złotych nici. I taki sam pierścionek, starannie wyrzeźbiony, miała marmurowa dziewczynka na palcu.

Spojrzenia Hamiltona i Stelli spotkały się. Hamilton czytał w jej sercu jak w otwartej księdze.

— Wiesz pani, — rzekł cicho, — wcale nie jest niemożliwem, że Caradini i Henryk Poiton, to jedna i ta sama osoba. Ale proszę, nie myśl pani teraz o tem. Baronowa wraca!

— Ten człowiek wszędzie mnie ściga, — szepnęła Stella.

Baronowa prosiła Hamiltona, aby został u niej na śniadaniu, lecz Hamilton zaproszenia tego nie przyjął. Zadanie jego w tym domu było chwilowo skończone, i teraz dopiero czuł potrzebę wypoczynku po tych dniach pełnych wzruszeń i niepokoju.

Z tem wszystkiem był dumny na to, że chociaż tym razem wyprowadził Macropula w pole. Grek musiał odejść ztąd w przekonaniu, że ani kupno figury ani obecność Stelli w domu barona Ravendale, nie mogło mieć styczności z sprawą sprzysiężonych. Musiało i to zmylić jego czynność, że Hamilton nie zdradzał żadnej chęci zatajania ani swej znajomości z córką Alfreda Garcji ani swego nazwiska. Jak się Hamilton z podsłuchanej wczoraj rozmowy dowiedział, przyszedł Macropulo dzisiaj tu jedynie w celu szpiegowania, lecz odszedł bezwątpienia z przekonaniem, że wszelkie jego podejrzenia były bezpodstawne. Jeżeli ucieczka Cevanciego nie była dotąd jeszcze odkryta, to wszystko przemawiało za tem, że zamierzona wyprawa policyantów dzisiejszej nocy jak najlepsze będzie miała powodzenie. Hamilton miał teraz dużo jeszcze wolnego czasu i po zjedzeniu śniadania w jakiejś małej, lecz dobrej restauracyi, udał się na odczyt jednego z profesorów uniwersyteckich. Miał szczery zamiar słuchania wykładu, lecz nie mógł zebrać myśli. Uśmiechał się, gdy się inni uśmiechali i klaskał w ręce, gdy inni klaskali, czuł bowiem nieustannie wlepione w siebie spojrzenie „Anioła''. Nie widział okropnej tej kobiety, lecz przeczuwał jej obecność i dla tego musiał odgrywać człowieka zupełnie spokojnego i swobodnego, aby uśpić jej czujność i rozproszyć jej podejrzenie.

Wykład skończył się nareszcie, i ciemno już było na dworze, gdy wrócił do domu. Prosił pani Brown o herbatę i cokolwiek zimnego mięsa, i podczas kiedy nakrywała stół rzekł do niej nagle:

— Ach, byłbym prawie zapomniał! Daj mi pani dziś jeszcze raz klucz od ogrodu i nie gaś lampy, gdy wyjdę. Chciałbym, aby wyglądało z ulicy tak, jak gdybym był w domu. Ale gdyby kto przyszedł, powiedz pani, że jestem zajęty i że pod żadnym warunkiem nikogo przyjąć nie mogę.

Pani Brown przyrzekła wypełnić wszystko sumiennie, lecz poczciwa ta kobieta umierała z ciekawości.

— Ach panie doktorze, — szepnęła, — po co takie tajemnice! Ja słowa nie powiem, ale.....

— Wiem, wiem, — przerwał Hamilton, — znam dyskrecyę pani, i za dwa lub trzy dni dowiesz się pani wszystkiego!

Godziny wydawały mu się teraz nieskończenie długie — chciał czytać, lecz zanadto był rozdrażniony. Z oczami zwróconemi na skazówki zegara, przechadzał się po pokoju, niecierpliwy i dziwnie niespokojny.

Na zegarze była ósma.

Jeszcze całe pół godziny! Czy się to dziś wcale nie skończy?

— Ah, nareszcie! Wpół do dziewiątej! Nareszcie!

Z uczuciem nieopisanej ulgi ubrał się Hamilton i wyszedł do ogrodu — ciemną, wązką ścieżką, o której istnieniu nie wiele ludzi wiedziało.

Na bocznej uliczce, na którą ogród wychodził, nie było nikogo i Hamilton udał się spiesznie do hotelu Russel, gdzie mu Saint-John kazał czekać na siebie.

Ale i tu była cierpliwość doktora na ciężką narażona próbę. Wypił najpierw szklankę porteru, wypalił cygaro, przejrzał gazety wieczorne, lecz w rzeczywistości nie widział wcale, co czyta, co pije i co pali, i tak musiał czekać przeszło godzinę.

Z uderzeniem dziesiątej wszedł detektiv Scot do

— Wszystko w porządku, — rzekł, siadając obok Hamiltona. — Ale ja wolę tutaj powiedzieć panu to i owo. Nie masz pan nic przeciwko temu, aby jechać wozem od mebli z pewną liczbą żandarmów?

— Co to ma znaczyć? — zapytał Hamilton, nie rozumiejąc jeszcze dobrze o co chodzi.

— Otóż to, — odrzekł detektiv uśmiechając się, — że trzydziestu żandarmów pojedzie w wozie od mebli od gmachu policyi aż do owego podwórza w dzielnicy Soho. To jest — przed podwórze samo nie zajedziemy prędzej, aż nam dadzą znak, że łotry, których ścigamy, są wszyscy zgromadzeni. Wtedy otoczymy dom i podwórze w przeciągu kilku minut. Ale teraz czas w drogę, nie mamy ani chwili do stracenia. Weź pan paletot i podnieś kołnierz tak, aby ci twarz jak najbardziej zakrył.

Wśród żartów i śmiechu wsiadali policyanci do ogromnego krytego woza, stojącego w podwórzu gmachu policyjnego. Po obydwóch stronach ustawiono ławki, na których zasiadło po piętnastu policyantów, jeden obok drugiego, jak śledzie w beczce. Jedni mieli mundury, inni byli po cywilnemu ubrani. Hamilton usiadł tuż przy drzwiach. Gdy zamknięto drzwi, i gdy w wozie zapanowała zupełna ciemność i milczenie, ogarnęło Hamiltona dziwne, nieprzyjemne uczucie. Zdawało mu się, że jest trupem, w wozie pogrzebowym, że koło niego mnóstwo innych znajduje się trupów, pomimo, że ciała siedzących obok niego ludzi były ciepłe i żywe.

Nareszcie wóz stanął. Głęboka cisza w około. Słychać tylko było oddech policyantów......

Hamiltonowi wydawała się chwila ta wiecznością.

Nagle dosłyszał po za drzwiami woza cichy szept — ktoś furmanowi powiedział kilka słów i konie żwawiej ruszyły. Jeszcze jeden ostry skręt potem błysnęły światła — drzwi otworzono prędko i policyanci zerwali się z ławek. Hamilton podniósł się także.

Jeden z starszych urzędników wydawał rozkazy, a każdy policyant wiedział już poprzednio, jak się ma zachowywać i na jakiem ma stanąć miejscu. W nadzwyczaj krótkim czasie opuścili wszyscy wóz i jak cienie, jak duchy otoczyli nietylko dom Macropula, ale i sąsiednie kamienice.

Teraz też ujrzał Hamilton po raz pierwszy Saint-Johna i zbliżył się do niego.

— Dobry wieczór, — rzekł cicho.

— Dobry wieczór, — odpowiedział dyrektor policyi. — Chodź pan ze mną, ale ostrożnie.

Obydwaj weszli na podwórze. I tu cicho było wszędzie, lecz przy blasku ślepej latarni ujrzał Hamilton kilku obok siebie stojących policyantów, tuż przy wejściu ukrytem pod belkami.

— Siedmiu mężczyzn weszło zaraz po dziesiątej do domu, — szepnął oficer, — jeden po drugim. Wszystkie możliwe wejścia są obsadzone, i z frontu i z boku. Kilku z moich ludzi weszło nawet na dach. Sprzysiężeni nie mogą nam ujść, oporu także się nie spodziewam. Ci ludzie nie myślą o walce, gdy widzą przemoc.

— Gdzie ja mam się umieścić? — zapytał Hamilton.

— Pan idziesz ze mną!

W tejże chwili zapukał oficer trzy razy mocno do drzwi.

Hamilton nie śmiał oddychać.

Żadnej odpowiedzi — w domu nic się nie ruszało.

Oficer zapukał po raz drugi, mocniej — lecz i na to nikt nie odpowiedział.

Wszędzie cisza grobowa.

— Otwierać! W imieniu prawa, — krzyknął głośno. Cisza!

— Wybić drzwi! — zakomenderował oficer i w tej samej chwili roztrzaskała w pogotowiu trzymana siekiera z przerażającym łoskotem drewniane drzwi. Jeszcze kilka uderzeń i cała rama wypadła na ziemię. W sieni zupełnie było ciemno, ale przy blasku kilkunastu w górę podniesionych latarni ujrzeli policyanci wejście i ci, którzy stali najbliżej drzwi, wbiegli szybko do środka składu.

Swiatło przesunęło się wzdłuż całej galeryi — policyanci rozsunęli portyery, odepchli krzesła i stół, przewrócili deski z figurami, przeszukali wszystkie kąty, obejrzeli każdy przedmiot i nie znaleźli nikogo.

Oprócz nich nie było tu żadnej żywej istoty.

Hamilton osłupiał. Wstydził się niezmiernie dyrektora policyi — bo takiego skutku swych starań i poszukiwań nie spodziewał się wcale. Opowiadał dyrektorowi niestworzone rzeczy o tajnych związkach, o tajemniczych znakach, o nocnych zebraniach, naraził tylu ludzi na bezsenną noc, a tymczasem wszystko okazało się jedynie wymysłem jego wyniklej bujnej wyobraźni! Wiedział, że okrył się śmiesznością na całe życie i blizkim był rozpaczy.

Lecz nagle błysnęła mu nowa myśl. Jednym skokiem stanął przy stole, odepchnął go ku ścianie i schwycił cylinder wiszącej nad nim lampy.

— Panie Saint-John! — krzyknął uszczęśliwiony, — przekonaj się pan, cylinder jeszcze ciepły! Sprzysiężeni musieli pokój ten opuścić przed kilku minutami!

— W takim razie nie muszą być daleko, — odrzekł Saint-John. — I nie ujdą nam!

ROZDZIAŁ 15.

Saint-John wiedział teraz napewno, że sprzysiężeni byli tu zgromadzeni, że za zbliżeniem się policyi zgasili lampę, i że wszyscy ratowali się ucieczką. Jak oficer powiedział, weszło od strony podwórza siedmiu mężczyzn — jeden po drugim, lecz żaden z nich tą samą drogą domu nie opuścił, bo przy każdem wejściu stali policyanci. W kilku sekundach zapełniła się uliczka i podwórze policyantami, i pomimo najusilniejszych poszukiwań, trzeciego wyjścia nikt znaleść nie mógł. Z drugiej strony podwórza stał gładki mur ogromnego, czteropiętrowego domu — tamtędy więc nawet kot nie mógłby uciekać. Na podwórzu zresztą stali ciągle policyanci i nie widzieli nikogo, żaden z tych, którzy weszli, nie wyszedł.

W wszystkich pokojach znajdowali się policyanci, szukając z niesłychaną gorliwością sprzysiężonych, lecz nie znaleźli nikogo.

Saint-John był teraz przekonany, że albo ukryli się na strychu, albo małemi, bocznemi okienkami uciekli na sąsiednie dachy.

Pokoje leżące nad składem Macropula nie miały z parterem żadnego połączenia. Służyły one jako skład starych mebli i należały do handlarza, który na końcu ulicy miał jeszcze jeden sklep i mieszkanie. Lokatorzy sąsiednich kamienic, zdumieni taką ilością policyantów na ich cichej, małej uliczce, zebrali się teraz tłumne przed domem Macropula, tak, że urzędnicy musieli ich rozpędzać prawie przemocą. Ów handlarz mebli pojawił się także, a słysząc o poszukiwaniach w domu, w którym miał złożone meble, otworzył natychmiast wszystkie pokoje i pomagał sam w szukaniu zbiegów. Leżało tam mnóstwo starych rupieci, lecz po kilku minutach przekonali się policyanci, że tam nikt się nie ukrył.

Saint-John kazał potem zwrócić uwagę na dachy, że jednak już poprzednio weszło trzech policyantów na dach domu Macropula przeto i tą drogą nikt uciekać nie mógł.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Prosimy przy zamówieniach powoływać się na „Pracę".

Dr. Parczewski

b. asystent uniwersyteckich klinik w Strasburgu i chirurgicznej kliniki we Wrocławiu

osiedlił się jako

lekarz prakt., specyalista w chirurgii, chorobach pęcherza i nerek

687

w Poznaniu

Berlińska ul. 1, wejście z ulicy Rycerskiej.

Z. Rittera proszek do prania

bieli i konserwuje bieliznę!



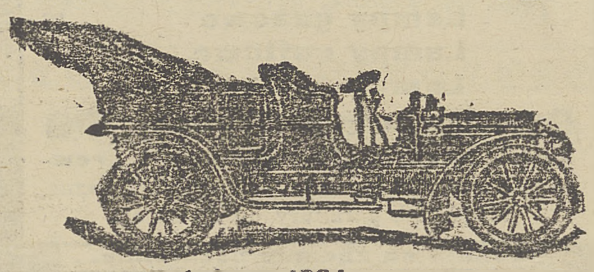
Praktyczne i rozsądne gospodynie używają do prania bielizny tylko Rittera proszek 66

„Lessive Albin."

Proszek ten pod gwarancyą bez kloru jest nieoceniony do prania i bielenia bielizny oraz materyałów wełnianych i bawełnianych, jedwabi, flanel i innych tkanin, również najtańszym i najlepszym środkiem do czyszczenia wszelkich sprzętów kuchennych, szkła, płyt marmurowych, garnków, drzwi, okien, podłóg i aparatów do piwa. Do nabycia w paczkach po 25 fenygów w drogeryach i handlach kolonialnych a gdzie nie ma na składzie wysyła się franko 8 paczek za 2 mk. Przy zakupnie proszę uważać na mój znaczek ochronny z moim podpisem, **Chemiczna fabryka Z. RITTERA Poznań, Św. Marcin 20.**

Samochody

osobowe i ciężarowe najsławniejszych fabrykatów krajowych i zagranicznych poleca po cenach fabrycznych, **używane** oddaję **po nader przystępnych.**



Założony 1894.

Utrzymuję 41

skład pneumatyków i przyborów.

Fachowy warsztat do naprawy.

Garage.

St. Brzeski

POZNAŃ, św. Marcin 64.

Telefon 1101.

Spółka Stolarska

Tischler-Rohstoff- u. Absatzverein e. G. m. b. H.

Poznań, ul. Jezuicka 5.

Telefon 207. poleca założona w r. 1894.

Wyprawy dla nowożeńców.

Specyalność: 525

wyprawy obywatelskie.

Meble stylowe.

tanio! wielki wybór!

Pismo jak **„PRACA"** powinno znajdować się w każdym domu szczerze polskim. Abonament kwartalny wynosi na poczcie tylko

1,25 mk.

Oszczędności

przyjmuje płacąc 4% za kwartalnem, zaś 4½% za półrocznem wypowiedzeniem. 213

BANK LUDOWY

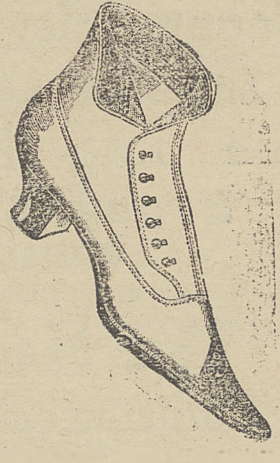
E. G. m. unb. H.

KCYNIA — EXIN.

Chwała Polski. Piękny obraz kolorowy przedstawia **Dzieje narodu** w umiejętnie ułożonych portretach. Są tam królowie, hetmani, uczeni, rycerstwo polskie, konstytucya 3 maja, legioniści i czasy Kościuszkowskie. Cena **1,50 mk.,** z przesyłką **1,70 mk.** 420

K. KOZŁOWSKI, wydawca, **Poznań,** ulica Długa 8

„Talizman zdrowia i piękności" 80 fen. **Onanizm** (samogwałt) itp. 1,10 mk. Katech. zdrowotny dla małżeństwa 1 mk. Zwalczanie nerwowości 1,35 mk. Samopomoc w cierp. płciowych 1,85 mk. Życie płciowe i jego znaczenie 2,20 mk, Z elniczek lekarski (125 kol. obr.) 1,50 mk. Do nabycia w lepszych księgarniach lub wprost w eksp. „Przew. Zdrowia": *Czarnowski, Berlin N*, Weissenburgerstrasse 27. 113



Obuwie

damskie, męzkie i dla dzieci 315

na porę jesienno-zimową poleca **w wielkim wyborze** i po **cenach umiarkowanych** na każdem obuwiu wyznaczonych.

Specyalny zakład wytwornego obuwia

i pracownia do zamówień.

M. Zabłocki,

Poznań, Berlińska ul. nr. 16. — Telef. 2319.

Nowo otworzone! Nowo otworzone!

Nizkie ceny! Nizkie ceny!

J. W Maciejewski

ulica Nowa 11, narożnik Starego Rynku

poleca w wielkim wyborze

kapelusze, bieliznę, krawatki, parasole, laski, rękawiczki kamizelki

i wszelkie inne artykuły męzkie. 543

Usługa rzetelna! Usługa rzetelna!



Leon Pluciński, mistrz siodlarski

Poznań, św. Marcin 52/53.

Interes istniejący od roku 1875. 311



Kuferki ręczne od 2, 3, 4, 5, 6, 7—60 mk. **Kufry biglowe** z toaletowem urządzeniem z czekoladowej, żółtej i czarnej skóry od 20, 24, 27, 30—250 mk. **Torby i torebki damskie** ręczne i do przewieszenia od 1, 1,50, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 10, 12, 15—35 mk. **Fiedy** (zawinięcia) z żaglowca, **diery zimowe i latowe, siatki od much** w wielkim wyborze od 2,50, 3, 4, 5, 6, 8, 10-20 marek, **również wszelkie artykuły jak: baty, szczotki, bandaże, kapy na nogi, ostrogi i strzemiona, munsztuki i różne inne do konnej i powozowej jazdy.**

Zlecenia uskuteczni a się odwrotnie.

Przedsiębiorstwo miernicze i melioracyjne

Pankalla & Krenz

Poznań, ul. Wiktoryi 2.

wykonuje wszelkie roboty w zakres miernictwa i melioracyi wchodzące po najniższych cenach, a mianowicie:

1. Roboty drenarskie, wykonanie projektów do zawiązania spółek drenarskich, ulepszenia łąk przez osuszanie i nawadnianie, 40

2. Pomiary przez mierników zaprzysiężonych jako to: parcelowanie większych i mniejszych majątków gospodarstw, regulacye granic, pomiary gruntów miejskich i podział na place budowlane itd.

Baczność Rodacy! 510

Darmo i franko wysyłam na żądanie nowo wydany katalog na książki powieściowe, do nabożeństwa, obrazy, powinszowania, pocztówki narodowe itd.

Bardzo korzystny zakup!

I. Mrówczyński, Rawicz Rawitsch (Pr. Posen).

Kupcom

poleca **świeży**

olej siemienny

najtaniej 290

Artur Gustowski

Opalenica.

Znakomita książka kucharska 398

Makarego 730 obiadów

wielkich, średnich i małych, mięsnych i postnych, z opisem śniadań i wieczerzy, tudzież śpiżarni, sklepu i kuchni dla chorych, oraz pieczenia ciast i robienia konfitur.

Wielki format, papier gruby, druk bardzo wyraźny. str. 360.

Cena bez oprawy 2,20 m.; z piękną oprawą 3,00 m.

Wysyłamy tylko za zaliczką, doliczając 30 fenygów na porto, adresować prosimy Księgarnia Katolicka, Poznań ul. Jezuicka 5.

Uwaga. Makary był jednym z najlepszych kucharzy polskich, który sztuki gotowania uczył się w Francyi i Anglii, a wróciwszy z podróży po Europie, osiadł w Poznaniu i zarządzał kuchnią w Bazarze, największym hotelu tego miasta. — Potrawy w jego książce podane nie są wypisane z innych dzieł, lecz oparte wyłącznie na własnem długoletniem doświadczeniu i dlatego każdy przepis jest bardzo dobry i zaspokoić może największe wymagania.

Specyalność: WYPRAWY.

Stała wystawa. 12 okien wystawnych.

W. JANASZEK, Poznań

ul. Jezuicka Nr. 1

(w narożniku Starego Rynku)

Magazyn wypraw.

Porcelana. Wielki wybór ozdobnych serwisów stołowych na 6, 12, 18 i więcej osób.

Serwisy do kawy.

Szkło kryształowe gładkie, rznięte, grawirowane.

Kieliszki, szklanki, salaterki, talerzyki karafki, zastawy etc.

Lampy gazowe 37

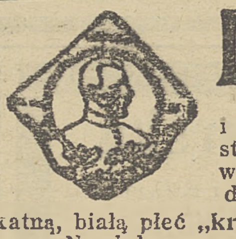
Lampy naftowe

Lampy spirytusowe.

Sprzęty kuchenne.

Emal. naczynia. — Stalowe i drewniane wyroby, szczotki, łóżka żelazne, umywalki, garnitury do mycia etc.

Cennik na żądanie bezpłatnie.



Piegi



i wszelkie nieczystości skórne usuwa szybko i nadaje twarzy delikatną, białą płeć **„krem i balsam nowski“** 3 mk.

Na słaby porost włosów jedyny rzetelny i wdzięczny środek jest **„balsam cebulany nowski“** 3 mk. — Setki podziękowań za doskonały skutek w krótkim czasie odebrałem. Dalej za dobry skutek na t. roczn. wystawie w Wiedniu pod protektoratem arcyksięcia Eugena najwyższą odznakę honorową t. j. złoty medal i krzyż honorowy otrzymałem. 399

H. Smyczyński, aptekarz

Chełmno — Culm a. W.

Zegarki kieszonkowe

Zegary ścienne, regulatory

Zegary stołowe, budziki,

Obrączki ślubne

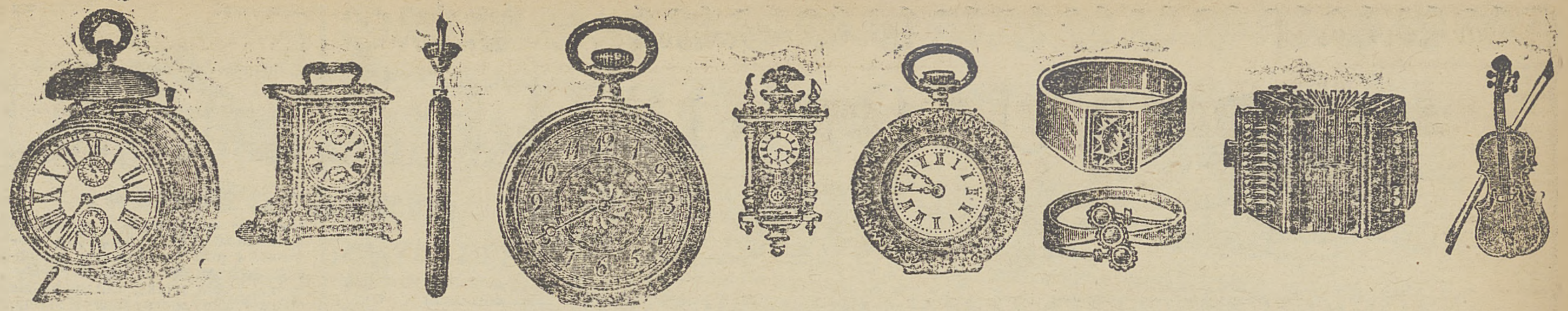
Broszki, Kolczyki, Łańcuszki

w bogatym wyborze poleca

W. Schultz,

w Poznaniu, ul. Nowa 7, w Bazarze

Interes założ. 1873 r. 56



Zegarki z 5-letnią piśmienną gwarancyą Ia. pierwszy gatunek.

NIKLOWE męzkie kluczykowe . mk. 5,40
POSREBRZANE z 2 złoconymi brzegami . . . . „ 5,90
NIKLOWE kluczyk. 6 kamieni Ia. „ 8,00
NOWOSREBRNE kluczyk. 2 złoc. brzegi 6 kamieni prima . . „ 7,75
CZYSTO SREBRNE 2 złoc. brzegi kluczyk. lub remontoarowe masyw mocne, najlepsze werki o 6 kamieniach znane z dobrego chodzenia . . . . mk. 10,00
Te same o 10 kamieniach . . „ 12,00
CZYSTO SREBRNE kluczykowe lub remontoarowe masyw mocne, najlepsze werki, 10 kamieni, złocone wskazówki i brzegi, znane z dobrego chodzenia
z wizerunkiem **MATKI BOSKIEJ** mk. 12,00
znacznie lepsze z Matką Boską . „ 14,00
a najlepsze z Matką Boską . . „ 16,00
CZYSTO SREBRNE damskie 6 kamieni . . . . . „ 8,50
dto. 10 kamieni prima . . „ 12,00
CZYSTO ZŁOTE 7 karat damskie 10 kam prima . . „ 16,00
dto. 10 kamieni Ia. prima . „ 18,00
dto. wspaniałe 10 kam. Ia. Ia. „ 22,00

Do zegarków z gwarancyą kapsułka lub etui darmo.

Sprzedaję taniej jak niejedna fabryka.

Jedyne największe, najtańsze i najrzetelniejsze źródło zakupna

a szczególniej dla sprzedających z drugiej ręki.

CENY HURTOWNO FABRYCZNE.

Wszelkie moje zegarki z oznaczeniem **5-LETNIEJ GWARANCYI**, są starannie obciągnięte i na minutę uregulowane.

OBAWY NIE MA ŻADNEJ, bo to, co by się podobać nie miało, lub istotnie nieodpowiedniem w tej cenie było, **PRZYJMUJĘ Z POWROTEM I WRACAM PIENIĄDZE.**

Trzeba się koniecznie przekonać, a kto nie kupi, toć trudno, sam sobie szkodzi. Zamówienia i podziękowania codziennie nadchodzą.

Proszę napisz pan **PO CENNIK** circa 2000 ilustracyi, a chętnie każdemu **DARMO I FRANKO** wysełam. 200

M. Danecki

Miejska Górka

(Görchen Bezirk Posen.)

Zegarki bez gwarancyi II-gi gatunek.

NIKLOWE męzkie rem., 12 godz. chodzące . . . . . mk. 2,45
dto. 30 godzin chodzące . „ 2,95
dto. lepsze 30 godz. chodzące. „ 3,50
STALOWE czarne lepsze remont. 30 godzin chodzące . . „ 4,25
CZYSTO SREBRNE remont. tylko lepsze 6 kamieni . . „ 6,75
dto. kluczyk. I tylko lepsze 6 kamieni . . . . . „ 6,85
dto. damskie tylko lepsze 6 kam. „ 6,95
dto. Ia. tylko lepsze 10 kam. . „ 8,50
ZŁOTE damskie 7 karat. Ia. tylko lepsze 10 kamieni . . . „ 13,75
BUDZIKI głośno dzwoniące . „ 1,85
BUDZIKI z większym dzwonkiem „ 2,65
BUDZIKI z muzyką . . . „ 6,40
HARMONIKI 2 klucze 48 głosów „ 3,00
HARMONIKI 3 klucze 70 głosów „ 5,00
HARMONIKI 4 klucze 90 głosów „ 6,00
SKRZYPCE z smyczkiem dla dorosłych . . . . . „ 5,00
dto. lepsze dla dorosłych. . „ 7,00
dto. z silnym głosem . . „ 9,50
BRZYTWY jedynie dobre pod gwarancyą za każdą sztukę

Nr.	50	51	53	54	56	60
mk.	1.20	1,40	1,75	2,16	276	3,75

już gotowe do użycia.

Biuro melioracyjne

Trawiński & Kucharski

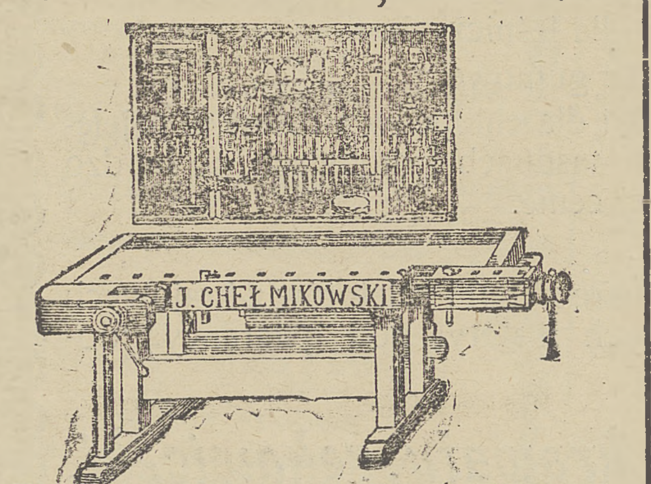
Telefon 839. **Poznań,** Telefon 839

ul. Rycerska 26 (vis-à-vis zakładu wodoleczniczego Dr. Panicńskiego)

wykonuje **drenowania,** 129 **nawodnienie łąk systemem francuzkim** oraz innemi, odwodnienie łąk (murszów, torfów) **metodą prof. Fleischera** i sporządza projekta jeneralne i specyalne dla **spółek drenarskich i majoratów** pod kierownictwem **dyplom. inżynierów kultury rolnej.**

Filie: **Warszawa,** Zielna nr. 21. **Sieradz,** Kaliska 7, zastępca inżynier pan Madaliński.

J. Chełmikowski, Poznań.



Główny skład Półwiejska 35. Filia Św. Marcin 45.

Specyalny skład narzędzi dla stolarzy, cieśli garncarzy, sztukatorów.

Cennik darmo. 102

Adres: **J. Chełmikowski, Poznań (Posen).**

Stanisław Augustyniak

Kościan,

ul, małej kolejki kościańsko-gostyńskiej 5.
Telefon Nr. 119. 56

Handel drzewa budulcowego,

belek i kantówek, blochów, desek, łatów i t. d.

Deski w różnych grubościach $^1/_2$, $^3/_4$, $^4/_4$, $^5/_4$, $^6/_4$, 2, $2^1/_2$, 3 calowe.

Skład dzwon bukowych,

dzwona gięte do powozów, jesionowe, śpic dębowych oraz bukowych blochów.

PAPY NA DACHY

w doborowym gatunku, po cenach bardzo
Hurtownie. nizkich. **Detalicznie.**

ZAKŁAD

dentystyczny.

Wprawiam i plombuję zęby

podług najnowszej metody

Operacye zębów bez bólu po przystępnych cenach.

Wykonanie dokładne i artystyczne. 148

Przyjmuje od godz. 9 rano do 6 po południu.

Jadwiga Marszałek,

Poznań,

św. Marcin 56

1. piętro.

Dom Wysyłkowy

cygar i papierosów oraz instrumentów muzycznych.

Polecam cygara tylko najlepsze za 100 sztuk **3 mk.** począwszy i wyżej. Papierosy najlepszych a znanych, oraz mojej własnej fabrykacyi za 100 sztuk od **60 fen.** począwszy i wyżej.

Wszelkie instrumenta jak:

flety, klarnety, skrzypce, basy, mandoliny, gitary, harmoniki we wielkim wyborze, kataryńki i samograjki, cytry akordowe od 9 mk. począwszy.

Polecam i wysyłam na zamówienia prosząc gorąco o pamięć. 120

ŁUCYAN PIOTROWSKI,

Gniezno ul. Wilhelmowska 2.

Nowe

szkockie śledzie Matjasy

śledzie opiekane, sardynki w oliwie, najlepszy olej do jedzenia, margarynę

we wszelkich gatunkach, czystą amer. **nafte** z dostawą na mięszaną salonową bieżące i późniejsze term.

Smołę i papę na dachy oraz carbolineum

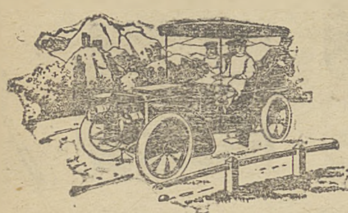
poleca po tanich cenach hurtownych 133

Maciejewski & Co.

Szczeciński hurt. handel śledzi i nafty

Poznań (Posen) W. Garbary 23.
Telefon 872. 133

Adr. do list. Maciejewski & Co., Posen.
Adr. do tel.: Heringsgrossist, Posen.



AUTOMOBILE

Koehler & Co.

Największe warsztaty reparacyjne

z zapędem elektrycznym.

Przystanek szklanny dla samochodów, stacya benzyny, oliwy, pneumatyków.

Poznań, ul. Wiktoryi 17. Telefon 1993.

Gen. repr. firmy

Rex Simplex, Ronnenburg S.-A.

Brzytwy! Brzytwy



Brzytwy

jedynie najlepsze z angielskiej dyamentowej stali; znane z dobroci i pod gwarancyą już obciągane i gotowe do użycia. — Wymienię każdą sztukę, jeśli nie będzie dobrą. Piękny mocny futeryał darmo.

Nr.	50	51	53	54	56	60
mk.	1,20	1,40	1,75	2,10	2,75	3,75
a następne nr.		0	1	2	3	4

bez gwarancyi po 55, 60, 70, 80 i 90 f.

Pędzelek 40 fen., **nikl. miseczka** 40 fen., **mydło** 10 fen.

Paski do ostrzenia po 0,80, 1,00 1,50 i 2,00 mk.

Nożyczki kute stalowe po 40, 50, 60 i 90 fen.

Noże kieszonkowe tylko mocne po 20, 25, 30 fen.

Noże kieszonkowe o 2 nożykach i grajcarku po 40, 50, 60 fen.

Odsprzedającym rabat. **Cenniki** wielkie, około 2000 illustracyi wysełam **darmo i franko.** 200

M. Danecki,

Miejska Górka (Görchen in Pos.)

ZWIĄZEK ZIEMIAN

E. G. m. b. H.

TELEFON NR. 1615.

w Poznaniu ul. Wiktoryi 2.

przyjmuje depozyta i płaci zależnie od czasu wypowiedzenia $3\frac{1}{2}$, 4 i $4\frac{1}{2}$ %, obliczając procent od dnia złożenia pieniędzy, 94

podejmuje się regulacyi hipotecznej,

pośredniczy w sprzedaży i wydzierżawianiu majątków,

podejmuje się administracyi majątków ziemskich

prowadzi rachunki bieżące z członkami tak zwane „Conto Corrente".

Książki do nabożeństwa, książki ludowe w wielkim wyborze. **Krzyże pod szklanym dzwonem** 30 cm., wysokie, od 4,50 mk. począwszy. **Klosze** szklane, okrągłe dzwony do pokrycia figur i innych przedmiotów. **Kandelabry, świeczniki, lichtarze, lampki** do stania i zawieszania. **Medaliony, medaliki, krzyże, krzyżyki** różnej wielkości. **Obrazy M. B. Częstochowskiej** na drzewie malowane w różnych oprawach. **Wielki wybór obrazów olejodruków, olejograwur, stychów francuskich** w oprawach i bez opraw. **Nąszyjniki** z prawdziwych korali z medalionikiem lub krzyżykiem poleca

Księgarnia Nowa, FR. BŁAZEK. (Kwaśniewski).

założona 1878 roku. 263

Poznań, Jezuicka ul. 12, (Posen Jesuitenstr. 12.)

Sprzedającym wysełamy na żądanie cennik.

Fr. Jaworowski

Poznań, Szeroka ulica nr. 15.

TELEFON 701. tylko poleca TELEFON 701.

Smalec berliński

topiony i surowy 310

jeszcze po starej cenie.

Skład garderoby męskiej i dla chłopców

S. Brzeskiego

Stary Rynek 61, telefon 603

bogato zaopatrzony

w nowości jesienne i zimowe

poleca:

Gotowe paletoty zimowe od **15** marek (na dobrej ciepłej podszewce).

Gotowe ubrania już od **13** marek.

Eleganckie ubrania szewiotowe lub gładkie od **21** do **48** marek.

Jopy, burki, płaszcze, szynele.

Kamizelki szwedzkie do polowanie.

Liberye i ubrania dla leśniczych.

Peleryny i płaszcze gumowe.

Ubiorki i paletociki dla chłopców i dzieci w najelegancciejszych fasonach i modelach po bardzo umiarkowanej cenie.

Rewerendy i togi.

Wykonalnia na miarę ubrań i paletotów z krajowych i zagranicznych materyi pod gwarancyą dobrego kroju.

kapelusze, krawaty, rękawiczki.

Ceny nadzwyczaj tanie i stałe. 554

Cegielnia Glabisza

w Poznaniu

kantor ulica Lipowa nr. 1.

poleca jako specyalność swych wyrobów wszelkiego rodzaju 356

dachówkę

najprzedniejszej jakości.

Wszelkie bólc żołądkowe, złe trawienie, słabość nerwów oraz rwanie w kościach i podagrę także w zastarzałych wypadkach usuwają w najkrótszym czasie moje wyborne 21

Ziółka Apostolskie.

Skutek zupełny i poręczony. Paczka **1 M.** Przesyłki uskutecznia się najlepiej za poprzedniem nadesłaniem należytości wraz z 20 fen. na porto. Główny skład:

Zielona Apteka

T. Wiluskiego w Poznaniu, Wrocławska ul. 31.

Części skł.: Herb. Tussil. Pulmon. Sider. Galwp. Sem. phell. foenic. anis. Fol. Meuth. Melissae Trifol. Rad. Valer Flor. Samb. Lavand.



Noveol



(przez ces. urząd pat. nazn. ochron. D. R. W. Z. 60098) Najnowszy i najskuteczniejszy środek wzmacniający u osób słabowitych płuca, dodający im wielkiej ulgi podczas astmy, ożywiając całe usposobienie i pobudzając apetyt. Dzieci zaś słabowite i skrufuliczne przybierają w oczach na ciele i pozbywają się szybko wszelkich wyrzutów skórnych i tej tak zwanej angielskiej choroby. Comp: Calc. phosph. ct. hypophos 1, Ferr. lact. 0,25, Gi. mimos. 10, Agar. 1.01, Jecor 190 H_2O 140, Glyc. 40,01 Nerol. 0,01,01 Ros. 0,01. But. 2,00, przy 5 butelkach franko i pudło gratis. Główny depot posiada: **H. Smyczyński,** apteka **w Chełmnie (Culm)** (Ratsapotheke). 399

B. Szulczewski,

ul. Wilhelmowska nr. 11.

Skład porcelany, fajansów, szkła.

Lampy naftowe, gazowe.
Oświetlenie spirytusowe.
Kompletne wyprawy.
Urządzania hotelowe.
Abażury — Przedmioty galanteryjne.
Pająki do kościołów.
Ampułki. 18

Karty wizytowe

gustownie wykonane

od 1,50 mk. począwszy

poleca

Drukarnia „PRACY"

Sp. z ogr. p.

Poznań, Rycerska 38.

Kursa

handlowe włącznie stenografii i pisania na maszynach **różnych systemów** rozpoczynają się **3. 10. r. b.** Godziny prywatne **o każdym** czasie. Nauka dla panien i panów osobna, praktyczna i **jaknajdokładniej.**

Samouczek stenografii polskiej mego wydania po 1 mk. 427

F. Mellin

w Poznaniu, ul. Wrocławska 20

Szkoła moja

otw. od 8 rano do 10 wiecz.

Kupuje 612

słomę

i na żądanie dostawiam prasę

Czesław Foerster

Poznań — Posen O. 1. Wienerstr. 6 I.

Młodsza

książkowa

poszukuje posady od 1. 10. Oferty uprasza się do Eksp. „Pracy" pod lit. **C. H.**

Tylko wyborowy towar!

Kawy palone po 90, 1,00, 1,20 do 2,00 marek,
Kawy mielone z domieszką 60 fen.,
Kawy słodowe 25 fen.,
Herbaty po 1,20, 1,40, 1,60 do 5,00 marek
Prósze po 1,00, 1,40, 1,60 do 2,00 marek

poleca **dom wysyłkowy** 154

J. Smyczyński, Św. Marcin 27.

Młyn wodny

czteropiętrowy, murowany; z urządzeniami najnowszego systemu; z wodą zupełnie wystarczającą zimą i latem, przerabiający miesięcznie według książek około 1700 korcy; z 400 morg. roli (przeszło 100 mórg łąk), z nadkompl. inwent. martwym i żywym (30 szt. bydła), 5 kil. od miasta pow. nadgłówną szosą, bez większej konkur. pod bardzo korzyst. warunkami do nabycia. Tuchola Tuchel W/Pr. 623

Dr. Karasiewicz
B. Warczak.

Kartofle fabryczne

do natychmiastowej i późniejszej dostawy kupuje i uprasza o opróbkowane oferty i udziela zaliczek. 613

Czesław Foerster

Poznań — Posen O. 1. Wienerstr. 6. I.

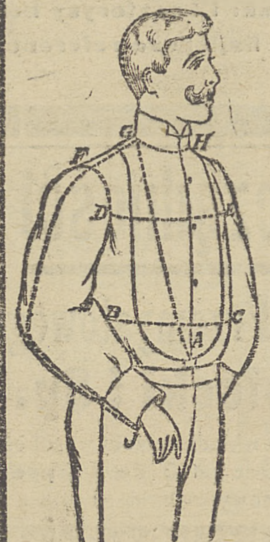
„Gleba"

Bank rolniczy, Tow. akc.

Poznań, ul. Szkólna 11, — poleca

Węgle,
Saletrę chilijską na r. 1907, 1908, 1909,
Superfosfaty,
Żużle Thomasa, „Sternmarke,"
Kainit,
Wapno do budowli i na nawóz,
Rozmaite pasze,
Wszelkie potrzeby gospodarcze

w wyborowych gatunkach po cenach umiarkowanych. 348



Krawaty.

Kapelusze,

Rękawiczki.

Bielizna 390

biała i trykotowa,

Kamizelki,

Parasole,

Laski

oraz

wszelkie inne artykuły męzkie

poleca

w wielkim wyborze po cenach bardzo przystępnych

J. Fischbach,

Wrocławska ul. 40

2-ci skład od rynku.

Zakład dentystyczny

Leon Nowicki, Poznań, plac Piotra 2,

drugi dom od ulicy Wrocławskiej. 20

Klinika prywatna

Dr. Pomorskiego

dla chorych na cierpienia chirurgiczne i ortopedyczne,
dla chorych na cierpienia pęcherza i dla chorób kobiecych 159

Poznań Plac Piotra 4

(Petriplatz.)

TELEFON 893.

PIERWSZORZĘDNY POLSKI

magazyn mebli

stylowych

Józef Sroczyński

Telefon 1290 POZNAŃ, BERLINSKA 8. Telefon 1290

Dobra i rzetelna usługa przy nizkich cenach.

Rysunki i kosztorysy bezpłatnie.

Najlepsze referencye. 51

Józef Stabrowski

GNIEZNO, Tumska Nr. 16.

WIELKI SKŁAD

Materyi, Garderoby męskiej i Kapeluszy.

Dobre i najtańsze źródło zakupu.

Pracownia eleganckiej garderoby podług miary.

Przewielebnemu Duchowieństwu polecam doskonały i znany dobry krój rewerend i płaszczy.

Łaskawe zamówienia wykonuje się jak najtroskliwiej, elegancko i według najnowszych żurnali. 119

Kasa oszczędności

Banku Rolniczo-Przemysłowego

Kwilecki Potocki i Sp.

przyjmuje na oprocentowanie wkładki każdej wysokości od **1 marki** począwszy, płacąc od **3 do 4½ proc.** wedle umowy. 19

GNIEZNO, narożnik ulicy Horna i Nowe nr. 6

Filia **w WRZEŚNI,** ulica Pocztowa 192.

Zakład fotograficzny

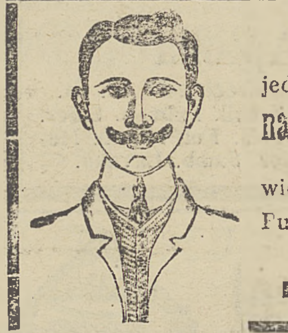
P. Gdeczyk,

z d. **Eitner,**

założony 1879 r.

poleca 267

wszelkie nowości modne, powiększenia artystyczne, zdjęcia architektoniczne.



Wiesotwór

jedyny skuteczny środek

na porost włosów i wąsów.

Używany i polecany przez wiele osób. 326

Puszka 3 mk, 3 puszki 7,50 mk

A. Dylkiewicz,

Berlin, Uhlandstrasse 145.

Korzystna sposobność nabywania lub sprzedawania 39

majątków większych, folwarków i gospodarstw oraz regulowania hipotek,

które uskuteczniam szybko, sumiennie i tanio

G. Ritter, Poznań

Wodna ul. 27. Telefon Nr. 62.

Interes zbożowy, parcelacyjny i finansowy.

Zwracam szczególną uwagę na to, że mam każdego czasu do oddania **5 procentowe pierwszo-miejscowe hipoteki** (pupilarnie pewne) na większych i mniejszych gospodarstwach zapisane.

Kupię dom

z bramą wjazdową, składem nadającym się na handel tow. kolon. z wielkiem podwórzem lub ogrodem o ile możności z warsztatami lub remizami niedaleko pl. Wilhelma. Oferty proszę pod **B. B. Z. 3.** (postlagernd Posen) Wpłacić mogę od 20—40,000 marek. 634

Wróciłem i mieszkam

przy ul. Bismarka nr. 6

w narożniku ul. Św. Marcińskiej 630

Dr. Tadeusz Bolewski

lekarz w chorobach ucha, nosa i gardła

Makulaturę

ma tanio do oddania

Drukarnia „Pracy."

Firmy polskie na prowincyi polecają się względom Sz. Czytelników.

Bydgoszcz.

W. Sowiński

ul: Fryderykowska nr. 29. Pracownia eleganskiej garderoby męskiej na miarę. Skład sukna, nowości w materyach krajowych i zagranicznych. Przewielebnemu Duchowieństwu polecam do bry krój rewerend i płaszczy

Gniezno.

Książki wszelkiego rodzaju, nuty i artykuły piśmienne poleca i wysyła na zamówienie odwrotną pocztą

J. WIŚNIEWSKI,

Księgarnia — ul. Tumska 3.

Kościan

ul. Małej kolejki kościańsko-gostyńskiej

Stanisław Augustyniak

Handel drzewa budulcowego belek i kantówek, blochów, desek, łatów i t. d. Skład dzwon bukowych. Papy na dachy.

Kępno.

Stara apteka i drogerya poleca wszelkie artykuły kraj. i zagr., mydełka, perfumy i inne kosmetyki.

Edmund Karłowski.

Jedyny POLSKO-KATOLICKI

magazyn mebli w miejscu poleca się łaskawym względom Szanownej Publiczności Kępna i okolicy.

Leon Kozdrzanowski.

Kostrzyn.

H. Andruszewski

Hôtel Victoria

Pierwszorzędny hotel, pokoje świeżo urządzone restauracya, bilard, kręgielnia. Handel towarów kolonialnych, delikatesów, win, cygar i destylacya. Skład farb. Ceny niskie, usługa skora.

Michał Woźny

poleca skład bławatów, płócien, materyi na suknie, bieliznę, chustek, stołowiznę, trykotarzy, kapeluszy i gotowej garderoby męzkiej w wielkim wyborze. Ceny stałe.

Miejska Górka.

A. Wybieralski.

Hotel. — Handel żelaza długiego i krótkiego, artykuł. budowl. i tow. kolonialnych.

Pleszew.

Skład kół i maszyn do szycia, również wszelkie części rezerwowe do takowych, z pierwszorzędnych renomowanych firm poleca **St. Ostojski,**

Pobiedziska.

M. Koczorowicz

w rynku poleca obuwie od najpojedeńszego do najwykwintniejszego, oraz wszelkie reparacye wykonuje starannie po cenach umiarkowanych. Swój do swego!

Strzałkowo.

Szan. Publiczności Strzałkowa i okolicy donoszę, iż otworzyłem **magazyn mebli i trumien.** Wielki wybór. Ceny wyjątkowo tanie proszę o gorliwe poparcie.

W. Bogacki

Najtańszy dom towarowy

W. Ziarniaka

poleca materye wełniane i na suknie płótna, towary krótkie, garderoby męzką w najnowszych fasonach gotową i podług miary.

Równocześnie polecam darte gęsie pierze po 2,50 i 3,00 marki za funt.

Antoni Matczyński

poleca swój hurtowny skład **piwa, fabrykacyę wody selterskiej** oraz **skład kolonialny i delikatesów** łaskawym względom Szan. Publiczności.

JAN BOGACZYK

poleca swój bogato zaopatrzony skład w materyach na suknie i wszelkich towarach łokciowych, krótkich, galanteryjnych, garderobie męzkiej i artykułach dewocyjnych, prosząc o łaskawe poparcie.

Śmigiel.

J. Karpiński.

Pracownia gard. męzkiej, skład sukna, bielizny i innych artykułów, gotowej gard. dla dorosłych i dzieci.

A. Wojciechowski

Rynek nr. 24.

Księgarnia, skład tow. galanteryjnych, piśmiennych, obrazów, **zegarów**, obrączek ślubnych, wózków, dewocyonalii, zabawek itd. Oprawa obrazów, książek, reparacye zegarów po cenach przystępnych.

Śrem.

TADEUSZ SZRAJBER.

Skład zegarmistrzowski, maszyn do szycia i kołowców. Poleca się przy zakupnie *maszyn do szycia, kołowców* tak na spłaty częściowe jak też za gotówkę.

Cenniki gratis i franko.

A. Zwierzchowski,

pierwsza polska fabryka **siatek drucianych na płoty w Śremie.**

Prosimy odciąć i zanieść na pocztę.

Unterzeichneter abonirt hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für die Monate November-Dezember 1906 die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca"

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)
für M. 0,84

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 0,84 M. erhalten zu haben, bescheinigt

.............................., den..............................

Kaiserl. Post ....